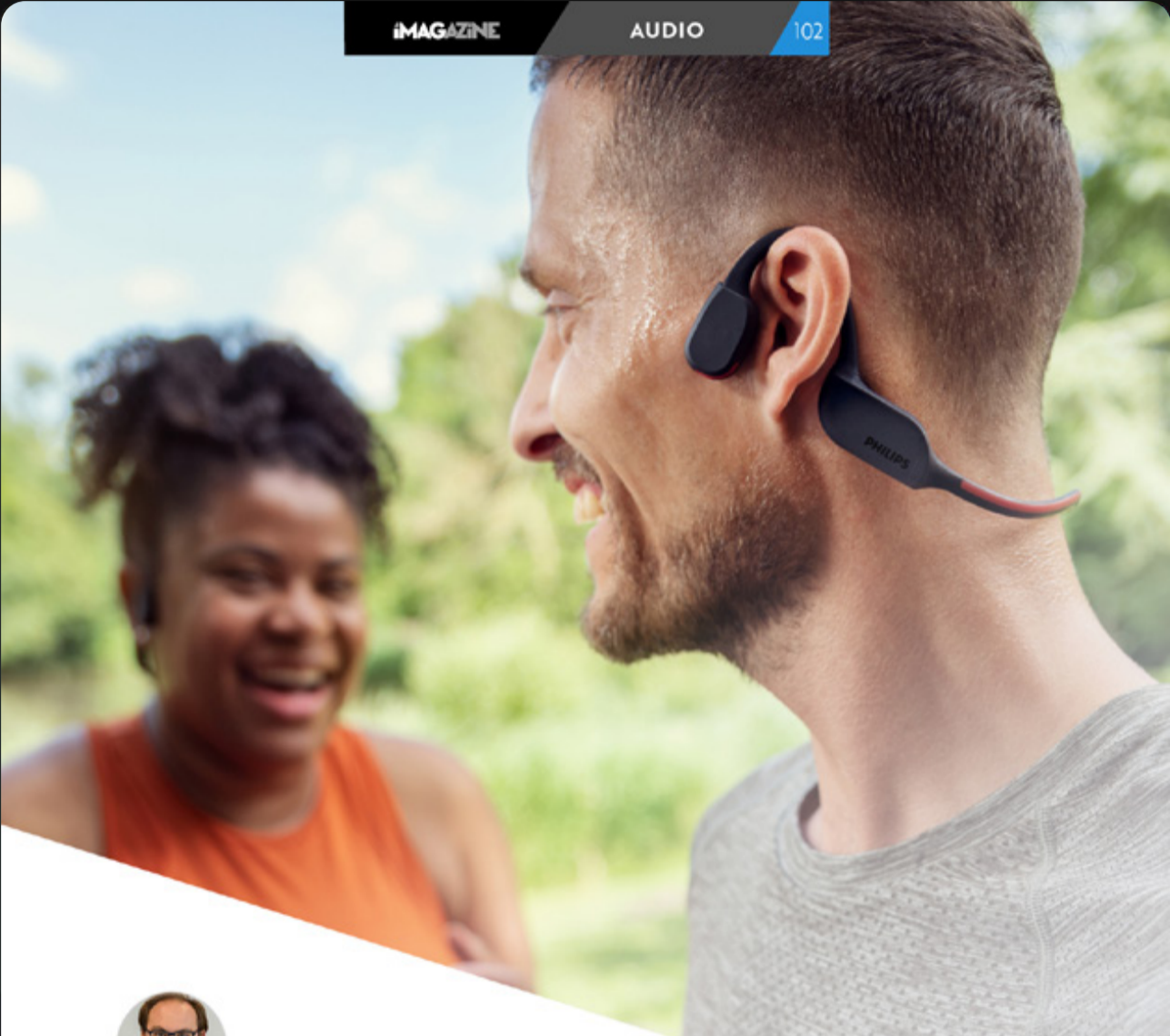


iMAGAZiNE


4/2024 (160) / ISSN 2082-3630 / imagazine.pl



tapnij by przejść do menu/spisu treści



iMAGAZINE AUDIO 102


PAWEŁ OKOPIEŃ
[@paweloko](#)

Czas na wiosenny rozruch ze słuchawkami Philips GO

Gama słuchawek sportowych od Philips Sound znowu się poszerzyła o dwa nowe modele – TAA5508 i TAA5608. A to nie jedyne warte uwagi słuchawki tego producenta, które sprawdzą się przy wiosennych (i nie tylko) aktywnościach fizycznych. Warto też, jak Philips, włączyć się w charytatywny i unikalny globalny bieg Wings for Life World Run. Przyglądamy się bliżej słuchawkom Philips GO.

>>

przejdź do Twittera autora

przeciągnij w prawo





Px7 S2e

Usłysz prawdę

Px7 S2e to najnowsza odsłona słuchawek Px7 S2. Litera „e” w nazwie nowego modelu oznacza „ewolucję”, ponieważ Px7 S2e czerpią inspirację i wiedzę z flagowych słuchawek bezprzewodowych Bowers & Wilkins Px8 oraz rozwijają koncepcję Px7 S2. W efekcie użytkownik może doświadczyć niezwykle szczegółowego, naturalnego i wciągającego dźwięku – zgodnego z intencjami artysty.

Bowers & Wilkins

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl



Czy warto jechać do Calpe na rower?

Adalbert Freeman



MacBook Air 13- i 15-calowy (early 2024) z Apple M3

Wojtek Pietrusiewicz



Sennheiser Momentum True Wireless 4 – jakość przede wszystkim

Paweł Hać



IWC Big Pilot

Wojtek Pietrusiewicz

Okiem Pawła Jońcy

7 Okiem Pawła Jońcy

Aktualności

13 Aktualności

Podróże

52 Czy warto jechać do Calpe na rower? | Adalbert Freeman

62 Lago di Como | Dariusz Hałas

Productivity

72 Efektywność między kultem jednostki a społeczeństwa, czyli przemyślenia podczas wizyty na Tajwanie | Michał Śliwiński

Lifestyle

79 Lifestyle | Dominik Łada

84 IWC Big Pilot | Wojtek Pietrusiewicz

Technokultura

94 Bądź hybrydą! | Ania Gabryś

Audio

99 Sennheiser Momentum True Wireless 4 – jakość przede wszystkim | Paweł Hać

105 Yamaha MusicCast 200 – im niżej, tym lepiej | Paweł Hać

111 Logitech Zone Vibe 100 – możesz rozmawiać bez końca | Paweł Hać

117 Czas na wiosenny rozruch ze słuchawkami Philips GO | Paweł Okopień

Sprzęt

123 MacBook Air 13- i 15-calowy (early 2024) z Apple M3 – co nowego, polskie ceny i pełna specyfikacja techniczna | Wojtek Pietrusiewicz

129 MacBook Air 15" (early 2024) z Apple M3 – wyjmujemy z pudełka | Wojtek Pietrusiewicz

132 MacBook Air 15" (early 2024) z M3 – benchmarki w Final Cut Pro, Lightroom, MacWhisper i innych | Wojtek Pietrusiewicz

144 Samsung T5 Evo – pierwsze wrażenia i testy prędkości | Wojtek Pietrusiewicz

148 Cudy AX3000 M3000 – koniec problemów z zasięgiem | Dariusz Hałas

157 Logitech MX Brio – nowa kamera do zdalnej pracy i streamingu | Agnieszka Serafinowicz

162 Oclean X Pro Digital – zęby już umyte? | Paweł Hać

168 Twelve South TimePorter – wieszak na paski | Paweł Hać

172 Garmin Tacx NEO 3M | Adalbert Freeman





Oclican X Pro Digital – zęby już umyte?

Paweł Hać



Samsung T5 Evo – pierwsze wrażenia i testy prędkości

Wojtek Pietrusiewicz



Światowa premiera Volkswagena ID Buzz GTX

Wojtek Pietrusiewicz



Diuna. Część II

Jan Urbanowicz

TV

- 179** Sportowe emocje? Sztuczna inteligencja? Telewizory Samsung QN900D i QN800D łączą to po mistrzowsku | Paweł Okopień
- 187** Laserowy projektor 4K Hisense CI – recenzja | Paweł Okopień

Mobilność

- 192** Światowa premiera Volkswagena ID Buzz GTX – to jest Bulli, którego szukasz | Wojtek Pietrusiewicz
- 208** Volvo EX30 – pierwsza jazda | Dariusz Hałas
- 220** Range Rover Sport – arystokrata | Dariusz Hałas
- 230** Škoda Enyaq iV 80 Maxx Electric Clever | Dariusz Hałas
- 240** Automatyczna „skrzynia biegów” w rowerze – Enviolo Automatiq | Napoleon Bryl

Software

- 246** ChronoLog – pomiar precyzji pracy zegarków mechanicznych | Wojtek Pietrusiewicz

Gry

- 249** Valiant Hearts: The Collection – wino z dobrego rocznika | Paweł Hać
- 254** Landmarks Warsaw | Wojtek Pietrusiewicz
- 258** Barcelona-El Prat Airport (LEBL) | Wojtek Pietrusiewicz

Porady

- 263** Zmiana domyślnej przeglądarki w macOS | Maciej Skrzypczak

Felietony

- 268** Czy usługi są dla Apple nowym iPhone’em? | Krzysztof Kołacz
- 273** Przestrzeń, która sprzedaje | Krzysztof Kołacz
- 277** Izba Reprezentantów USA vs TikTok – czy wiecie że ta firma „nie jest chińska”? | Dariusz Hałas
- 282** Tajna chińska dyrektywa „Dokument 79” – rozkaz: „usunąć Amerykę!” – obrywa Apple i inni giganci spoza Chin | Dariusz Hałas

Film

- 289** Diuna. Część II | Jan Urbanowicz
- 294** Shōgun | Jan Urbanowicz
- 298** Premiery streamingowe kwiecień 2023 | Jan Urbanowicz

Muzyka

- 301** Wiek nie ma znaczenia | Maciej Szamowski

Makowa kuchnia

- 304** Łosoś z jabłkami i cebulą | Małgorzata Łada



CREATIVE ZEN AIR DOT

CREATIVE®

SŁUCHAWKI TAK LEKKIE, ŻE PONIOSĄ CIĘ DOKĄD ZAPRAGNIESZ



24 HRS

ŁĄCZNY CZAS
ODTWARZANIA

7 HRS

NA
POJEDYŃCZE
NAŁADOWANIE



DUAL MICS



REDUKCJA SZUMÓW
OTOCZENIA
(ENC- ENVIRONMENTAL
NOISE CANCELLATION)



5.3



PRZETWORNIKI
NEODYMOWE 13 MM



STEROWANIE
DOTYKOWE



ODPORNOŚĆ NA
WODĘ IPX4

Duszne słuchawki, prawdziwie bezprzewodowe, bardzo lekkie (33g), kompaktowe (na małą kieszonkę), odporne na wodę IPX4 (możesz pocić się dowoli), dotykiem wydajesz im polecenia, a grają 7 godzin na jednym ładowaniu¹ a do 24 godzin całkowitego czasu odtwarzania, 13 mm specjalnie dostrojone przetworniki neodymowe dają głęboki bas i przejrzyste brzmienie, technologia redukcji szumów otoczenia (ENC) pozwala na wytchnienie od otoczenia, *Bluetooth*® 5.3 daje bardziej niezawodną łączność.

¹W oparciu o średni poziom głośności. Rzeczywisty czas pracy baterii zależy od ustawień użytkownika, utworów i warunków otoczenia.



RTV**EURO**AGD
euro.com.pl

pl.creative.com



"Chyba mam ludzi."



PAWEŁ JOŃCA
@paweljonca



JBL**XTREME4****Dowiedz się więcej**by **HARMAN**

CZAS ZACZAĆ ŻYĆ PRZEBOJEM!

Przenośny, wodoodporny głośnik z donośnym dźwiękiem **JBL Pro** i wygodnym paskiem na ramię. Nawet do **24 godzin pracy** oraz 6 dodatkowych godzin z **Playtime Boost**. Funkcja **Auracast™** pozwala na połączenie wielu głośników. Technologia **AI Sound Boost** analizuje na bieżąco sygnał, z algorytmem sztucznej inteligencji przewidującym ruch głośnika i dostosowującym jego parametry. Wymienny akumulator (sprzedawany oddzielnie) i funkcja szybkiego ładowania (10 min. ładowania = 2 godz. pracy). Wykonany częściowo z materiałów pochodzących z recyklingu.

© 2024 Harman International Industries, Incorporated. Wszelkie prawa zastrzeżone. JBL to znak towarowy należący do HARMAN International Industries, Incorporated, zarejestrowany w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach. Dane techniczne, ceny i wygląd produktów mogą ulec zmianie bez uprzedzenia.

 **Bluetooth®** v5.3



Wiosna pełną parą. Wreszcie długowyczekiwana piękna, wiosenna pogoda nastąpiła. Co więcej, przed nami święta, czyli czas wytchnienia. W chwili wolnej zapraszam do lektury najnowszego, kwietniowego wydania naszego magazynu.

W numerze znajdziecie ciekawe miejsca – Hiszpanię, Włochy i Taiwan. Pojeździmy najnowszymi, świetnymi samochodami, m.in. najnowszym Volkswagenem ID Buzz GTX i Volvo EX30 i nie tylko. Wojtek kontynuuje swoje opowieści o zegarkach, tym razem skupił się na IWC. Nie mogło zabraknąć też najnowszego Macbooka Air z procesorem Apple M3, świeżutkiego dysku T5 Evo od Samsunga, czy ciekawego mesha od Cudy.

Oczywiście to nie wszystko co proponujemy Wam w tym wydaniu. Warto nas czytać.

Korzystając z okazji chciałbym życzyć Wam wesołych Świąt Wielkanocnych! Niech ta Wielkanoc będzie pełna nie tylko cyfrowych przygód, ale też wspaniałych wspomnień!

Zapraszam do numeru!

Dominik Łada

A handwritten signature in black ink, appearing to be 'DL' or similar initials, written in a cursive style.



Prawdziwa autonomia

Inteligentna pielęgnacja trawnika



AŻ DO **5** LAT GWARANCJI



Wirtualna instalacja
Instalacja i modyfikacje obszaru koszenia poprzez aplikację. Bez przewodów.



Inteligentna technologia
Planowanie sesji koszenia w zależności od siły sygnału z satelity tak, aby dotrzeć do każdego zakątka ogrodu w odpowiednim czasie.



Wydajne koszenie
Zwiększona wydajność dzięki zorganizowanemu koszeniu.



Darmowa łączność
Nawigacja i koszenie za pomocą połączenia 4G.

Autonomiczne roboty koszące STIGA
Pielęgnacja trawników do 10.000 m².

Odkryj całą gamę urządzeń na stiga.pl

AGS

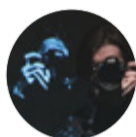
Active
Guidance
System

eP^ower

STIGA

Garden care.

WSPÓŁPRACA

Paweł
JońcaMariusz
OstrowskiPaweł
OkopieńKrzysztof
KołaczJan
UrbanowiczPaweł
HaćMaciek
SkrzypczakMałgorzata
ŁadaGracjan
PietrasNapoleon
BrylAnia
GabryśDariusz
HałasFranciszek
ŁadaThomas
VolandMichał
ŚliwińskiAdalbert
FreemanMaciek
Szamowski

Teksty, grafiki oraz inne treści opublikowane na łamach „iMagazine” są chronione prawami autorskimi wydawcy magazynu „iMagazine”, ich autorów lub osób trzecich. Znaki towarowe i wszelkie inne oznaczenia o charakterze odróżniającym, umieszczone w „iMagazine” podlegają ochronie prawnej na rzecz wydawcy magazynu „iMagazine” lub innych uprawnionych osób trzecich.

Używanie bądź korzystanie z utworów, znaków towarowych lub oznaczeń, o których mowa wyżej, jest zabronione bez uzyskania uprzedniej pisemnej zgody właściwego podmiotu uprawnionego, z wyjątkiem wykorzystania ich zgodnie z prawem dla celów prywatnych i niekomercyjnych.

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów i fotografii oraz zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych materiałów. Zdjęcia z zasobów Apple dzięki uprzejmości Apple Inc. Pozostałe zdjęcia z zasobów autorów lub redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

Nasz magazyn monitorowany jest
przez Instytut Monitorowania Mediów IMM

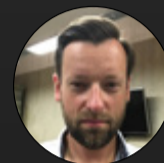


WYDAWCA

Mac Solutions Dominik Łada,
Nalewki 8/79, 00-158 Warszawa
NIP: 118-135-60-13

REDAKCJA

redakcja@imagazine.pl



REDAKTOR NACZELNY

Dominik Łada
+48 501 055 988 | d.lada@imagazine.pl

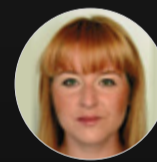
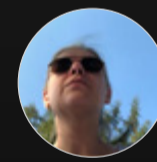
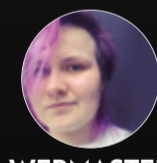
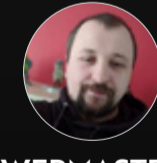


ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Wojtek Pietrusiewicz
w.pietrusiewicz@imagazine.pl

REKLAMA

reklama@imagazine.pl

KOREKTA
Malwina WadasKOREKTA
Ania GabryśWEBMASTER
Angelika BoruckaWEBMASTER
Krzysztof Stambuła

PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD

Mateusz Gileta
m.gileta@imagazine.pl

PROJEKT OKŁADKI:
Wojtek Pietrusiewicz



WiFi pełne cudów!

Zabezpiecz swoją sieć domową na przyszłość dzięki technologii AX3000 2.5G WiFi 6

Model

M3000

**2.5G**Port WAN 2.5 Gbps
Port LAN 1 Gbps**Pięć**Wewnętrznych
AntenDownload on the
App StoreGET IT ON
Google Play

Cudy App

Cała sieć domowa
w zasięgu ręki

Klient i serwer VPN





Aktualizacja iOS i iPadOS do wersji 17.4.1 oraz visionOS do wersji 1.1.1

Czytaj dalej...

Aktualizacja macOS Sonoma do wersji 14.4.1

Czytaj dalej...

Sonoma



Aktualizacja watchOS do wersji 10.4

Czytaj dalej...



Aktualizacja firmware dla AirTags

Czytaj dalej...



Ważna poprawka zabezpieczeń dla GarageBand dla systemu macOS

Czytaj dalej...

Nowa podstrona Apple: „Dlaczego warto wymieć iPhone'a?”

Czytaj dalej...





Tim Cook jest w Chinach: zdjęcia z otwarcia nowego sklepu

Czytaj dalej...

Nowa reklama iPhone'a 15

Czytaj dalej...



Documentation

Manuals, Specs, and Downloads

Choose a product or search below to view related documents and available downloads.



Mac



iPad



iPhone



Watch



Vision



AirPods



Apple TV



HomePod



iPod



Displays



Accessories



Software

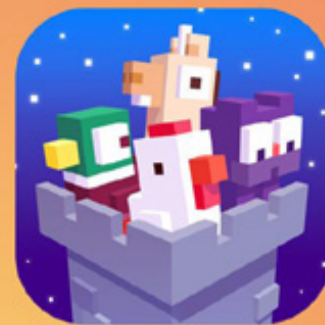
Apple uruchamia stronę z instrukcjami i specyfikacjami

Czytaj dalej...



Apple Arcade z nowymi pozycjami w kwietniu – w tym także tytuły dla Apple Vision Pro

Czytaj dalej...



Apple wdraża możliwość aktualizacji iOS w nieodpakowanych iPhone'ach

Czytaj dalej...

Apple wprowadziło transkrypcje w aplikacji Podcasty

Czytaj dalej...



WWDC 24

**WWDC 2024 wystartuje
10 czerwca – nie tylko iOS 18**

Czytaj dalej...

**Program naprawy
klawiatur motylkowych dla
MacBooków dobiega końca**

Czytaj dalej...



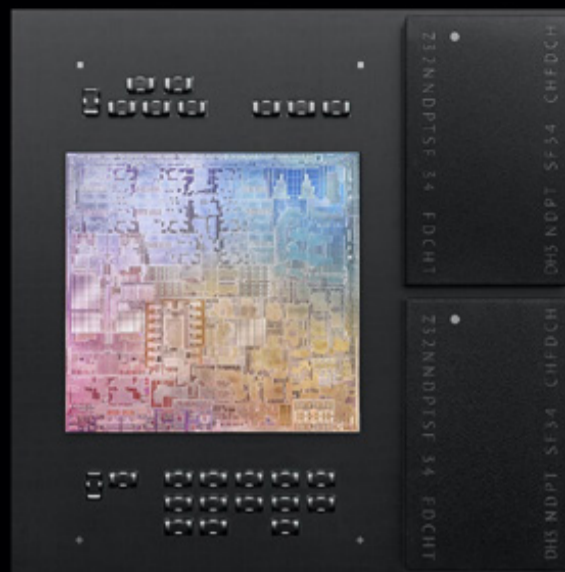
**Komisja Europejska
nakłada na Apple karę
w wysokości 1,8 miliarda
euro**

Czytaj dalej...



Procesory Apple Silicon mają lukę sprzętową umożliwiającą wykradzenie kluczy szyfrujących – atak GoFetch

Czytaj dalej...



Apple rozszerza program Do-It-Yourself na komputery Mac z Apple M3

Czytaj dalej...

Apple pozwane przez Amerykański rząd odpowiada

Czytaj dalej...





Meta, Microsoft, X i Match dołączają do Epic Games w ramach protestu przeciwko Apple

Czytaj dalej...

Pozew zbiorowy przeciwko Apple – chodzi o plan 5 GB w iClouda

Czytaj dalej...



Oscary 2024: „Oppenheimer“ wygrywa, Apple przegrywa

Czytaj dalej...





Microsoft twierdzi, że rosyjscy hakerzy wykradli kod źródłowy

Czytaj dalej...

Gdzie masz najbliższy schron? Państwowa Straż Pożarna przygotowała mapę

Czytaj dalej...

Aplikacja "SCHRONY"

Znajdź miejsce doraźnego schronienia

Zaczynamy



Porażka Apple Car szczegółowo opisana w nowym raporcie

Czytaj dalej...





TP-Link Deco X50-Outdoor – gdy potrzebujesz zasięgu nie tylko w domu

System Deco X50-Outdoor to chyba pierwsze tego typu rozwiązanie konsumenckie na świecie. Nikt wcześniej nie wpadł na prosty pomysł: zapewnienia dostępu do sieci mesh nie tylko w samym domu, ale i w przydomowym ogródku. TP-Link pokazał produkt, który stanowi odpowiedź na tego typu zapotrzebowanie.

To system Deco X50-Outdoor, który ma skutecznie eliminować martwe strefy WiFi, teraz także w ogrodzie.

Właściciele domów jednorodzinnych lub dużych, wielopięsiomowych mieszkań często borykają się z utratą sygnału sieci bezprzewodowej lub długim buforowaniem. TP-Link zaprezentował sprzęt, który ma niwelować tego typu problemy. To system Deco X50-Outdoor, który ma skutecznie





eliminować martwe strefy WiFi, teraz także w ogrodzie.

TP-Link zapewnia, że nowy sprzęt zaprojektowano z myślą o najbardziej wymagających użytkownikach, Deco X50-Outdoor oferuje prędkość transmisji do 2402 Mb/s w paśmie 5GHz i do 574 Mb/s w paśmie 2,4GHz. Dzięki wykorzystaniu standardu WiFi 6 oraz możliwości połączenia kilku współpracujących ze sobą urządzeń Deco, można stworzyć wydajny system WiFi nawet w wielopiętrowych domach.

Wytrzymała obudowa z klasą szczelności IP65 zapewnia Deco X50-Outdoor ochronę przed warunkami zewnętrznymi. Dzięki temu urządzenie jest odporne na wnikanie kurzu, wilgoć i inne czynniki i można je stosować również na zewnątrz budynków.

Urządzenie Deco X50-Outdoor wyposażone jest w 2 gigabitowe porty WAN/LAN z obsługą zasilania PoE 802.3at oraz klasycznego zasilania AC. Dzięki funkcji roamingu, użytkownicy mogą poruszać się po domu lub ogrodzie, nie tracąc sygnału WiFi.



Dzięki technologiom OFDMA i MU-MIMO, system Deco X50-Outdoor oferuje wyższą wydajność, stabilność połączeń i zdolność do obsługi większej liczby urządzeń przyłączonych do sieci w jednym czasie. Producent podkreśla również funkcje związane z bezpieczeństwem, takie jak obsługa szyfrowania WPA3 oraz komplet rozwiązań ochronnych w ramach TP-Link HomeShield. Rodzice docenią możliwość personalizacji funkcji kontroli rodzicielskiej, w tym tworzenie oddzielnych profili dla każdego domownika i ustawianie limitów czasowych.

Konfiguracja systemu Deco X50-Outdoor ma być bardzo prosta dzięki dedykowanej aplikacji, umożliwiającej szybkie i wygodne zarządzanie siecią. Ponadto, system jest kompatybilny ze wszystkimi modelami Deco, co pozwala na elastyczne rozbudowywanie sieci w zależności od potrzeb użytkownika.

Urządzenie jest już dostępne w sprzedaży w cenie ok. 540 PLN. Produkt został objęty trzyletnią gwarancją.



Gurman: Apple na partnerstwie z Google lub OpenAI zarobi podwójnie

Czytaj dalej...



Bezpieczne przeglądanie w czasie rzeczywistym w Google Chrome i w Androidzie

Czytaj dalej...

Apple promuje Face ID

Czytaj dalej...





Nowe iPady Pro będą miały cieńsze ramki?

Czytaj dalej...

Apple Vision Pro pojawi się w Chinach jeszcze w tym roku

Czytaj dalej...



Nowy procesor Apple A18 Pro zaoferuje potężną wydajność dla AI

Czytaj dalej...



Samsung wprowadza mapy 3D w swojej platformie SmartThings

Czytaj dalej...



Gurman o nowościach w iOS 18

Czytaj dalej...

Były pracownik UPS rzekomo ukradł produkty Apple o wartości 1,3 mln USD

Czytaj dalej...




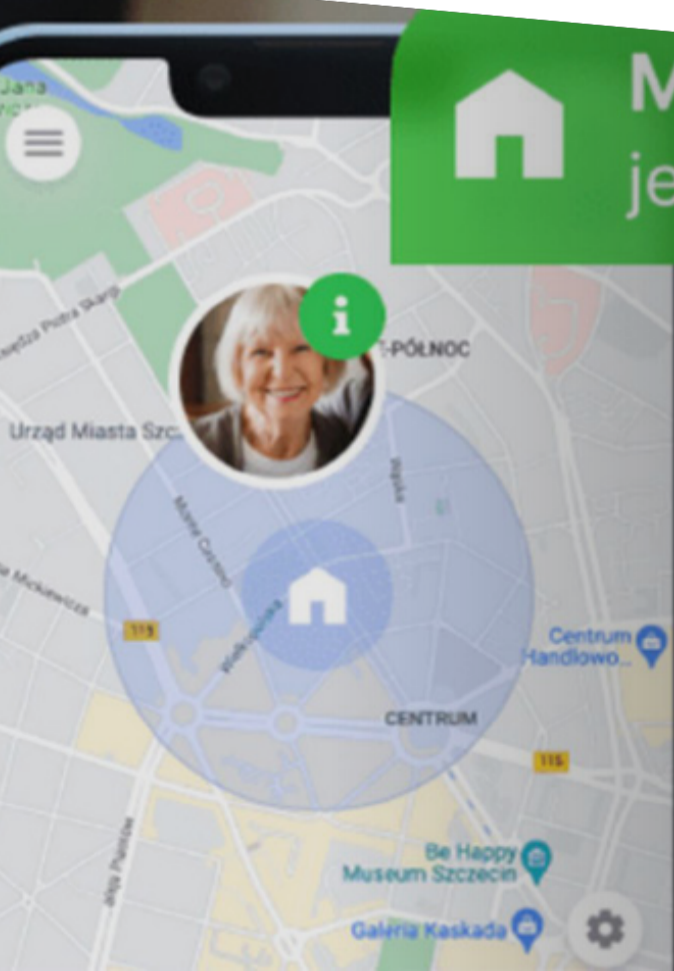


Komisja Europejska bierze na celownik Apple, Meta i Google

Czytaj dalej...

Nowa karta historii zakupów w aplikacji App Store

Czytaj dalej...



Opaska SOS od Orange – pomoże zadbać o bezpieczeństwo i zdrowie bliskich

Czytaj dalej...





JBL Partybox Stage 320

– nowy głośnik rozkręci imprezę

JBL PartyBox Stage 320 to przenośny głośnik imprezowy z kótkami, wymiennym akumulatorem i składanym uchwytem teleskopowym.

Najnowsza propozycja marki JBL to sprzęt, który pozwala zabrać ze sobą imprezę, gdzie tylko się chce. Premiera nowego modelu głośnika imprezowego w Polsce zaplanowana jest jeszcze w marcu – w środę, 27 marca.

Z JBL PartyBox Stage 320 można zmienić każdą przestrzeń, wewnątrz lub na zewnątrz, w taneczny parkiet. Potężne brzmienie JBL Pro Sound i głęboki bas wypełnią szeroką scenę dźwiękową, poruszając tłum, a zsynchronizowane z rytmem efekty – wirujące światła gwiazd, smugi świetlne i stroboskopy – będą cieszyć oko.

Dostępne dwa wejścia: mikrofonowe i gitarowe umożliwiają prezentację na scenie. Można sterować przebiegiem imprezy przez całą noc za pomocą interaktywnych efektów. Solidny uchwyt teleskopowy i szerokie,





wytrzymałe kółka JBL PartyBox Stage 320 pozwalają przetoczyć go niemal wszędzie, a dzięki odpornej na zachlapania konstrukcji nawet niewielki deszcz nie zepsuje zabawy.

JBL deklaruje, że wbudowany w nowy głośnik akumulator zapewni do 18 godzin odtwarzania. Co więcej, akumulator jest wymienny, więc wystarczy go wymienić i można bawić się dalej. Oczywiście dodatkowy wymienny akumulator sprzedawany jest oddzielnie.

Za pomocą aplikacji JBL PartyBox można bezprzewodowo połączyć wiele głośników JBL przez Auracast™. Łatwo w ten sposób spotęgować doznania z JBL PartyBox Stage 320.





Nowy głośnik emituje donośne dźwięki korzystając z dwóch 6,5-calowych głośników niskotonowych oraz dwóch 25-milimetro- wych, kopułowych przetworników wyso- kotonowych. Nie ma znaczenia czy głośnik stoi na zewnątrz, czy wewnątrz pomiesz- czenia. Producent deklaruje, że nowy sprzęt wypełni muzyką przestrzeń wielkości kortu tenisowego.

Efekty świetlne można skorelować z dźwię- kiem uzyskując fantastyczne światła gwiazd, świetliste smugi i stroboskopy zsynchronizo- wane z rytmem muzyki.

Według informacji producenta 10 minut szybkiego ładowania wystarczy na dodat- kowe 2 godziny pracy. Teleskopowy uchwyt i szerokie, wytrzymałe kółka pozwalają wje- chać na imprezę z przytupem albo ustawić głośnik dyskretnie w rogu ze złożoną rączką. Odporność na zachlapania na poziomie IPX4 pozwala na swobodne imprezowanie z przy- jaciółmi w parku lub nad morzem, gdzie nie straszny nawet niewielki deszcz.

Pełnię możliwości głośnika wykorzystać można w pełni dzięki technologii AI Sound Boost, która analizuje sygnał przychodzący w czasie rzeczywistym, jednocześnie wyko- rzystując algorytm sztucznej inteligencji do



przewidywania ruchu głośnika i dostosowywania jego parametrów. W ten sposób w pełni zostają wykorzystane możliwości przetworników i zakres dynamiczny, aby uzyskać lepszy i mocniejszy dźwięk. AI Sound Boost zmniejsza też zniekształcenia nawet przy dużej głośności, maksymalizując wydajność basu i ogólną głośność. Jeśli chce się uzyskać jeszcze mocniejsze uderzenie oryginalnego brzmienia JBL Pro Sound wystarczy sparować dwa głośniki za pomocą technologii Auracast™ w system stereo, aby uzyskać szerszą scenę dźwiękową lub bezprzewodowo połączyć wiele głośników JBL PartyBox na największe imprezy.

Z głośnikiem JBL Partybox Stage 320 śmiało można grać i śpiewać, używając wejść: mikrofonowego i gitarowego/mikrofonowego. Dzięki dostrojeniu korektora do karaoke i odpowiednim efektom świetlnym, każdy zabrzmi – i zabłyśnie – jak supergwiazda. Aplikacja JBL PartyBox ułatwia dodawanie interaktywnych efektów imprezowych, sterowanie muzyką, dostrajanie korektora oraz dostosowywanie kolorów i wzorów świateł, aby stworzyć idealny imprezowy klimat.



Po opuszczeniu UE aplikacje na iOS będą działać przez 30 dni

Czytaj dalej...



Samsung The Frame z nową kolekcją Marimekko

Czytaj dalej...



Kierownictwo Apple rozmawia o iPhone, jadąc wózkiem golfowym

Czytaj dalej...



**Opera
z dużym wzrostem
użytkowników iOS
w całej UE**

Czytaj dalej...



**Apple publikuje szczegóły
dotyczące nowego modelu AI
o nazwie MMI**

Czytaj dalej...

**TP-Link Tapo C425 i C120
– dwie nowe, wodoodporne
kamery 2K QHD**

Czytaj dalej...





Apple kupiło DarwinAI

Czytaj dalej...



**Nowy iPad Pro może być
dostępny z matowym
ekranem**

Czytaj dalej...



**Apple opracowuje
technologię
antyrefleksyjnego
ekranu?**

Czytaj dalej...



Apple dopuściło do App Store fałszywą aplikację okradającą ludzi

Czytaj dalej...



Samsung po raz 10 liderem rynku soundbarów

Czytaj dalej...



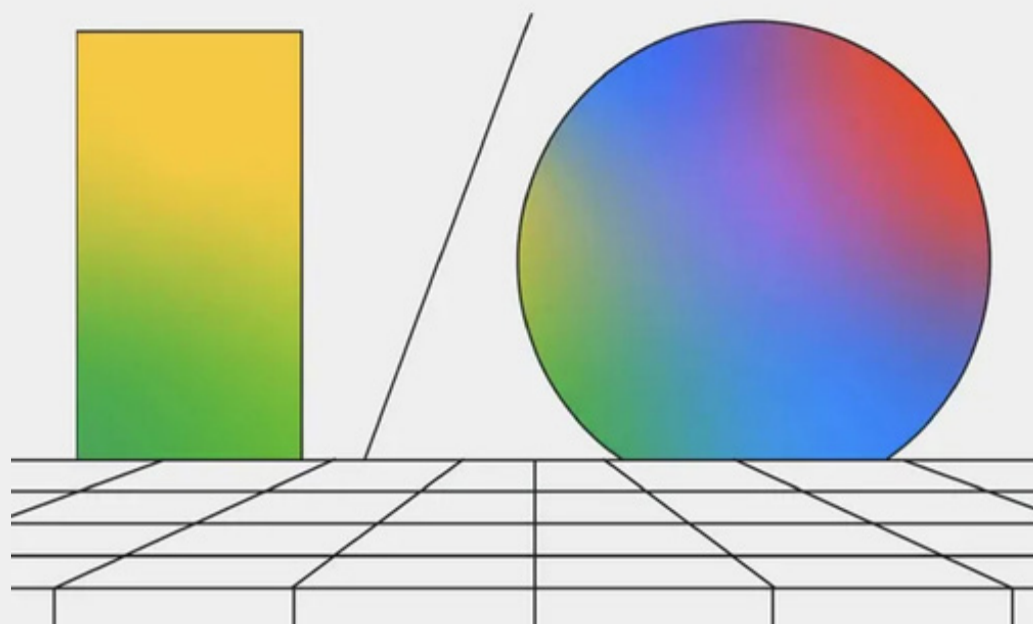
Apple udostępnia nowy sposób przeglądania aplikacji dla Vision Pro – nie musisz mieć urządzenia

Czytaj dalej...



Google I/O rozpocznie się 14 maja – spodziewaj się AI, AI i jeszcze raz AI

Czytaj dalej...



Pozew zbiorowy w sprawie stalkingu z użyciem AirTag

Czytaj dalej...

Nowe AirPods: masowa produkcja w maju, w sklepach na jesieni

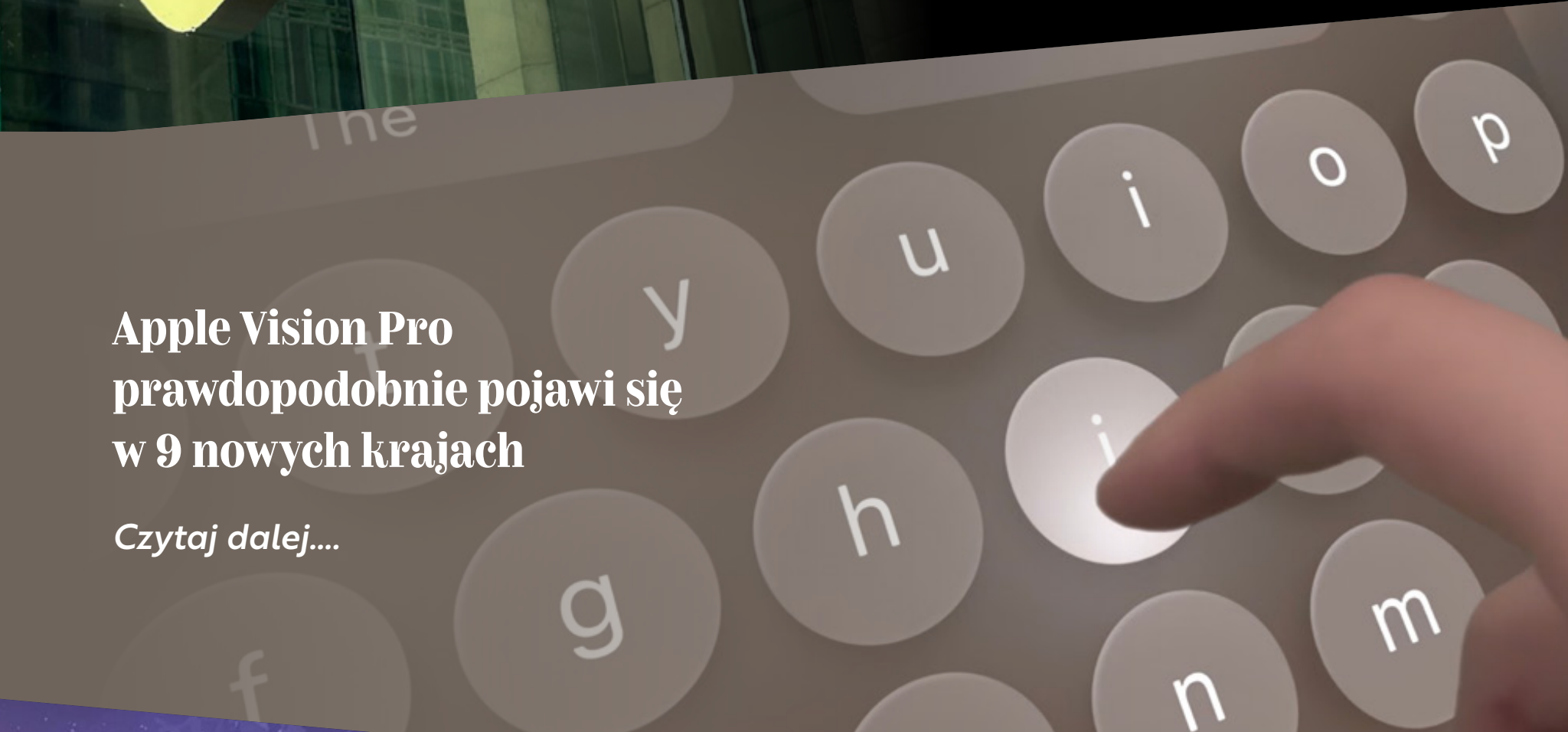
Czytaj dalej...






Apple umożliwi pobieranie aplikacji z pominięciem App Store, ale tylko wybranym developerom

Czytaj dalej...



Apple Vision Pro prawdopodobnie pojawi się w 9 nowych krajach

Czytaj dalej...



Voyager 1 się odezwał, czy jest nadzieja na odzyskanie kontaktu?

Czytaj dalej...



Apple Vision Pro, po raz kolejny, w roli rozwiązania dla służby zdrowia

Czytaj dalej...



LinkedIn

5 najpopularniejszych oszustw na LinkedIn

Czytaj dalej...

Apple wycofa się z ekranów microLED w zegarkach Apple Watch

Czytaj dalej...





Apple na rzecz Restore Fund – funduszu odpowiedzialnego za pielęgnację Puszczy Atlantyckiej

Czytaj dalej...

Apple opracowało procesor odpowiadający czterem jednostkom Apple M2 Ultra

Czytaj dalej...



Apple Watch odzyska pomiar pulsu w USA dopiero w 2028 roku?

Czytaj dalej...



Google wprowadza zmiany w wyszukiwarce

Czytaj dalej...

Google

Szukaj w Google

Szczeniwy traf



Dan Riccio, weteran inżynierii w Apple wkrótce odejdzie na emeryturę – Vision Pro pożegnalnym projektem?

Czytaj dalej...

iFixit rozebrało nowego MacBooka Air

Czytaj dalej...





Creative Pebble X - systemy głośnikowe z konfigurowalnym oświetleniem RGB i technologią Bluetooth 5.3

SINGAPUR - 14 lutego 2024 r. - Firma Creative Technology przedstawia najnowsze zestawy głośnikowe z serii PEBBLE, Creative Pebble X i Creative Pebble X Plus. Zestawy głośnikowe z serii PEBBLE zostały docenione przez szeroką społeczność związaną z dobrym audio i są inspiracją do tworzenia i ulepszania kolejnych modeli ze wspomnianej linii audio przez firmę Creative. Nowa linia może pochwalić się imponującą mocą 30W w RMS i mocą szczytową do 60W. Oprócz wyjątkowych możliwości dźwiękowych, producent zaimplementował konfigurowalne oświetlenie RGB, dzięki któremu użytkownicy mogą stworzyć wyjątkowy pokaz świetlny połączony z dźwiękiem wydobywającym się z głośników Pebble X i Pebble X Plus. Zestawy głośnikowe skierowane są dla osób lubiących urzekającą estetykę połączoną ze świetną jakością dźwięku.

Pebble X to głośniki w systemie 2.0 posiadające wbudowane pełnozakresowe przetworniki 2,75" i pasywne membrany odpowiedzialne za





wzbogacenie niskich tonów. Zestaw Creative Pebble X Plus wyposażone są dodatkowo w elegancki subwoofer z 3,5" przetwornikiem niskotonowym i dwoma pasywnymi membranami. Głośnik niskotonowy został tak zaprojektowany, aby był na tyle kompaktowy, żeby można go było zmieścić na każdym biurku. Dzięki dodatkowym funkcjom, takim jak Dialog+ i Bass-Flex, głośniki mogą zapewnić mocny bas i krystalicznie czyste dialogi bez utraty głośności. Obydwa modele charakteryzują się kultową konstrukcją gdzie przetworniki pełnozakresowe w satelitach są pochylone względem odsłuchującego o 45° tak jak we wszystkich obecnych i poprzednich wersjach głośników z serii PEBBLE. W Creative Pebble X i Pebble X Plus zastosowano przetworniki, które zostały specjalnie dostrojone by zachować wysoką jakość dźwięku. Zestawy głośnikowe z serii X dostają technologię przetwarzania dźwięku „Clear Dialog”, która ma za zadanie zapewnić czysty wyraźny dźwięk w trakcie oglądania filmów, słuchania muzyki lub korzystania z komunikatorów głosowych.

Za łączność i bezprzewodowe przesyłanie dźwięku odpowiada technologia Bluetooth 5.3. Oprócz trybu bezprzewodowego w zestawach głośnikowych Pebble X znajdziemy uniwersalny port AUX 3,5mm, połączenie cyfrowe USB, za pomocą, których możemy podłączyć zestaw głośnikowy do



większości urządzeń multimedialnych. Dla zwiększenia wygody komunikacji w głośnikach zastosowano porty 3,5mm dla mikrofonu i słuchawek.

Użytkownicy systemu Windows mogą pobrać dedykowane oprogramowanie dla głośników Pebble X. Aplikacja zapewnia użytkownikom dostęp do rodzimych technologii audio Sound Blaster Acoustic Engine, takich jak Surround, Smart Volume, Bass, Crystallizer i EQ. Użytkownicy mogą także personalizować oświetlenie RGB i inne funkcje za pomocą modułów aplikacji Creative, które są dostępne w systemach Windows, Apple App Store i Google Play Store.

Pomimo niewielkich rozmiarów głośniki te mogą zapewnić użytkownikom moc akustyczną sięgającą 15W w RMS i szczytową do 30W po podłączeniu do portu USB z komputera. Po podłączeniu do zasilacza PD o mocy 30W (lub wyższej)* głośniki zapewniają moc szczytową nawet do 60W.

Ceny i dostępność:

Creative **Pebble X** kosztuje 439zł, natomiast **Pebble X Plus** 599zł i można go zamówić na stronie [Creative.com](https://www.creative.com).



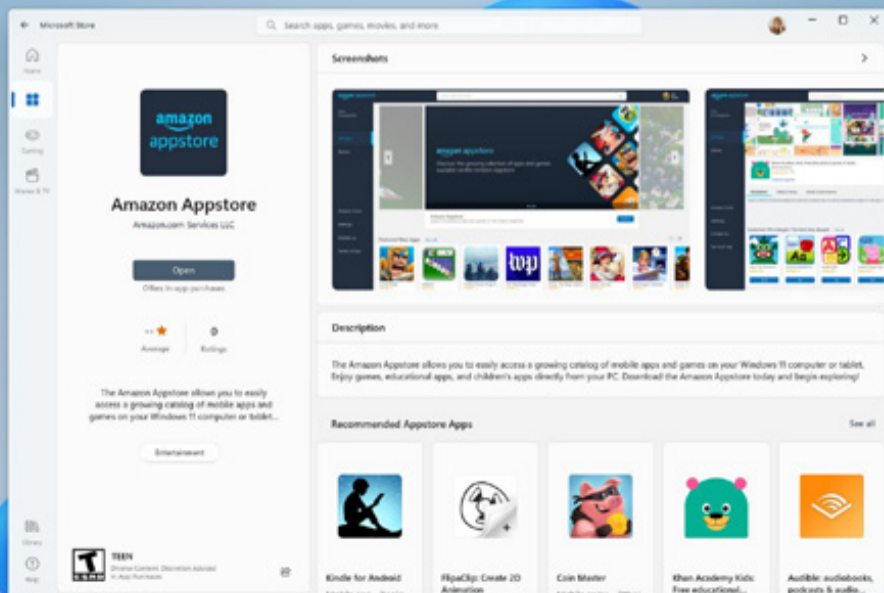
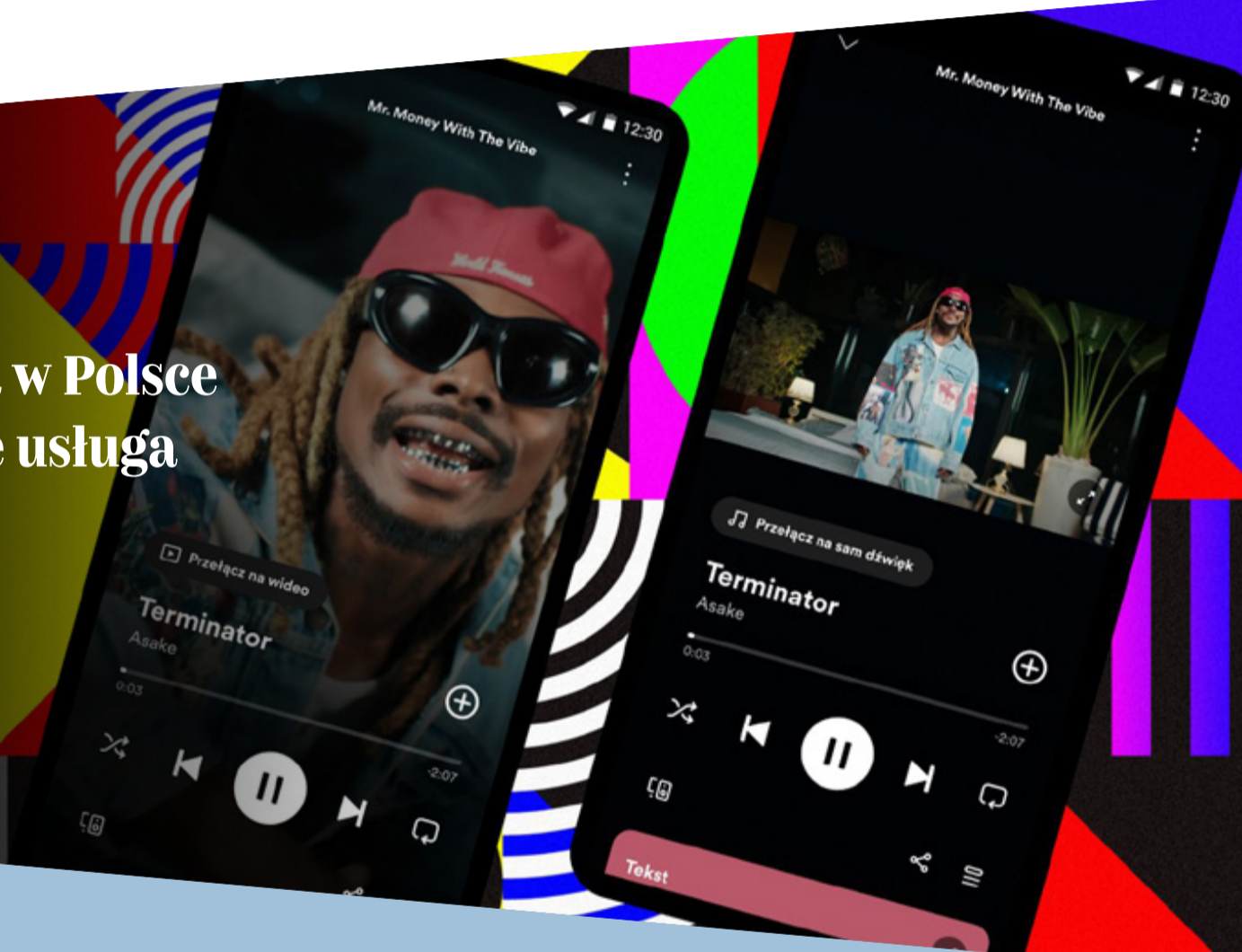
NETFLIX

Narzekasz na ceny usługi Netflix? W Polsce wcale nie są najwyższe

Czytaj dalej...

Spotify wprowadza w Polsce teledyski – na razie usługa w wersji beta

Czytaj dalej...



Microsoft kończy z Androidem w Windows

Czytaj dalej...



Apple ID dostanie nową nazwę?

Czytaj dalej...



Apple ID Account



Apple wycofało ze sprzedaży MacBooki Air z MI

Czytaj dalej...

Tim Cook: Apple da AI nowe życie

Czytaj dalej...



Ładowarki w latarniach ulicznych – Gdynia idzie w ślady Holandii

Czytaj dalej...



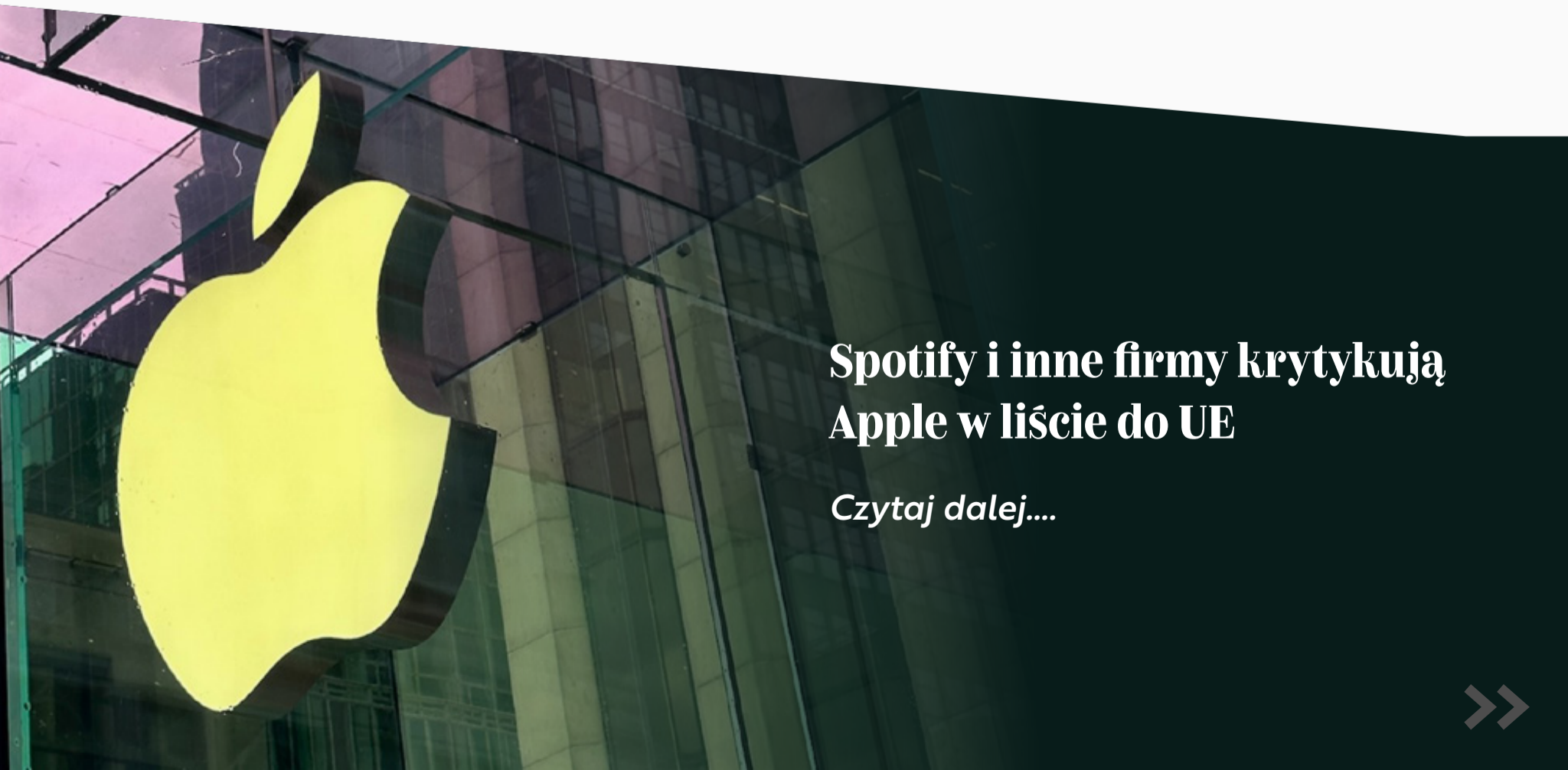
Amazon ostrzega przed FineWoven

Czytaj dalej...



Spotify i inne firmy krytykują Apple w liście do UE

Czytaj dalej...



Kuo: Apple planuje 20-calowego MacBooka ze składanym ekranem

Czytaj dalej...



Waze ogłasza 6 nowych funkcji

Czytaj dalej...

Apple pokazuje, jak Apple Watch uratował kolejne życia

Czytaj dalej...





USŁYSZ WIĘCEJ, NIŻ TYLKO MUZYKĘ.

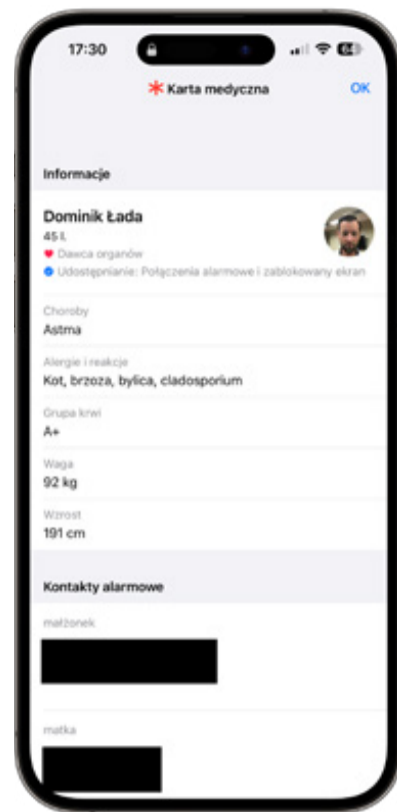
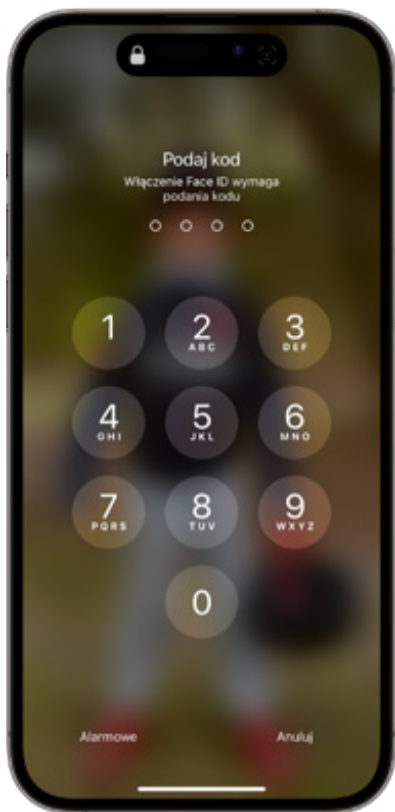
Z MOMENTUM
True Wireless 4



SENNHEISER

www.sennheiser.pl

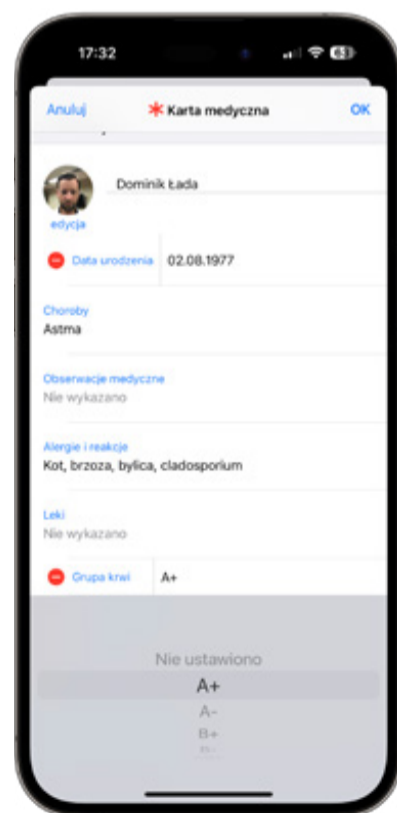




**JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU**

KARTA MEDYCZNA W iPHONE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU

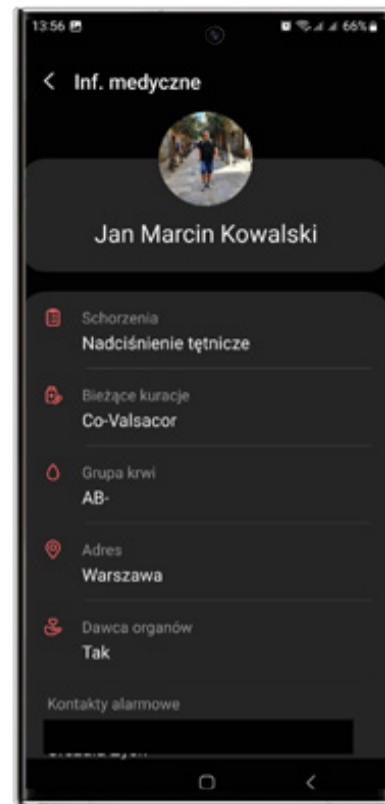


JAK UZUPEŁNIĆ



iMAGAZINE

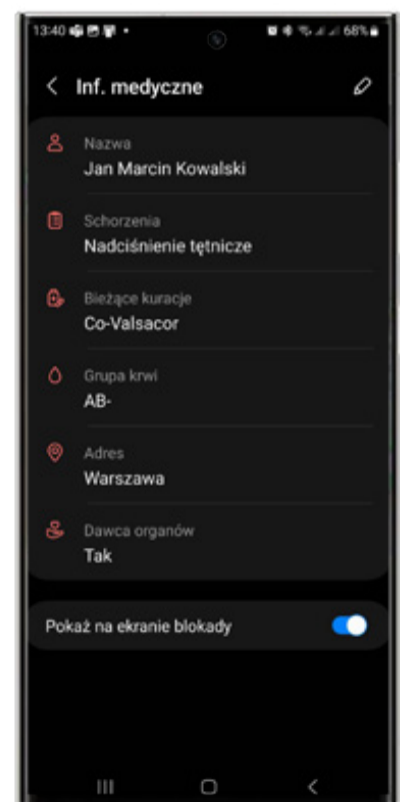
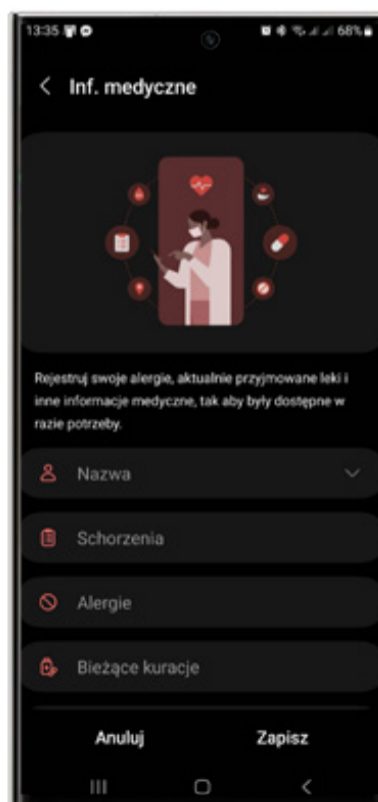
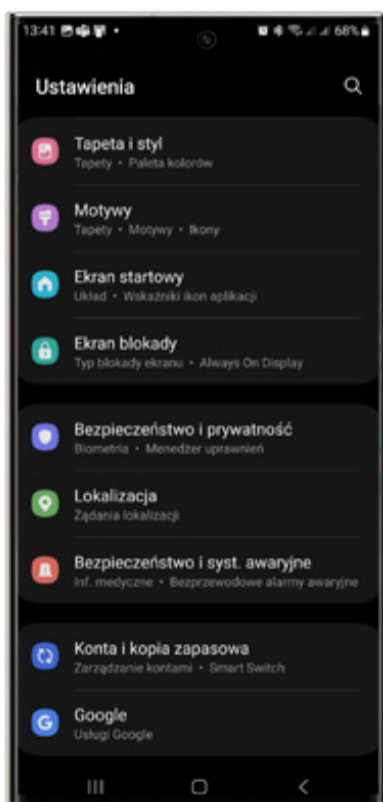
**JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU**



INFORMACJA MEDYCZNA W ANDROIDZIE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU

JAK UZUPEŁNIĆ



SAMSUNG

iMAGAZiNE

 tp-link | tapo

Bezpieczny, Prosty, Smart!

Zobacz kto Cię odwiedza

W pełni
bezprowadowy
wideodzwonek
do drzwi

Tapo D230S1



Do 180 dni
pracy na baterii



Tryb nocny



Czujnik ruchu



Alarm
antykradzieżowy



Dwukierunkowa
transmisja
audio



Obsługa
poprzez
aplikację



www.tp-link.com.pl

works with 

works with  Google Home



ADALBERT FREEMAN
@FreemanAdalbert

Czy warto jechać do Calpe na rower?

Czym jest Calpe? Dokładnie to Calp – miasto w regionie Walencji nad Morzem Śródziemnym. Zamieszkiwane przez około 20 000 osób, w większości nie są to Hiszpanie. Miasto typowo turystyczne, jakich wiele na mapie Hiszpani. Jednak wyróżnia je jedna rzecz. Kolarze.







Kolarze w Calp są wszędzie. Widać ich, gdy w ciągu dnia zbliżamy się do miasta. Są pojedynczy cykliści, kolorowe grupki oraz zorganizowane profesjonalne teamy z samochodami technicznymi, fotografami i całą obsługą. Największe natężenie jest na początku roku, tak do marca. Potem już ruch trochę przygasa. Związane jest to z kalendarzem zawodów kolarskich. Jednak kolarze są tu cały rok, zmienia się tylko profil osób. Pierwsi są zawodowcy, później przyjeżdżają ambitni amatorzy, ostatni – kolarscy turyści. Oczywiście to duże uogólnienie, ale z moich obserwacji tak to wygląda.

Ja staram się być w tej drugiej grupie. Chcę być ambitnym amatorem i w tym roku postawiłem na treningi. Od stycznia zacząłem plan treningowy na trenażerach. Opis jednego z nich macie w tym numerze iMagazine. Zwieńczeniem przepracowanej zimy i wczesnej wiosny miał być wyjazd do Calpe. Tam miałem już szlifować formę przed zawodami Ultra Gravel, które są w maju. 550 km nie da się przejechać tak z dnia na dzień. Trzeba trochę potrenować. Postanowiłem razem z przyjacielem wykupić zorganizowany wyjazd z jednym z najlepszych, o ile nie najlepszym, organizatorem wyjazdów



rowerowych MJPro Tour. Organizator miał wyjazdy podzielone na tury, nasz był ostatnim, szóstym do Calp.

Pierwszy raz jechałem na rower bez roweru. Wykupiony wyjazd obejmował noclegi w apartamencie, transfer z i na lotnisko w Alicante oraz wypożyczenie roweru. Po podpisaniu umowy dostałem propozycję wyboru klasy roweru z możliwością podwyższenia klasy za niewielką opłatą. Wybrałem rower na nowej grupie napędowej Shimano 105 Di2. Wraz z wyborem roweru trzeba podać swoje wymiary oraz wymiary, jakie mamy w swoim rowerze, by mechanicy mogli wcześniej przygotować sprzęt. Ja, mając rower po bikefitingu, dokładnie kreśliłem wszystkie parametry. Mój przyjaciel podał tylko swoje wymiary. Mechanicy mieli mu ustawić standardowo rower. Jedyne, co trzeba ze sobą zabrać, to pedały oraz licznik z uchwytem na kierownicy. Ja już wcześniej kupiłem pedały Garmin'a z pomiarem mocy. Miałem więc wszystko jak przy swoim rowerze.





Po przylocie i przetransferowaniu do apartamentu poszliśmy odebrać rowery. Były już dla nas przygotowane, mechanik przykręcił nam przywiezione pedały i liczniki. Każdy rower dostał małą torebkę podsiodłową z zapasową dętką, łyżkami oraz nabojem CO2 do awaryjnej naprawy koła. Rowery wyglądały na nowe lub z bardzo małym przebiegiem. W przypadku moim i mojego kolegi ustawione były idealnie. Nie trzeba było niczego poprawiać czy przestawiać.

Organizator przed przylotem założył grupę na komunikatorze, w której byli wszyscy z turnusu. To był nasz kanał wymiany informacji. Każdego dnia wieczorem dostawaliśmy opis trasy lub tras na następny dzień oraz pliki do wgrania do swoich liczników z trasą. Trasy były podzielone na najtrudniejszą, np. 200 km i 3500 m przewyższeń, poprzez średnią i taką najmniej wymagającą, choć i tak trudną. Z każdą grupą jechał „opiekun”. W opisie były wskazane możliwości skrótów czy ciekawe miejsca. Trasy były też dobrane z uwzględnieniem pogody, jaka była w miejscu docelowym.

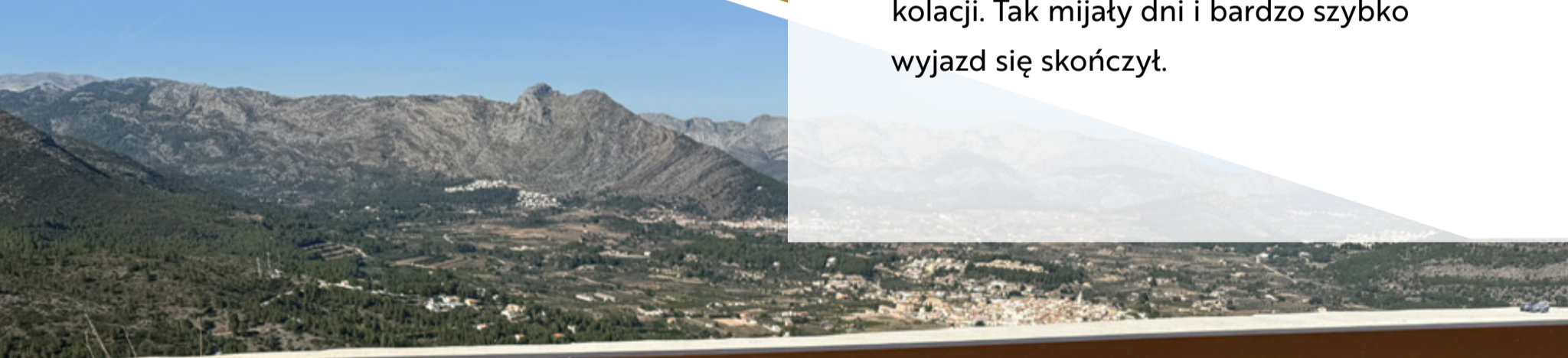
Niestety u mnie było jak zawsze inaczej. Ja przyleciałem do Hiszpanii przeziębiony i z mocnymi atakami astmy. Czasami tak jest, że cały rok jest się zdrowym i w najmniej odpowiednim momencie jest gorzej.



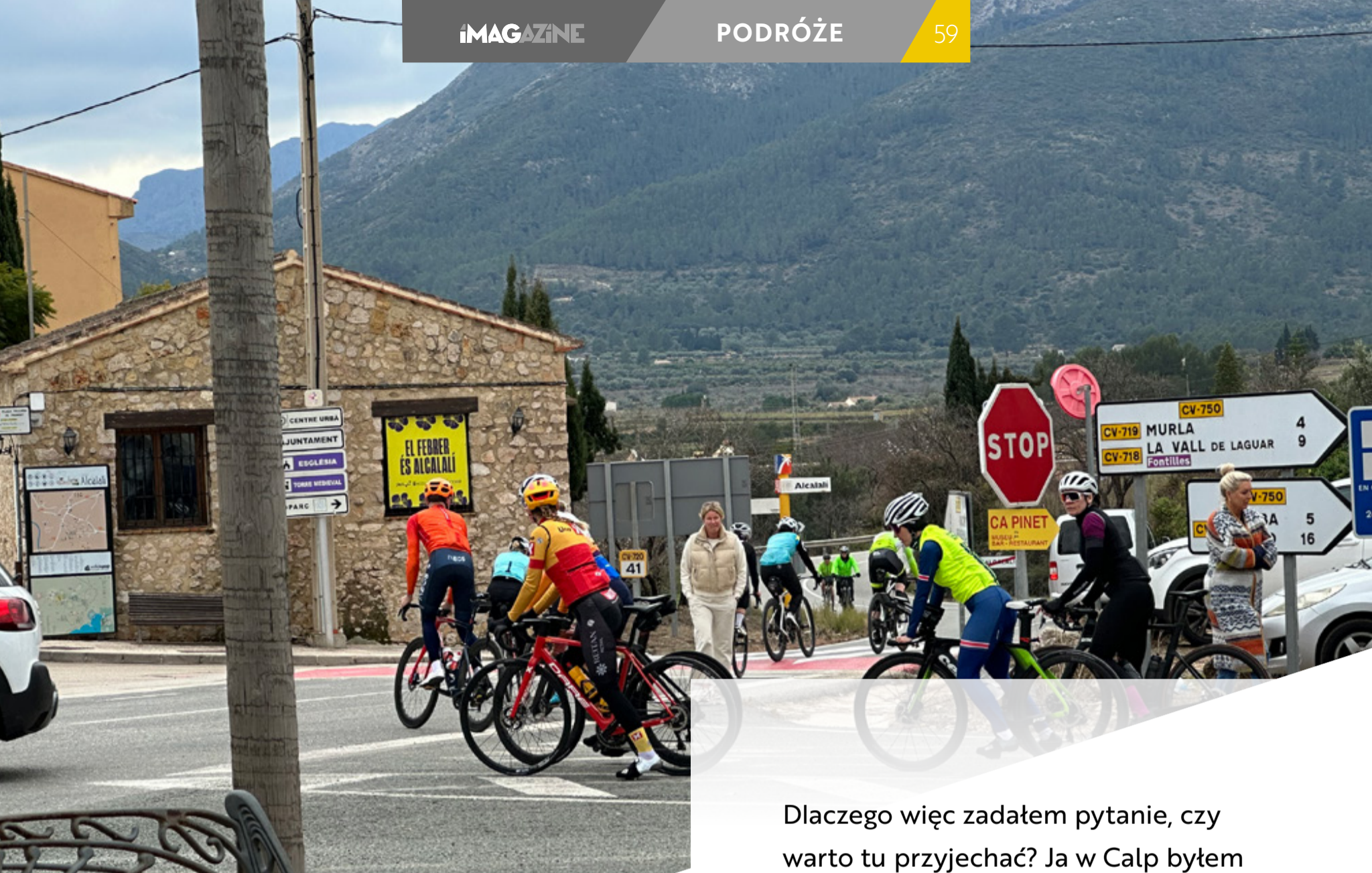


Jedyny pozytyw to fakt, że pogoda i tak pozwalała mi na wychodzenie i wysiłek o mniejszym natężeniu niż reszta grupy. Prawie każdego dnia udało mi się spędzić kilka godzin na rowerze. Przypląciłem to pełnowymiarową chorobą po powrocie i antybiotykami.

Każdy poranek zaczynaliśmy od wspólnej kawy w barach nad morzem. Potem koło 9:00–10:00 wyjazd. Po powrocie zawsze była chwila na omówienie jazdy i podzielenie się wrażeniami w kawiarni i wypożyczalni rowerów potocznie nazywanej „U Belgów”. Serwowała belgijskie piwo, dobrą kawę i koktajle białkowe. Wieczorem spotykaliśmy się na obiadokolacji. Tak mijały dni i bardzo szybko wyjazd się skończył.







Dlaczego więc zadałem pytanie, czy warto tu przyjechać? Ja w Calp byłem drugi raz, ale pierwszy w zorganizowanej grupie. Poprzednim razem miałem swój rower, sam ogarniałem sobie trasy. By dotrzeć do Calp, wynająłem samochód. Teoretycznie mało być też taniej i lepiej. Nie chciałem być ograniczony przez grupę. Trochę obawiałem się tego, że będę obciążeniem dla lepszych zawodników lub że ktoś inny nie będzie mnie spowalniał. Gdy jesteśmy sami, nie ma takich problemów. Wychodzisz, kiedy chcesz na rower, nie musisz na nikogo się oglądać. Myliłem się, dobry organizator potrafił tak zorganizować grupy, że nie było z tym problemów. Każdy mógł znaleźć swoje miejsce. Wspólne wieczorne spotkania przy świetnym jedzeniu dodawały jeszcze większej wartości z jazdy, a możliwość dzielenia się tymi





samymi emocjami dodatkowo dodawała przyjemności z bycia w kolarzkiej rodzinie.

Każdy dzień to było opowiadanie, jakich sławnych kolarzy się mijano. Ja sam widziałem drużyny z pro pelotonu, takie jak Astana Qazaqstan, Decathlon AG2R la Mondiale i Team Visma. Koledzy mieli możliwość jechać chwilę za Mathieu van der Poel – wielokrotnym mistrzem świata w kolarstwie przełajowym i szosowym. To jest ogromna wartość dodana tego miejsca. Możliwość przebywania w tym samym miejscu i czasie, co reprezentanci kraju czy zawodnicy, których oglądamy w największych wyścigach świata.

Calp ma jednak też wady. Pierwszą jest pogoda. To nie jest najlepsze pod tym względem miejsce na trenowanie na początku roku. Dużo lepiej jest polecieć do Malagi i Andaluzji, gdzie pogoda jest dużo przyjemniejsza i jest mniejsze prawdopodobieństwo deszczu. Jeszcze lepiej polecieć na Teneryfę. Tam mamy jeszcze cieplej, a nadal przyjemnie na jazdę rowerem. Dużym rozczarowaniem też są widoki, jakie oglądamy. Nie są wybitne, w dużej części to zabudowana ze zwykłymi szarymi domami. Zupełnie inaczej niż wspomniana wyżej Andaluzja, gdzie mamy



pueblo blanco, czyli słynne białe wioski zagubione gdzieś na zboczach gór. Jeśli chcemy zagubić się samemu lub w grupie, to właśnie tam. Nie będziemy mijali tylu samochodów czy kolarzy, za to widoki zmuszą nas do zatrzymania się i robienia zdjęć.

Czy warto jechać na rower do Calpe? Gdy zapytałem Dominika, on od razu powiedział, że warto. Ja teraz bym się zastanowił. Jeśli z grupą i aby trenować, to tak. Jeśli chciałbym pojeździć rowerem, pojechałbym na Teneryfę lub do Andaluzji, gdzie za każdym pokonanym szczytem odstawia się jeszcze piękniejszy widok, a zagubione wioski i kawiarnie rekompensują te oblegane, kolarskie, znane z rejonów Calpe. Moja odpowiedź na zadane pytanie brzmi więc: to zależy.



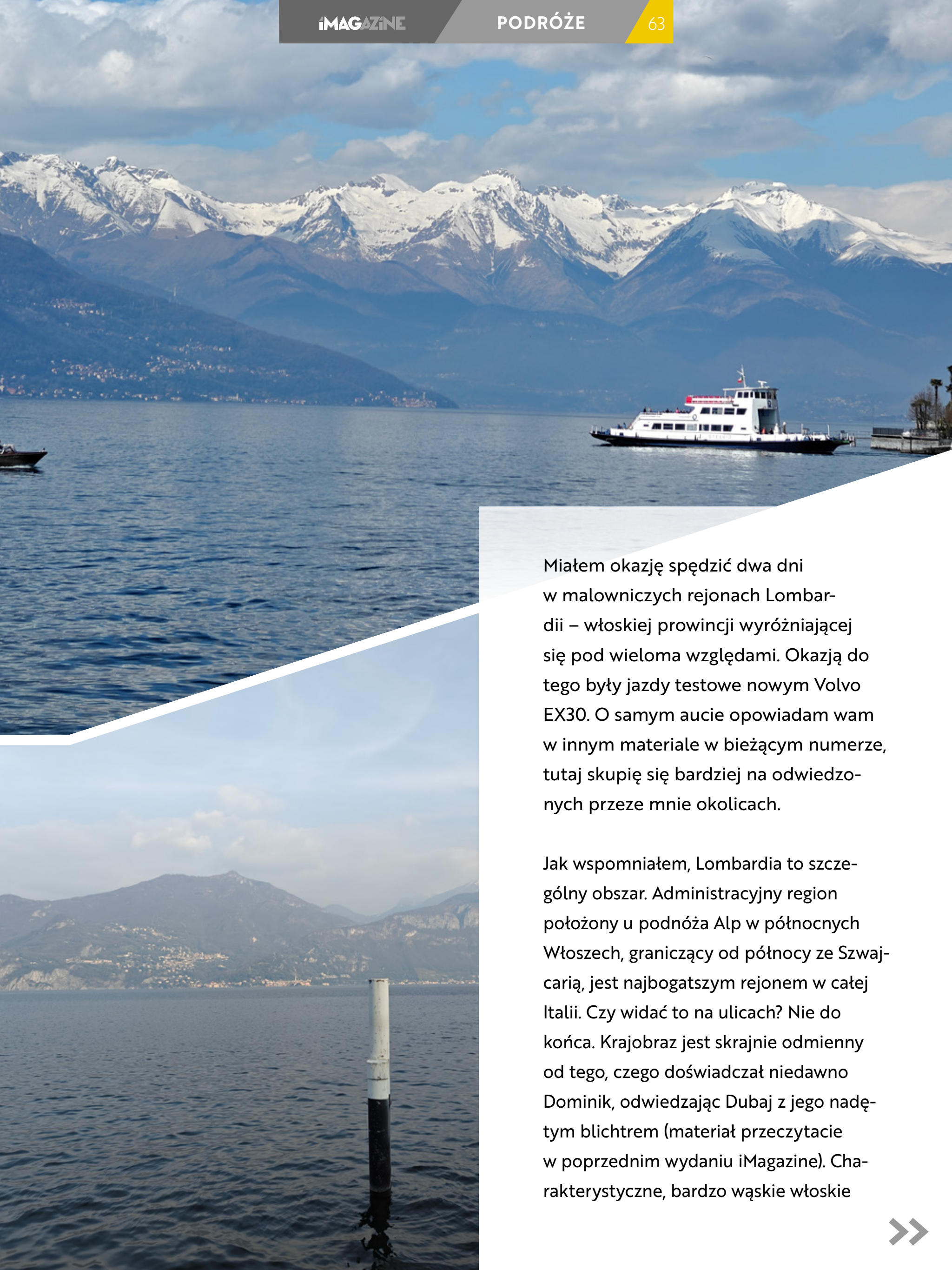


DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Lago di Como

Miałem okazję spędzić dwa dni w malowniczych rejonach Lombardii – włoskiej prowincji wyróżniającej się pod wieloma względami. Okazją do tego były jazdy testowe nowym Volvo EX30. O samym aucie opowiadam wam w innym materiale w bieżącym numerze, tutaj skupię się bardziej na odwiedzonych przeze mnie okolicach.





Miałem okazję spędzić dwa dni w malowniczych rejonach Lombardii – włoskiej prowincji wyróżniającej się pod wieloma względami. Okazją do tego były jazdy testowe nowym Volvo EX30. O samym aucie opowiadam wam w innym materiale w bieżącym numerze, tutaj skupię się bardziej na odwiedzonych przeze mnie okolicach.

Jak wspominałem, Lombardia to szczególnie obszerny region. Administracyjny region położony u podnóża Alp w północnych Włoszech, graniczący od północy ze Szwajcarią, jest najbogatszym rejonem w całej Italii. Czy widać to na ulicach? Nie do końca. Krajobraz jest skrajnie odmienny od tego, czego doświadczał niedawno Dominik, odwiedzając Dubaj z jego nadętym blichтром (materiał przeczytacie w poprzednim wydaniu iMagazine). Charakterystyczne, bardzo wąskie włoskie



uliczki, po których jeździ się na „żyletkę”, klimatyczne miasteczka istniejące w tym rejonie od wieków, stare kamieniczki, których drzwi wychodzą wprost na brukowaną drogę – wszystko to buduje klimat tego miejsca. Zaczynam rozumieć, dlaczego Włosi się nie spieszą. Do tego kojący nastrój spokojnej toni Lago di Como, jednego z największych jezior we Włoszech. To także najgłębsze jezioro w całych Alpach i jedno z najgłębszych w Europie. Spędziwszy tu kilkadziesiąt godzin, absolutnie nie dziwię się, że swoje rezydencje posiadają tu m.in. George Clooney, Madonna, Sylvester Stallone czy Brad Pitt. To niemal magiczne miejsce.

Region ten słynie też z wyjątkowo łagodnego jak na Italię klimatu. To również zasługa Lago di Como. Zimy są łagodne dzięki olbrzymim ilościom wody nagrzanej podczas wcześniejszego lata. To klimatyczne sprzężenie zwrotne działa również w drugą stronę: lata nad jeziorem Como, choć ciepłe, nie są upiornie upalne. Duże jezioro zasilane lodowatą wodą górskich rzek i strumieni działa jak gigantyczny klimator. Lago di Como jest głębokie, ale jak bardzo? Największa głębokość na Bałtyku to 459 metrów. Głębokość Lago di Como to 425 metrów. A ponieważ lustro wody w tym alpejskim jeziorze znajduje się na wysokości niecałych 200 metrów nad poziomem morza, to, jak łatwo zauważyć, mamy tu do




czynienia z tzw. kryptodepresją; dno jeziora jest znacznie niżej od poziomu morza. Stojąc na brzegu jeziora, wręcz czujesz tę głębię. Z pewnością wiecie, o jakim uczuciu mówię. To charakterystyczne poczucie majestatu natury. W jakim miejscu czułem się podobnie? Na przykład na brzegu Wielkiego Kanionu Colorado. Tego się po Lago di Como nie spodziewałem. Zrozumiałem jednak, dlaczego właśnie w takim miejscu kręcono sceny m.in. do „Gwiezdných Wojen”, o przygodach Jamesa Bonda nie wspominając.

Szkoda, że podczas pobytu praktycznie nie miałem czasu na samodzielne zwiedzanie okolic. Jednak organizatorzy wydarzenia z Volvo Car Poland stanęli na wysokości zadania, zapewniając nam także zasmakowanie Lombardii z innej perspektywy niż z za kierownicy testowanych aut. Pierwszego dnia trafiłem na przykład na... warsztaty kulinarne w Casa7 w Como. Formalnie, gdy zajrzycie do Google, wyszukiwarka zwróci wam informację, że to sklep meblowy. Nic bardziej mylnego. To zlokalizowane praktycznie w centrum Como, na via Armando Diaz (via to po włosku ulica) klimatyczne miejsce zbudowane wspólnie przez Giovanniego Zoffoli i jego partnerkę Vivianę Lapertosa. Przejęli oni istniejący w tym miejscu wcześniej







salon wystawowy Bulthaup i zaprojektowali przestrzeń, która absolutnie nie wygląda jak zwykły punkt sprzedaży, lecz wygodne miejsce „jak w domu”. Miejsce, w którym nie czujesz się jak klient, lecz jak oczekiwany gość. Pani Lapertosa, prowadząca zorganizowane warsztaty kulinarne (tak, nauczyłem się robić kilka specjałów kuchni włoskiej, co wcześniej uważałem za całkowitą abstrakcję), to zresztą gwiazda kulinarna, autorka wielu książek dotyczących kuchni włoskiej, niekoniecznie z regionu Lombardii. Prowadzi także program telewizyjny, co ciekawe, na jednym z kanałów telewizji szwajcarskiej, a nie włoskiej.

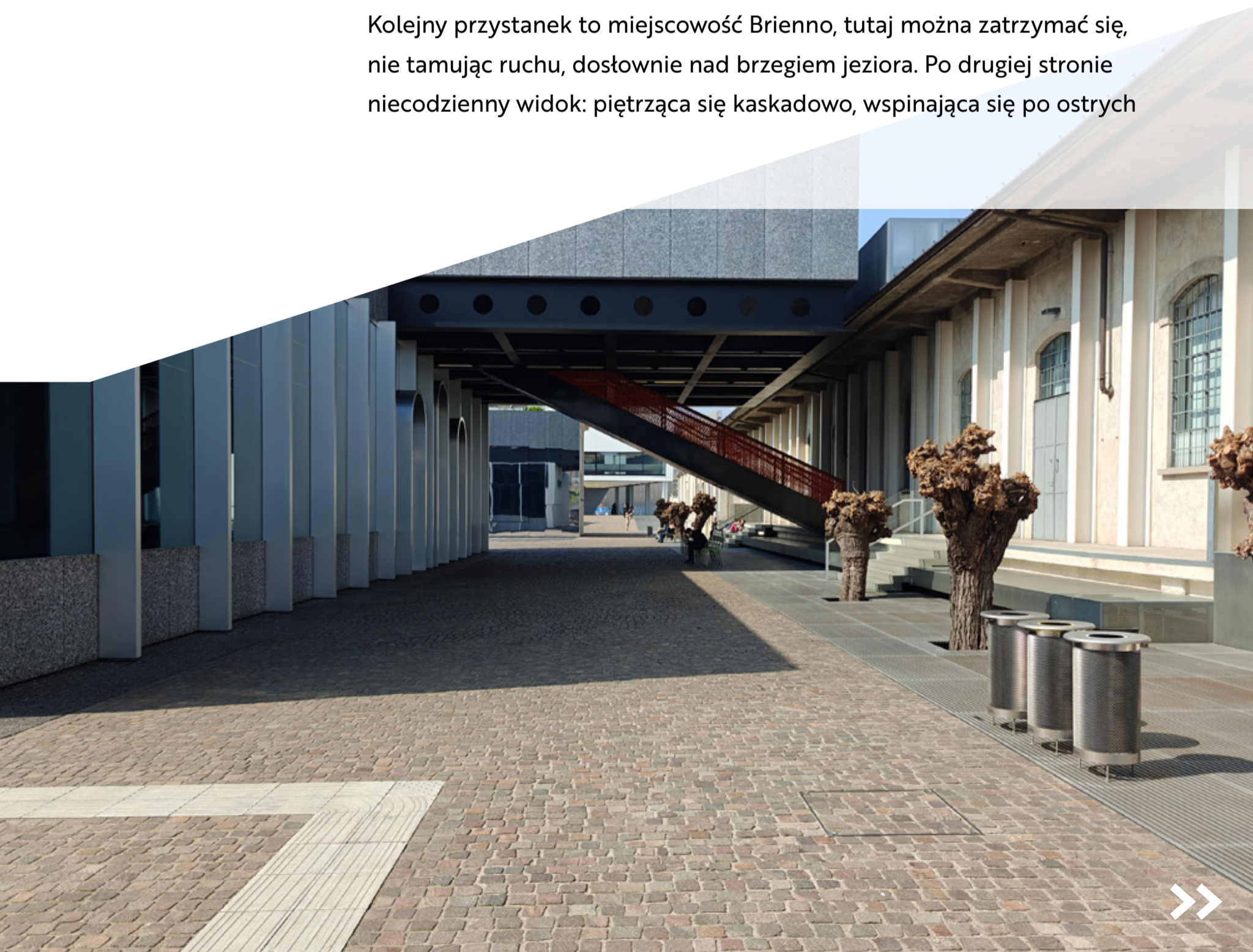
Ruszamy dalej w trasę. Podróżując autem dookoła jeziora Lago di Como – do czego zachęcam zmotoryzowanych, łaknących wspaniałych widoków i niespiesznie pokonywanych, wyjątkowo malowniczych tras – pamiętajcie o fotoradarach. Tu jest inaczej niż w Polsce. Raz: jest ich znacznie więcej niż u nas, a dwa: są znacznie gorzej oznakowane. Zresztą, pośpiech tu nie ma sensu, traci się wtedy spektakularne pejzaże. Z Como przejeżdżamy przez San Bartolomeo i wzdłuż zachodniego brzegu jeziora kierujemy się na północ w stronę miejscowości Cernobbio, pokonujemy ją i droga zaczyna się pięć ostro w górę. Łagodne łuki zmieniają się w ostre, górskie zakręty, wciąż się wspinając, docieramy na parking na via Della Liberta,



kawałek dalej trafiamy do miejsca, które warto odwiedzić: Il Gatto Nero, czyli, w wolnym tłumaczeniu Czarny Kot. To jedna z najlepszych restauracji w regionie. Świetne, klimatyczne miejsce na spróbowanie regionalnej kuchni i włoskich win (oczywiście, o ile nie prowadzicie auta). Dostępny na miejscu taras wychodzący na jezioro (pamiętacie, że się wspinaliśmy?) zapewnia niesamowite widoki.

Po chwili ruszamy dalej wzdłuż zachodniego wybrzeża jeziora Como, po drodze mijamy miejscowości Laglio i Torrigo. To właśnie pomiędzy nimi znajduje się posiadłość George'a Clooneya. Fanów amerykańskiego aktora muszą zmartwić. Podobno nie da się do niej podjechać. My nawet nie próbujemy, może i znany aktor, ale każdy ma prawo do prywatności. Zresztą, co tam Clooney, natura szykuje nam tu daleko lepsze kadry, nic nie ujmując aktorskiego kunsztu gwiazdorowi.

Kolejny przystanek to miejscowość Brienno, tutaj można zatrzymać się, nie tamując ruchu, dosłownie nad brzegiem jeziora. Po drugiej stronie niecodzienny widok: piętrząca się kaskadowo, wspinająca się po ostrych





zboczach alpejskiego wzgórza architektura niezwykle malowniczego miasteczka Nesso. Ruszamy dalej, na okrążenie całego jeziora nie ma szans. Nie mamy na to czasu. Skracamy drogę. Docieramy do przeprawy promowej w Menaggio i promem do miejscowości Varenna. Przeprawa jest szybka (trwa ok. kwadrans), kosztuje, o ile dobrze pamiętam, jakieś 4,5 euro. Zjeżdżamy z promu i do Mediolanu do hotelu.

Kolejny dzień zaczynamy w Mediolanie. O samym mieście nie opowiem wam wiele, bo widziałem w nim w zasadzie (poza hotelem) tylko jedno miejsce, ale szczególnie: Fondazione Prada. Idealne i dla miłośników sztuki współczesnej i dla łowców niebanalnych fotek na Instagram. Pech, że nie zaliczam się ani do jednych, ani do drugich, ale doceniam oryginalność tego miejsca. Fondazione Prada to kompleks siedmiu oryginalnych budynków (jeden z nich jest w całości pomalowany na złoto). Zwiedzanie zaczynam od najwyższego piętra 9-piętrowej wieży, w której na poszczególnych kondygnacjach rozmieszczono różnego typu wystawy sztuki nowoczesnej. Najróżniejsze formy, różne środki wyrazu, zabawa zmysłami dla miłośników sztuki nowoczesnej to pozycja obowiązkowa. Tym, którzy się sztuką pasjonują mniej, ale dotrzymują kroku zafascynowanym nią bliskim, podpowiem, że w kawiarni zlokalizowanej w tym kompleksie serwują pyszną kawę i wprost fenomenalne lody. Tak tylko mówię.





Jednak ukoronowaniem drugiego i zarazem ostatniego dnia mojej podróży był przejazd do Bellagio. To jedna z najładniejszych, ale też najbardziej turystycznych miejscowości nad Lago di Como. Wyjątkowo usytuowane miasteczko położone jest na wystającym cyplu i zbiegu trzech odnóg jeziora, tworzącego kształt litery Y. Bellagio znajduje się w samym centrum, otoczone wodami jeziora z trzech stron. To właśnie tu filmowi twórcy uznali, że to właściwie miejsce dla „Gwiezdnych Wojen” czy „Casino Royale”. Czy warto? Ja widziałem zaledwie ułamek atrakcji zapewnianych przez jezioro Como, wiem jedno – kiedyś tu wrócę. Zmotoryzowanym podpowiem tylko, by nie podróżować w tym rejonie wielkimi SUV-ami. Miłośnicy rowerów z pewnością znajdą tu rewelacyjne szlaki. Podczas jazd dookoła Lago di Como mijąłem ich naprawdę wielu.



ELVES
BIKES POLSKA

LUKSUS W PRZYSTĘPNEJ CENIE!



**Niesamowite ramy, koła
i kompletne zestawy z włókna węglowego**



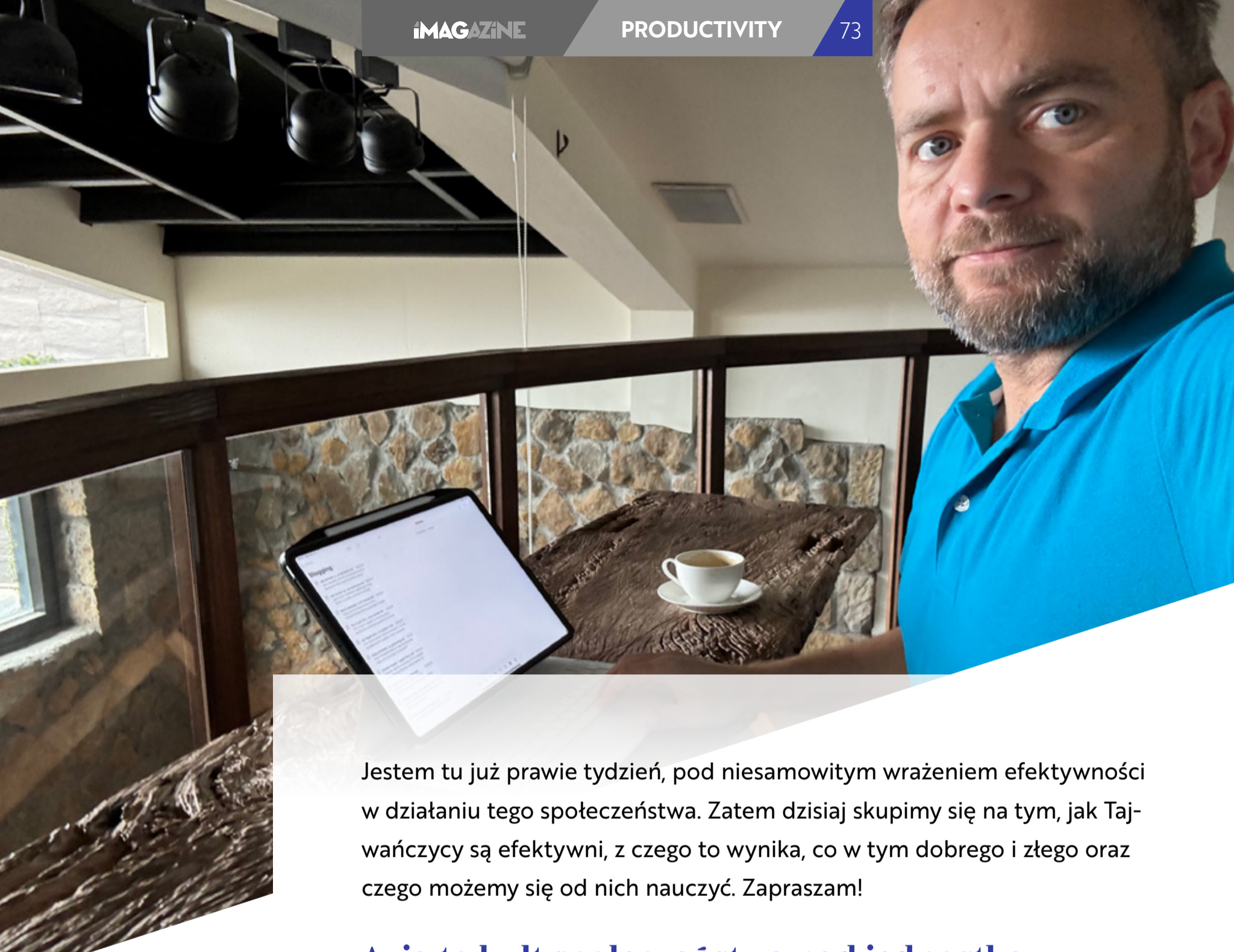


MICHAŁ ŚLIWIŃSKI
@MSliwinski

Efektywność między kultem jednostki a społeczeństwa, czyli przemyslenia podczas wizyty na Tajwanie

Dla Europejczyka wizyta w Azji to prawdziwa atrakcja. Naprawdę warto. Egzotyka niesamowita, mnóstwo rzeczy jest po prostu zupełnie innych niż te, które znamy z naszej codzienności. Piszę te słowa z Tajwanu, wyspy na zachód od Chin, która znana jest z tego, że łączy tradycje chińskie z zachodnim podejściem do technologii, kapitalizmu i ekonomii.





Jestem tu już prawie tydzień, pod niesamowitym wrażeniem efektywności w działaniu tego społeczeństwa. Zatem dzisiaj skupimy się na tym, jak Tajwańczycy są efektywni, z czego to wynika, co w tym dobrego i złego oraz czego możemy się od nich nauczyć. Zapraszam!

Azja to kult społeczeństwa nad jednostką

Miałem szczęście podróżować i prywatnie, i biznesowo po kilku krajach Azji. Szczególnie bliska mi jest Japonia i Korea Południowa. Tym razem przyszedł czas na Tajwan. Zauważyłem, że tutaj bardzo ważne jest kulturowo, aby przedłożyć społeczeństwo nad siebie. Najpierw dbamy o sprawy innych, a dopiero potem o swoje.

Dzięki temu, każdy myśli o tym, jak nie przeszkadzać albo jak nie stać komuś na drodze. Najprostszym przykładem są kolejki do metra czy po zakupy. Wszyscy grzecznie układają się w kolejce. Co więcej, w wielu miejscach wytyczone są linie tych kolejek na ziemi i każdy się ich pilnuje. Nikt nie próbuje wcinąć się w kolejkę.

Szczególnie to było dla mnie widoczne w roku 2011, gdy byłem w Japonii podczas największego trzęsienia ziemi. Kraj miał przerwy w dostawach prądu. Brakowało podstawowych produktów. A Japończycy grzecznie



stali w kolejkach i każdy brał tylko tyle ze sklepu, aby mu wystarczyło, bo widział, że za nim są osoby, które też potrzebują. Dla kontrastu pamiętam początek COVID-u i w Polsce czy w Europie ludzi wykupujących wszystkie rolki papieru toaletowego bez patrzenia na to, czy inni też nie będą potrzebowali...

Europa i świat zachodni to kult jednostki...

Płynnie przechodzimy do kultu jednostki na Zachodzie. Ja, ja i tylko ja. Inni w sumie też, ale najpierw ja. Pytam, czy to jest wygodne dla mnie, a potem ewentualnie, czy dla wszystkich innych? Wcinam się w kolejkę, bo ja chcę być szybciej, nie obchodzi mnie tak bardzo, że inni przez to będą później.

Oczywiście przejawiam, ale tak niestety jest.

Wracamy do efektywności, czyli jak tu się sprawy załatwia w Azji?

W Azji ważne jest, aby rzeczy działały się sprawnie. Nie tylko dla Ciebie, ale dla wszystkich. Czyli ważne jest, aby rzeczy płynęły. Sprawy mają być załatwione dla ciebie z dwóch powodów – abyś był lub była zadowolona oraz aby ci po tobie za długo nie czekali i aby ich sprawy były ogarnięte. Wszędzie musi być efektywnie i nikt nie chce za bardzo być udawką dla innych.

Generalnie brzmi to jak bajka:

Robimy wszystko dobrze, aby wszystkim zrobić dobrze!

Czyli dba się zarówno o jednostkę, jak i o społeczeństwo. Optymalizuje się wszystko dla tego jednego przypadku, po to, aby zarówno on został szybko ogarnięty i aby inni też po nim zostali obsłużeni. To jest ideał, tak być powinno i do tego starają się tutaj niby dążyć.

W Azji ważne jest, aby rzeczy działały się sprawnie. Nie tylko dla Ciebie, ale dla wszystkich. Czyli ważne jest, aby rzeczy płynęły.



Ciemne strony efektywności azjatyckiej – kiedy poświęca się jednostkę dla dobra ogółu

W poprzednim akapicie użyłem słowa „niby”, bo widzę tutaj w Azji, że czasami ten ideał im nie wychodzi. Jednostka obrywa w imię dobra ogółu. Po prostu poświęca się ją...

To rodzi frustrację. Nawet Azjaci się frustrują, jak widzą, że ich własne starania nie dają im efektów albo się ich ignoruje w imię dobra społeczeństwa. Nikt nie lubi być kompletnie olewany. Jako ludzie chcemy być zauważeni i docenieni.

Nawet jeśli ten ideał nie zawsze wychodzi lub czasami bywa frustrujące, że twoje potrzeby są na drugim planie, to widać też pozytywy takiego podejścia, których brakuje mi w naszym zachodnim społeczeństwie.

Plusy podejścia najpierw do ogółu, a potem do jednostki „widzisz innych, a nie tylko siebie!

Nawet jeśli ten ideał nie zawsze wychodzi lub czasami bywa frustrujące, że twoje potrzeby są na drugim planie, to widać też pozytywy takiego podejścia, których brakuje mi w naszym zachodnim społeczeństwie.

Takie podejście wymusza obserwowanie, co się dzieje wokół ciebie.

I to tutaj widać, ludzie ustawiają się lub zajmują czymś, przy okazji patrząc, jak to ich działanie wpływa na innych. Rozglądają się wokół siebie i patrzą, czy jest OK, czy nikomu nie przeszkadzają, czy przy okazji nie mogliby komuś pomóc lub coś zoptymalizować dla innych. Myślą o sobie i o innych.



Jak fajnie by było...

Jak fajnie by było, gdyby kierowcy, zamiast na siłę wcinać się jeden przez drugiego, grzecznie reagowali na zwężenie drogi i naprzemiennie ustawiali się w jednym rzędzie na tzw. jodełkę.

Jak fajnie by było, gdyby wszyscy stojący w kolejce po coś pomagali sobie nawzajem, aby ta kolejka szła jak najkrócej, zamiast zastanawiać się, jak wcisnąć się przed kolejną osobę.

Jak fajnie by było, gdyby w służbie zdrowia i wszystkich innych miejscach obsługi publicznej patrzyło się na cały proces obsługiwanie osób, aby nie tylko pomóc konkretnej jednostce, ale pomyśleć, jak skutecznie obsłużyć więcej jednostek i dzięki temu, abyśmy mieli terminy na kolejne badania w czasie kilku dni, a nie miesięcy...

Jak fajnie by było podchodzić do wielu spraw od jednostki do ogółu i potem odwrotnie, aby optymalizować proces i dobro wszystkich, aby każdy był zadowolony, aby każdy myślał o innych i o sobie, i aby każdy dostał najlepszy standard obsługi.

Myślę, że my przeholowaliśmy za bardzo w kierunku kultu jednostki i egocentryzmu, a oni za bardzo w kierunku społeczeństwa kosztem jednostki.

Nauczmy się czegoś od Azjatów...

Nie mam różowych okularów. Nie twierdzę, że w Azji jest jednoznacznie dobrze, a u nas źle. Nadgorliwość w żadną stronę nie jest wskazana. Ale...

Myślę, że my przeholowaliśmy za bardzo w kierunku kultu jednostki i egocentryzmu, a oni za bardzo w kierunku społeczeństwa kosztem jednostki.

Ale fajnie by było skorygować kurs i myślę, że lepiej by nam się żyło w społeczeństwie, gdzie myślimy zarówno o sobie, jak i o innych.

Dlatego piszę o tym, bo każda zmiana zaczyna się od nas, naszych firm, naszych dzielnic, naszych sąsiedztw. Pomyślmy trochę więcej o ogóle.



O naszych zespołach. Optymalizujemy procesy dla wszystkich, aby dzięki temu każdy czuł się doceniony i był zadowolony.

Abyśmy zauważali bardziej osoby wokół nas, które wpływają na nasze życie. Abyśmy widzieli, że jesteśmy częścią czegoś większego. Czegoś wspólnego.

Tego wam i nam życzę!



iMAG

SMARTHOME

02/2023 / www.imagazine.pl



iMAGAZiNE

Mieszkaj inteligentniej



DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Lifestyle

Sudio – nowa marka audio debiutuje w Polsce

Sudio to marka ze Szwecji. Skandynawowie znani są z solidności, przywiązania do detali i dopracowanych produktów. Gdy już się za coś biorą, raczej robią to solidnie. Co oferuje Sudio? Co to w ogóle za marka?

Sudio to marka założona w 2012 roku w Sztokholmie przez inżynierów dźwięku i miłośników muzyki. Niezwykajna, zaprojektowana dla codziennego użytku. W odróżnieniu od innych producentów Sudio nie zmusza do wyboru między jakością a ceną. W centrum ich zainteresowań od zawsze są mistrzowskie brzmienie i design, na które możecie liczyć niezależnie od wybranej serii produktów.

Więcej o Sudio przeczytacie [na stronie producenta](#).





Columbia Konos

W tegorocznej kolekcji wiosna-lato Columbia przedstawia KONOS™ – nową serię obuwia do szybkich wędrówek, wyposażoną w technologię OMNI-MAX™, łączącą przyczepność, stabilność i amortyzację, zapewniające wysoki komfort i zwrot energii. Szybkie wędrówki, czyli speed hiking, to coraz bardziej popularna aktywność fizyczna, która plasuje się pomiędzy turystyką pieszą a trail runningiem. To nowy sposób wędrowania w dynamicznym i intensywnym tempie, w zróżnicowanym terenie, z elementami biegania i skakania. Dlatego też wymaga większej siły fizycznej niż tradycyjne wędrówki. Do Speed Hikingu potrzebne są także odpowiednie buty turystyczne, zapewniające właściwą równowagę między amortyzacją, stabilnością i przyczepnością. Takie właściwości gwarantuje nowa technologia Omni-Max™ od marki Columbia.

Model KONOS™ jest dostępny min. w sklepach stacjonarnych: Columbia w Zakopanem, Trekker Sport, Martes Sport, Intersport, Buty Jana, oraz online: sklep-columbia.pl, 8a.pl, modivo.pl, eobuwie.pl, sportano.pl, answer.com, intersport.pl, fitanu.com, sklepmartes.pl, butyjana.pl



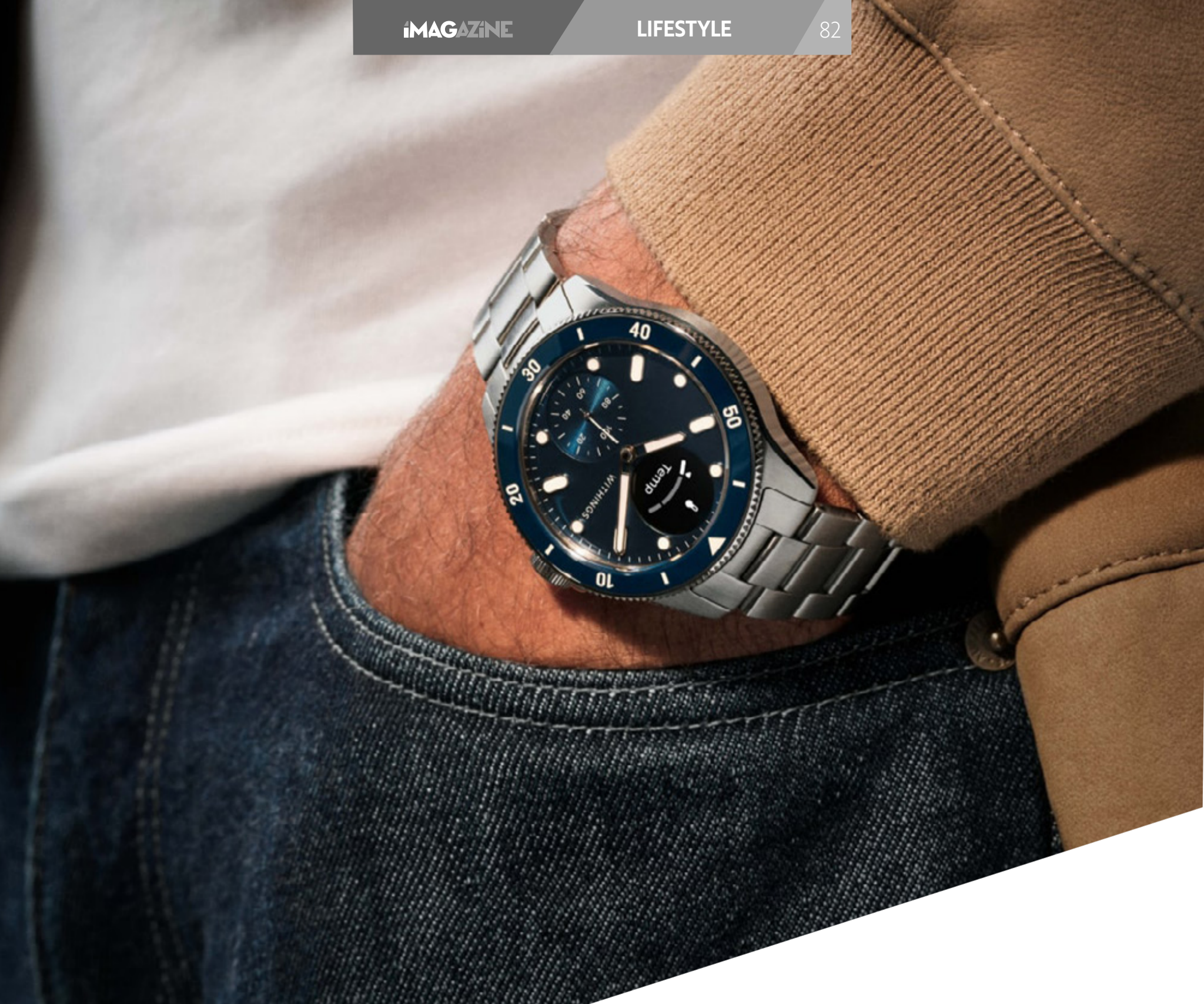
StethoMe – nowy polski, inteligentny stetoskop

StethoMe to inteligentny stetoskop, który można stosować w domu. Słowo „inteligentny” nie jest tu na wyrost, ponieważ urządzenie korzysta z algorytmów sztucznej inteligencji.

Najciekawsze jest to, że StethoMe to polski produkt. Za jego powstaniem stoi dr Honorata Hafke-Dys – innowatorka i liderka z ponad 20-letnim doświadczeniem w badaniach naukowych, absolwentka optyki i akustyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, gdzie uzyskała stopień doktora z zakresu biofizyki. Dr Hafke-Dys jest pomysłodawczynią i współzałożycielką StethoMe, start-upu i pionierskiego stetoskopu z modułem sztucznej inteligencji.

Więcej informacji [na stronie produktu](#)





Withings ScanWatch Nova

Withings zaprezentował swój nowy zegarek, klasycznego „nurka”, następcę Horizona – ScanWatch Nova. Ceramiczny bezel, indeksy i wskazówki pokryte LumiNovą, szafirowe szkiełko, obudowa ze stali nierdzewnej, wodoodporność 10 ATM. Zegarek automatycznie rejestruje ponad 40 rodzajów aktywności, monitoruje nasz sen, mierzy tętno, ale też pokazuje powiadomienia, przy czym wygląda jak klasyczny, bardzo elegancji zegarek. Nowością w Novej jest pomiar temperatury naszego ciała. Piękny.

Cena: 2960 PLN



Elves – unikalny wygląd, własne, dowolne kolory

Coś, co absolutnie wyróżnia ramy rowerowe Elves na tle konkurencji, to możliwość własnego, całkowicie unikalnego malowania. Przy składaniu zamówienia możemy wybrać gotowy wzór i kolorystykę lub samodzielnie dokonać całkowitej personalizacji. Sky is the limit. A w zasadzie nasza wyobraźnia..., a co najlepsze, to wszystko jest w standardowej cenie zakupu. Wygląda to nieźle.

Więcej na stronie producenta





IWC Big Pilot



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

IWC Schaffhausen, znana również jako International Watch Company, to szwajcarska marka zegarmistrzowska o długiej i bogatej historii, założona w 1868 roku przez amerykańskiego inżyniera i przedsiębiorcę Florentine'a Ariosto Jonesa.





Od samego początku IWC zastępowało połączenia precyzyjnej szwajcarskiej techniki zegarmistrzowskiej z innowacyjnym amerykańskim podejściem do produkcji, czego efektem była produkcja wysokiej jakości mechanizmów i zegarków. Firma z siedzibą w Schaffhausen wyróżnia się na tle branży swoim zamiłowaniem do innowacji i doskonałości, specjalizując się w zegarkach o skomplikowanych mechanizmach, takich jak wieczne kalendarze, chronografy oraz zegarki z rezerwą chodu. Kolekcje takie jak Portugieser, Pilot's Watches i Aquatimer odzwierciedlają ducha odkrywczości i przygody, będąc jednocześnie hołdem dla bogatej historii marki.

IWC Big Pilot to zegarek, który ma za sobą fascynującą historię, rozciągającą się od jego początków w latach 40. XX wieku po status ikony w świecie zegarmistrzostwa, który posiada dziś. Historia tej ikony luksusowego zegarmistrzostwa jest ściśle powiązana z historią lotnictwa i zmieniającymi się potrzebami pilotów, co wpłynęło na jego design i funkcjonalność.



Podczas II wojny światowej precyzja i czytelność były kluczowymi wymaganiami dla zegarków używanych przez pilotów. To właśnie w tym czasie, w 1940 roku, IWC z Schaffhausen w Szwajcarii zaprojektowała i wyprodukowała zegarek znany jako Beobachtungs-Uhren (zegarki nawigacyjne), przeznaczony specjalnie dla pilotów i ich załóg nawigacyjnych. Ten zegarek, później nazywany Big Pilot, był wówczas największym zegarkiem naręcznym, jaki kiedykolwiek wyprodukowano, z imponującą średnicą koperty wynoszącą 55 mm. Jego design był wyraźnie funkcjonalny: duży, łatwo czytelny cyferblat z dużymi cyframi arabskimi i wskazówkami wypełnionymi substancją luminescencyjną, ogromna koronka, którą można było obsługiwać w rękawiczkach oraz specjalnie zaprojektowany mechanizm, który mógł wytrzymać ekstremalne warunki, jakie panują na dużej wysokości, w tym szybko zmieniającą się temperaturę powietrza w kabinie samolotu oraz unikanie magnetyzowania się mechanizmu. 8-dniowa rezerwa chodu, wtedy bardzo rzadko spotykana, pozwalała na długie misje bez konieczności nakręcania zegarka.

Po wojnie, w miarę jak lotnictwo cywilne zaczęło się rozwijać, IWC kontynuowało produkcję zegarków inspirowanych swoim wojennym dziedzictwem, jednak Big Pilot







zaczął ewoluować w kierunku bardziej dostosowanym do potrzeb cywilnych użytkowników. Mimo to zegarek ten pozostał wierny swojemu pierwotnemu przeznaczeniu, oferując niezrównaną czytelność i niezawodność.

Punkt zwrotny w historii Big Pilot nastąpił w 2002 roku, kiedy to IWC zaprezentowało nową wersję tego legendarnego zegarka. Nowy model, ref. 5002, zachował DNA oryginału, ale został przeskalowany do bardziej współczesnej, choć nadal imponującej średnicy 46 mm. Nowoczesne technologie i materiały, takie jak tytan i ceramika, znalazły zastosowanie w późniejszych wersjach, a zegarek został wyposażony w zaawansowane funkcje, takie jak siedmiodniową rezerwę chodu czy wskaźnik daty i dnia tygodnia, przy zachowaniu charakterystycznego dla linii prostego i funkcjonalnego designu.

W kolejnych latach IWC rozszerzyło linię Big Pilot, wprowadzając różne modele, w tym wersje z dodatkowymi komplikacjami, takimi jak wieczny kalendarz (perpetual calendar), faza księżyca czy funkcja chronografu. Dzięki temu Big Pilot stał się nie tylko narzędziem dla pilotów, ale też symbolem luksusowego zegarmistrzostwa, cenionym przez kolekcjonerów i entuzjastów zegarków na całym świecie.



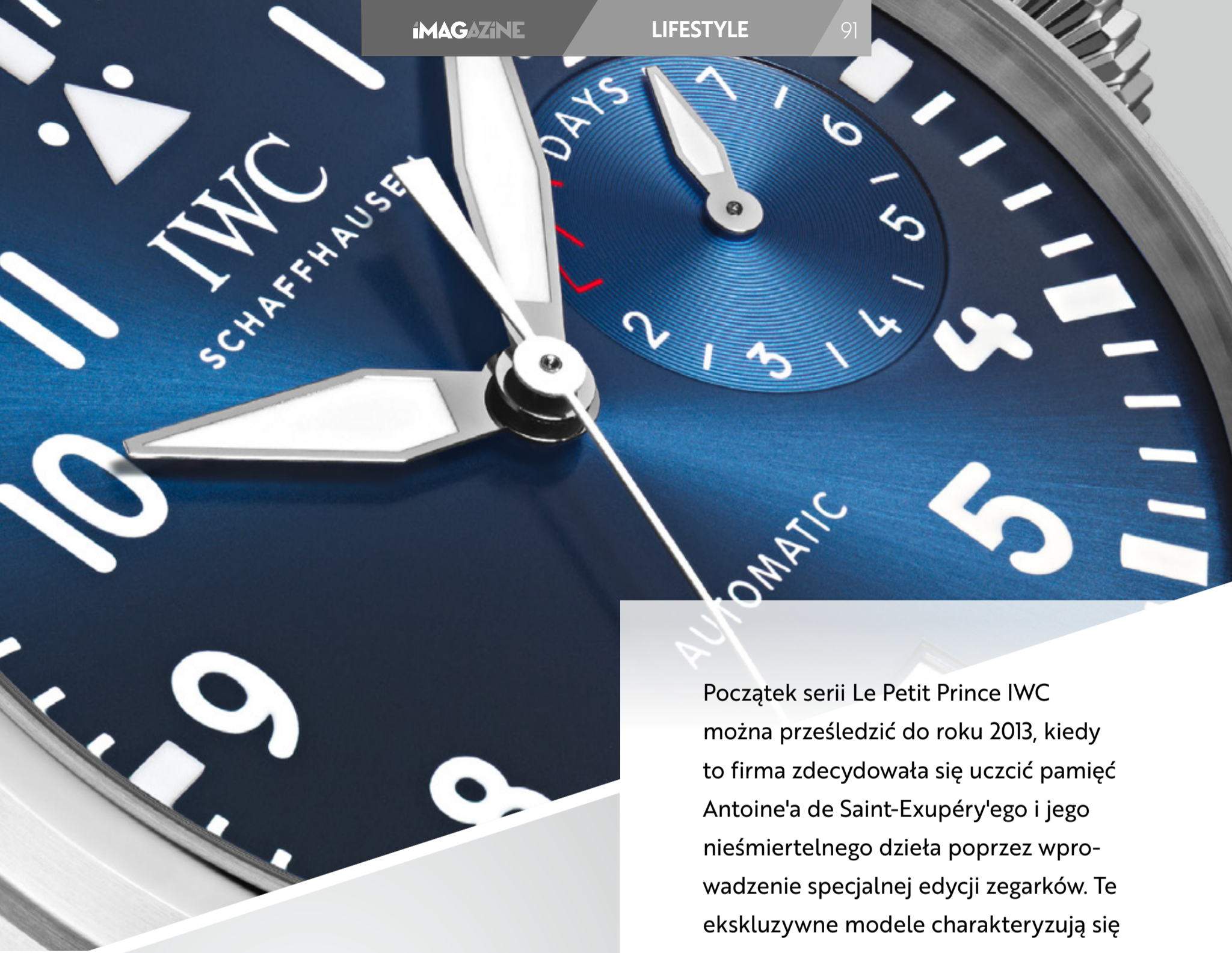
Klasyczny Big Pilot w rozmiarze 46 mm jednak nadal pozostawał marzeniem wielu, bo nie każdy z nas posiada nadgarstki godne tak dużej koperty. Dlatego tak ważny jest Big Pilot's Watch 43 ref. IW329301, zaprezentowany w 2021 roku, który jest wyraźnym odzwierciedleniem ewolucji modelu. Zaprojektowany z myślą o dotarciu do większej grupy fanów serii zegarek ma średnicę koperty 43 mm, co jest znaczącym zmniejszeniem w porównaniu do tradycyjnych modeli Big Pilot z 46-milimetrową kopertą. To zmniejszenie rozmiaru było odpowiedzią na rosnące zapotrzebowanie na bardziej uniwersalne, codzienne zegarki, które nadal zachowują charakterystyczne cechy Big Pilot, ale są bardziej komfortowe w noszeniu. W środku Big Pilot 43 pracuje automatyczny mechanizm kaliber 82100, wyprodukowany oczywiście przez IWC, oferujący do 60 godzin rezerwy chodu.

Le Petit Prince

Seria Le Petit Prince od IWC Schaffhausen to wyjątkowa kolekcja zegarków, która czerpie inspirację z klasycznej francuskiej powieści „Mały Książę” autorstwa Antoine'a de Saint-Exupéry'ego. Opowieść ta, opublikowana po raz pierwszy w 1943 roku, stała się jedną z najczęściej tłumaczonych i sprzedawanych książek na świecie, ceniona za swój poetycki język, filozoficzne przesłanie i niezapomniane ilustracje. IWC od lat współpracuje z Fundacją Antoine de Saint-Exupéry, wspierając jej misję ochrony dziedzictwa autora i promowania edukacji dla dzieci i młodzieży na całym świecie.







Początek serii Le Petit Prince IWC można prześledzić do roku 2013, kiedy to firma zdecydowała się uczcić pamięć Antoine'a de Saint-Exupéry'ego i jego nieśmiertelnego dzieła poprzez wprowadzenie specjalnej edycji zegarków. Te ekskluzywne modele charakteryzują się unikatowymi cechami projektu, takimi jak błękitne tarcze, które nawiązują do koloru nieba, tak ważnego w powieści, oraz grawerunki na deklach przedstawiające Małego Księcia – często w jego charakterystycznej pozie, obserwującego gwiazdy lub siedzącego na własnej planecie.

Pierwszym modelem w tej serii był Pilot's Watch Mark XVII Edition Le Petit Prince, który wyróżniał się właśnie swoją charakterystyczną, głęboką błękitną tarczą i wyrafinowanym wykończeniem. Najbardziej niesamowitym i technicznie zaawansowanym zegarkiem, moim zdaniem, w tej kolekcji jest Big Pilot's Watch Perpetual





Calendar, wyposażony w najbardziej imponującą komplikację ze wszystkich – wieczny kalendarz, jak nazwa wskazuje.

Wieczny kalendarz jest komplikacją w zegarkach, która automatycznie uwzględnia zmiany długości miesiący (28, 29, 30, 31 dni) oraz występowanie lat przestępnych (365, 366 dni), dzięki czemu data wyświetlana na zegarku jest zawsze dokładna, bez potrzeby ręcznej korekty przez użytkownika. Dla precyzji, wyświetlany jest dzień tygodnia, dzień miesiąca, miesiąc, rok (wyświetlany za pomocą czterech cyfr) oraz faza księżyca. Mechanizm wiecznego kalendarza jest uważany za jedną z najbardziej skomplikowanych komplikacji w zegarmistrzostwie. Mechanizm fazy księżyca musi być skorygowany raz na 577,5 lat, a wieczny kalendarz potrzebuje przeskoku o jeden dzień w latach 2100, 2200, 2300 itd.

IWC kontynuuje tradycję wprowadzania limitowanych edycji w ramach serii Le Petit Prince, często z dodatkowymi funkcjami lub niezwykłymi elementami projektu, które podkreślają związek zegarka z dziełem literackim. Niektóre modele zawierają na przykład wyjątkowe grawerunki na mechanizmie lub specjalne wersje dekli z tyłu zegarka, które przedstawiają różne sceny z książki, co czyni te zegarki nie tylko czasomierzami, ale też dziełami sztuki.



 argon[®]LAMPY



OŚWIETLENIE W TWOIM STYLU

TA I 1000 INNYCH LAMP KUPISZ NA [SKLEP.ARGON-LAMPY.PL](https://sklep.argon-lampy.pl)



ANIA GABRYŚ
@ania13

Bądź hybrydą!

Ni to pies, ni wydra. Hybryda. Słowo-klucz i kluczowe zjawisko ostatnich lat. Jak w towarzystwie powiesz: „mam hybrydę”, to od razu jakoś lepiej Cię traktują.

Co to jest ta hybryda? No, choćby specjalna technika malowania paznokci czy hybrydowe włosy, własne krótkie przedłużone doczepami. Albo samochód, który jednocześnie ma silnik spalinowy i elektryczny, i sam zarządza tym, kiedy pracuje który silnik. Można iść jeszcze dalej. Takie hybrydowe dziecko – w przedszkolu aniołeczek, a dom po diabelsku roznosi. Albo hybrydowe sprzątanie, gdy przychodzą goście – pozornie porządek, bo stosy zalegających ubrań w popłochu wrzucono w głąb szafy, a brudne naczynia upchnięto do zmywarki... Jeszcze praca – jednego dnia z biura, drugiego zdalnie. No i podejście do prowadzenia projektów: na wierzchu waterfall, a pod spodem agile – albo na odwrót.

Każda hybryda wymaga zmiany podejścia, mindsetu, jak się dzisiaj modnie mówi. „Jaki jest twój mindset?” – „Hybrydowy!”. Taki samochód hybrydowy zmienia mindset, bo oprócz tego, że się zatankuje benzynę, trzeba też zwrócić uwagę na baterię, żeby móc jechać niemal bezkosztowo. Inna filozofia jazdy, jaka ekonomiczna, jaka ekologiczna, jakim to ja jestem społecznym i proekologicznym człowiekiem (disclaimer: ironia użyta). No i wreszcie clue moich rozważań, czyli hybrydowe zarządzanie projektami, gdzie nowy mindset jest niezbędny.

Każda hybryda wymaga zmiany podejścia, mindsetu, jak się dzisiaj modnie mówi.

O co tu chodzi? Otóż kiedyś, w zamierzonych czasach ludzkości przemysłowej, czyli jakieś pół wieku temu, następował proces „uproszania”. Menedżerowie wychodzili z założenia, że jak ludziom, którzy dostarczają projekty, damy jakieś struktury, procesy, to te projekty będą szły lepiej. Szły pewnie lepiej, ale nie zawsze projekty, a przede wszystkim



procesy. Te zaś w pewnym momencie zaczęły przypominać strzelanie z armaty do muchy. Sto pięćdziesiąt dokumentów trzeba było wytworzyć, żeby dowieźć miesięczny projekcik. Przy wprowadzaniu drobnej zmiany wymaganej przez klienta potrzeba było wiele formalnych zgód. I w zasadzie mnie się to podejście... podoba. Mamy procesy, mamy struktury, mamy ramy, wiemy, jaki jest następny krok i świetnie potrafimy przewidzieć przyszłość zarówno bliską, jak i dalszą. Lubię to.

Tylko że nie. Bo życie rzadko kiedy jest takie uporządkowane, zamknięte w ściśle określonych ramach i przebiegające według szczegółowo rozpisanych procesów. Okazało się, że trzeba być zwinnym, czyli agile. Po pierwsze przedkładać ludzi ponad procesy, a po drugie... dużo różnych rzeczy, ale najistotniejsze jest, by umiejętnie adaptować się do szybko zmieniającego się środowiska, w którym przychodzi nam dostarczać projekty.

Tutaj jednak wkroczył klient, który wprawdzie nie zawsze ma rację, ale za to zawsze chce postawić na swoim. Do tego jest człowiekiem i lubi zmieniać zdanie. A na koniec dnia potrzebuje kontrakt, w którym wszystko, co otrzyma, będzie precyzyjnie wyszczególnione. To tak jakby chciał zjeść ciastko i chciał je nadal mieć. Nie, gorzej: to tak jakby chciał mieć opis ciastka z góry, a w czasie pieczenia zmieniać ilość cukru, podważyć zasadność galaretki agrestowej i wymienić truskawki na wiśnie. Nierealne, a jednak... Oto wchodzi ono, całe na biało, hybrydowe podejście do zarządzania projektami. Za jedną z potrzeb klienta zapalimy świeczkę – za pragnienie określenia wszystkiego, co ma być dostarczone z góry w kontrakcie – a za drugą postawimy ogarek? Neeee! Też zapalimy świeczkę, by uhonorować zmieniające się potrzeby klienta. Z tego mariażu dwóch wydawałoby się przeciwstawnych sobie metodologii

Okazuje się, że to połączenie, hybryda, w zarządzaniu projektami staje się rozwiązaniem coraz częściej wybieranym przez organizacje świadomie, ze względu na zalety stosowania tego podejścia.



dostarczania projektów wyszło coś nie do końca określonego, radzącego sobie jednak w zmiennym środowisku całkiem nieźle. Hybryda.

Okazuje się, że to połączenie, hybryda, w zarządzaniu projektami staje się rozwiązaniem coraz częściej wybieranym przez organizacje świadomie, ze względu na zalety stosowania tego podejścia. W dzisiejszym świecie nikt nie wie, co będzie robił jutro, a co dopiero za kilka miesięcy czy lat, gdy zaplanowano zakończenie projektu. Mnie samej z trudem przyszłoby realizowanie projektu w twardy waterfallowy sposób, a patrząc na klientów, widzę, że i im podejście hybrydowe się podoba.

Po trochu my też jesteśmy hybrydami. Ludzie-hybrydy z powodzeniem łączą wiedzę merytoryczną z ludzkim podejściem albo są np. humanistami w świecie IT.

Model hybrydowy jest w mojej opinii coraz częściej wybierany, często nawet nie w pełni świadomie (serio!), bo nie zdajemy sobie sprawę z tego, że odrzucamy ekstrema i decydujemy się na coś, co je łączy, a nie jest kompromisem. Taki francuski PACS – ni to małżeństwo, ni życie na kocią łapę, kontrakt między dwiema osobami decydującymi się żyć razem – daje zalety związku urzędowego i pozwala łatwiej uwolnić się od siebie, jeśli przyjdzie się rozstać. W wychowaniu dzieci sukcesy święci pozytywna dyscyplina, czyli taki luz, ale kontrolowany. W pracy, jak już wspomniałam, można postawić kwiatka w biurze i cieszyć się nim dzień czy dwa w tygodniu, podczas gdy pozostałe dni pracy spędzać w domowych warunkach, odbywając ważne telekonferencje w eleganckim szalu zastaniającym mniej wyjściową piżamkę.

Po trochu my też jesteśmy hybrydami. Ludzie-hybrydy z powodzeniem łączą wiedzę merytoryczną z ludzkim podejściem albo są np. humanistami w świecie IT. Coraz mniej w tym IT zresztą takich klasycznych panów we flanelowej koszuli, którzy, gdy mówili „cześć”, to miało się wrażenie, że z ich ust wydobywa się ciąg zer i jedynek, a ty siłą rozpędu



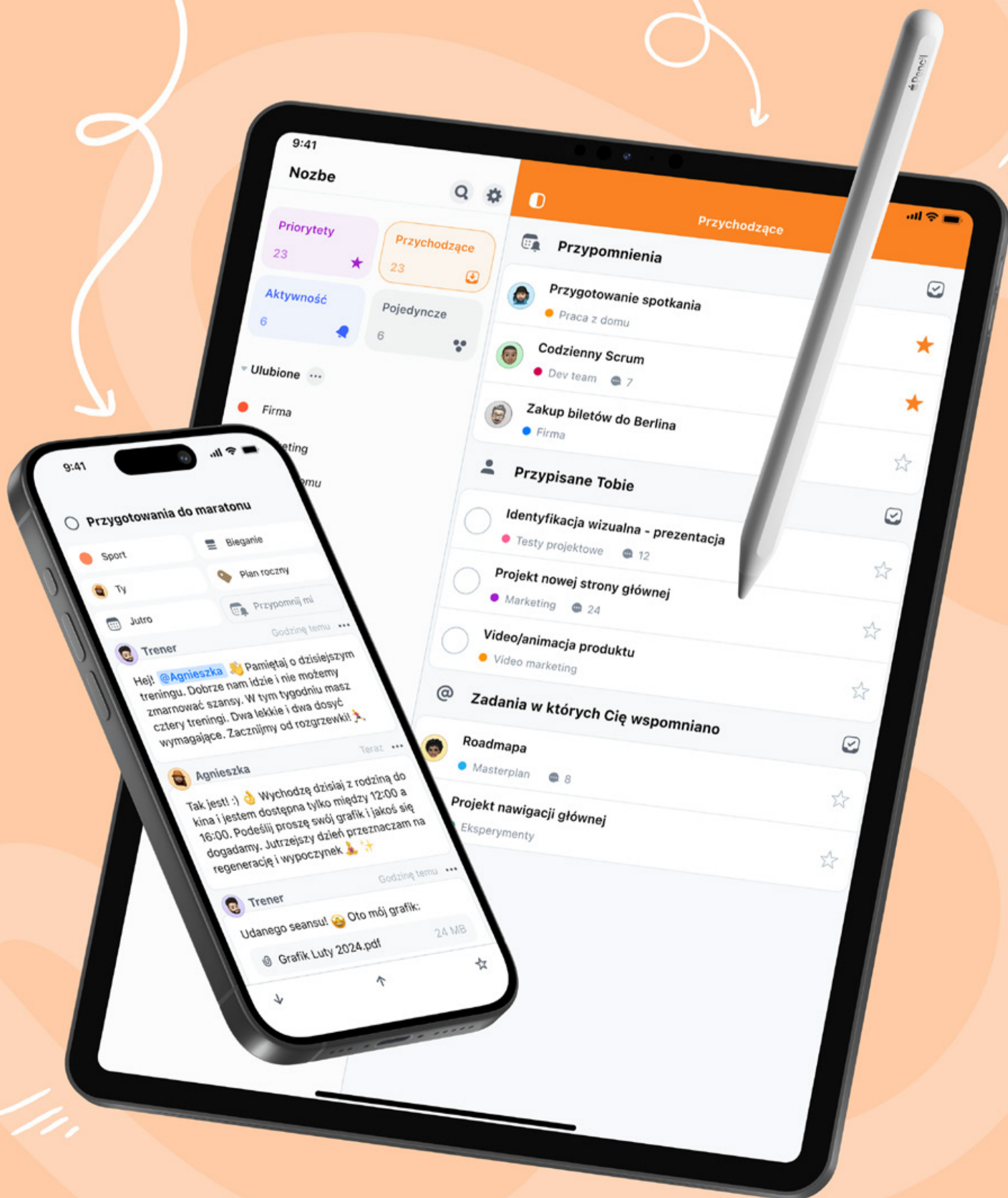
domyślasz się, że to „cześć”. Ludzie-hybrydy dają sobie radę na rynku pracy, bo łatwo im przeskoczyć z jednej branży do drugiej, ludzie-hybrydy sprawdzają się jako menedżerowie – poza know-how branżowym umieją także odwołać się do swoich umiejętności soft skillowych. Klasyczną hybrydą jest servant leader – „przywódca służebny”, „sługa jako przywódca”, czyli oksymoron, a jednak to działa i wychodzi poza uderzającą w pierwszej chwili nazwę. Idea monolitycznych, autorytatywnych, dyktatorskich menedżerów (zarówno pod względem pochodzenia, jak i sposobu zarządzania) skompromitowała się wraz z ruchem #metoo, wzrostem samoafirmacji grup mniejszościowych i tak dalej – to temat na inną opowieść.

Jednorodność nie zniknie przez ekspansję hybryd, zawsze od tej nowej reguły przenikania i różnorodności będą wyjątki, ale to też jest jakieś potwierdzenie istnienia możliwości. Wyboru. Adaptacji do moich, twoich, naszych potrzeb.

W różnorodności siła, w hybrydzie nadzieja. Bądź hybrydą!



Zorganizuj swoje życie prywatne i zawodowe





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Sennheiser Momentum True Wireless 4

– jakość przede wszystkim

Sennheiser należy do firm z bardzo obszernym portfolio, obejmującym zarówno sprzęt skierowany do masowego odbiorcy, jak i urządzenia profesjonalne oraz specjalistyczne. Momentum True Wireless 4 umiejscowione są gdzieś pośrodku – brzmią zdecydowanie jak high-end, ale każdy znajdzie dla nich zastosowanie.





Przez to, ile różnych produktów oferuje Sennheiser, nie miałem wobec tych słuchawek żadnych oczekiwań. Nie korzystałem z poprzednich modeli Momentum, a na co dzień nie mam też kontaktu z żadnym sprzętem firmy, mogącym stanowić dobry punkt odniesienia. Początki były obiecujące, bo słuchawki są nie tylko ładne i zgrabne, ale też porządnie wykonane. O ile do konstrukcji samych pchełek wykorzystano porządny matowy plastik, to już etui pokryto z zewnątrz tekstylną tkaniną, lekko chropowatą, ale bardzo przyjemną w dotyku. Ponadto pudełko ma port USB i płaski spód, który ułatwia ładowanie bezprzewodowe (w standardzie Qi). Słuchawki w wersji grafitowo-czarnej nie rzucają się specjalnie w oczy, są dyskretne, co mi się w nich podoba. Alternatywnie można też wybrać je w kolorze srebrno-białym bądź miedziano-czarnym. Ten ostatni wariant naprawdę łatwo przyciąga wzrok, bardzo mi się spodobał, ale nie każdemu może odpowiadać tak wyrazista stylistyka. Słuchawki nie mają żadnych fizycznych przycisków, sterowanie jest dotykowe, za to prócz silikonowych końcówek dokałatowych mają też wymienne pierścienie, które stykają się z małżowiną ucha. Pozwalają one lepiej je dopasować, zwłaszcza że po włożeniu trzeba je lekko przekręcić, by dobrze się ułożyły. Taki mechanizm zmniejsza ryzyko ich wypadnięcia podczas ruchu, to o tyle istotne, że dzięki IP54 można z powodzeniem używać ich, uprawiając sport.



Ze względu na dużą liczbę funkcji aplikacja do obsługi słuchawek jest wręcz niezbędna. Sennheiser Smart Control prowadzi przez proces wstępnej konfiguracji, uwzględniając w tym dopasowanie brzmienia do słuchu użytkownika. Później możemy skorzystać z tego profilu zamiennie z korektorem graficznym. Ten jest przyzwoity, a oprócz tworzenia presetów dzięki regulacji brzmienia za pomocą pięciu suwaków ma też funkcję Bass Boost oraz Podcast, czyli predefiniowane tryby robiące dokładnie to, na co wskazują ich nazwy. Drugim sposobem na dopasowanie dźwięku do konkretnej osoby jest test dopasowania dobrych końcówek, trwa dosłownie chwilę i sygnalizuje, jeśli powinniśmy wymienić je na inny rozmiar. W aplikacji można też sterować ANC, choć sprowadza się to do włączenia go, ustawienia funkcji Anti Wind (działa naprawdę dobrze!) bądź wyłączenia tej funkcji. Trochę więcej swobody mamy w konfiguracji pass-through, bo tu da się ustawić jego poziom i to oddzielnie dla rozmowy oraz dla używania słuchawek poza nią. Dodatkowo odtwarzanie może być wstrzymywane, gdy włączymy pass-through, a to też bardzo się przydaje. Największe wrażenie zrobiło na mnie Sound Zones – to funkcja, która wykorzystuje nasze położenie do wczytania odpowiednich ustawień słuchawek. Można więc oznaczyć siłownię, by automatycznie włączyło się ANC i odpowiedni korektor dźwięku, a po opuszczeniu jej ustawienia zmieniały się na inne. Niestety,





niczego więcej nie ustawimy, nie da się więc ani skorzystać z Bass Boost, ani też ustawić poziomu ANC czy pass-through. Trzeba też nastawić się na większe zużycie baterii telefonu, bo lokalizacja jest sprawdzana w tle. Wygoda szybko to rekompensuje, szczególnie gdy często zmieniamy miejsca, w których używamy słuchawek.

Nie dość, że lista funkcji Momentum True Wireless 4 jest długa, to na dodatek wszystkie z nich działają naprawdę dobrze. ANC po włączeniu bardzo skutecznie ucina dźwięki o wszystkich częstotliwościach i o ile tylko dobrze dopasujemy słuchawki do uszu, możemy liczyć na komfort nawet w bardzo głośnych miejscach. Jeśli coś się przebija, to tylko wysokie dźwięki, a i te są przytłumione na tyle, by nie drażnić. Pass-through również działa tak, jak powinno, jego regulacja i możliwość ustawienia zachowania podczas rozmowy czynią je bardzo przydatnym i bezobsługowym. Tu jednak dźwięk otoczenia brzmi trochę nienaturalnie, wysokie tony są podbite mocniej, niż powinny. Słuchawki wyposażono w Bluetooth 5.4, potrafią się łączyć równocześnie z dwoma urządzeniami. Sennheiser zadbał nie tylko o to, jak my słyszymy dźwięk, ale i jak sami jesteśmy odbierani przez rozmówców. Dzięki sześciu mikrofonom nasz głos jest



oczyszczany z hałasu otoczenia, co znacznie poprawia jakość rozmów. Tak naprawdę tylko jedna rzecz do końca się nie sprawdza i, jak można się tego domyślić, jest to sterowanie. Aplikacja umożliwia dostosowanie go i przypisanie do pojedynczego, podwójnego lub potrójnego stuknięcia, a także przytrzymania palca odpowiednich funkcji, ale zdarzało mi się często wywołać przypadkiem którąś z akcji, poprawiając słuchawkę. Sterowanie nie jest jednak całkowicie złe, ciche dźwięki słyszalne po każdym stuknięciu ułatwiają wybranie odpowiedniej funkcji, bo mamy pewność, że dotyk został zarejestrowany. Ponadto pomimo tego, że do każdej ze słuchawek można przypisać inny zestaw akcji, da się go też powielić na drugiej z nich, by ułatwić sobie zapamiętanie sterowania. Można też całkowicie wyłączyć dotyk, choć nie czuję potrzeby, by to robić – do kontrolowania działania Momentum True Wireless 4 trzeba się przyzwyczaić, ale gdy już je zapamiętamy, staje się całkiem wygodne. Na komfort używania wpływa nie tylko sterowanie czy wygoda, ale też bateria. Ta jest dobra, łączny czas odtwarzania to 30 godzin, natomiast na jednym ładowaniu słuchawki wytrzymują około 7 godzin, i to z włączonym ANC. Prócz USB, do ładowania można wykorzystać ładowarki bezprzewodowe. Ponadto 8 minut ładowania pozwala na godzinną pracę – to już powszechna funkcja, ale zawsze się przydaje.

Największe wrażenie zrobiło na mnie Sound Zones – to funkcja, która wykorzystuje nasze położenie do wczytania odpowiednich ustawień słuchawek.

W najnowszej aktualizacji firmware słuchawek do wersji 5.3.5 dodano obsługę aptX Lossless, a więc możliwość streamowania w jakości 24 bit/96 kHz. Oprócz tego mamy też dostępny kodek SBC i AAC, te jednak nie oferują tak wysokiej jakości. Momentum True Wireless 4 testowałem z włączonym ANC i wyłączoną korekcją dźwięku. Brzmienie jest przede wszystkim lekko chłodne i szczegółowe, wyróżnia się góra, która i wybrzmiewa głośniejsze, niż można się tego spodziewać, i oferuje bardzo



dużo detali. Środek jest zrównoważony, mamy tu zarówno dobrą separację, jak i wyraźne wybrzmiewanie instrumentów, choć bardziej jakością wybijają się wokale – można usłyszeć tu większą głębię i drobiazgi, takie jak urywane nabieranie powietrza. Dół nie jest przesadzony, mam nawet wrażenie, że jest go odrobinę za mało, bo choć wybrzmiewa tak, jak można się tego spodziewać po danym utworze, jest delikatnie wyciszony. Prawdopodobnie o to Sennheiserowi chodziło, wszak osobny tryb, który podbija bas, sprawia z kolei, że wszędzie jest go pełno.

Choć osobiście preferuję lekko ocieplone brzmienie, chłodniejsze i stawiające na szczegóły Momentum True Wireless 4 przypadły mi do gustu, dzięki dobremu ANC pozwalają skupić się na dźwięku nawet w miejscach, które niekoniecznie by się do tego nadawały. Sennheiser opracował sprzęt kompletny, oferujący nie tylko wszystko, co niezbędne, ale też zapewniający komfort odsłuchu wszędzie, gdzie to możliwe.



Sennheiser Momentum True Wireless 4 ★★★★★

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:

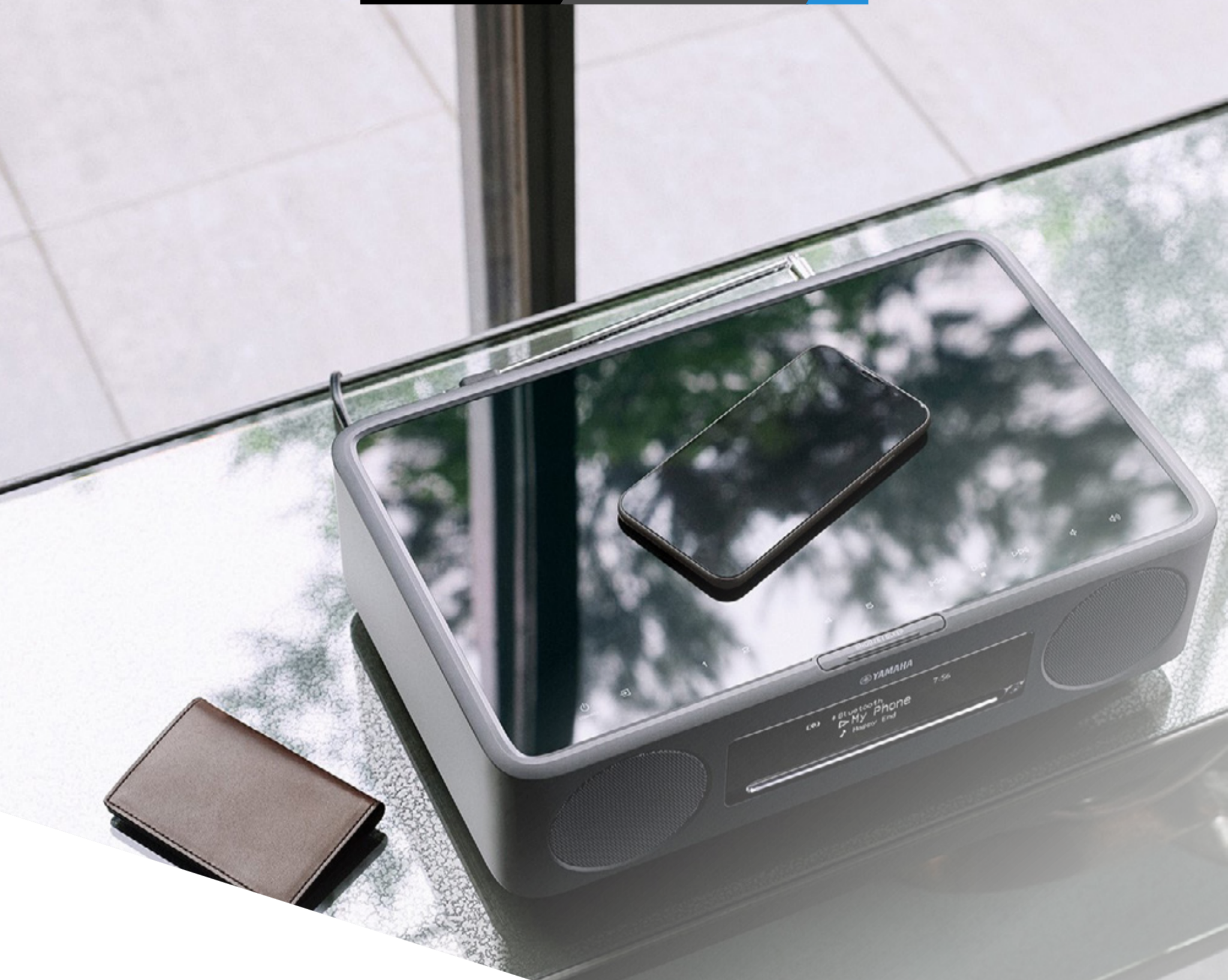
- szczegółowe, analityczne brzmienie
- długa lista dobrze działających funkcji
- Sound Zones

- Minusy:

- wyłącznie dotykowe sterowanie

Cena: około 1300 PLN





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Yamaha MusicCast 200 – im niżej, tym lepiej

Gabinet to coś więcej niż miejsce przeznaczone do pracy. Słowo to kojarzy się z osobistymi przedmiotami, pewną elegancją i spokojem. Gdy zobaczyłem Yamaha MusicCast 200, natychmiast skojarzyłem ten sprzęt właśnie z gabinetem.



Co konkretnie mnie do tego skłoniło? Cóż, Yamaha to już marka-legenda, obecna na rynku niemal od zawsze. MusicCast natomiast jest rodziną produktów, które cechuje elegancja oraz niewielkie rozmiary, i choć ich forma często pozostaje dość tradycyjna, to wewnątrz mamy wszystko, czego można spodziewać się po współczesnym audio. MusicCast 200 dokładnie to dostarcza – jego design jest niezwykle prosty i czerpie z tego, jak kiedyś wyglądały odbiorniki radiowe. Nawiązania są jednak subtelne, bo linia jest już bardzo współczesna, podobnie jak zastosowane rozwiązania. Boki zrobiono z matowego plastiku, górny panel jest natomiast błyszczący, co w białym wariancie (a można też zamówić czarny) prezentuje się doskonale i przyciąga wzrok, ale już nie kurz. Na froncie znalazł się monochromatyczny wyświetlacz, który w czasie uśpienia pokazuje godzinę, natomiast wyświetla też wszystkie niezbędne informacje odnośnie do odtwarzania i pozwala korzystać z urządzenia niemal bez użycia smartfona. Ogólnie jest jednak przeciętny, rozdzielczość zdecydowanie mogłaby być wyższa, a w związku z wyświetlaniem godziny przez całą dobę niezwykle szkoda, że nie



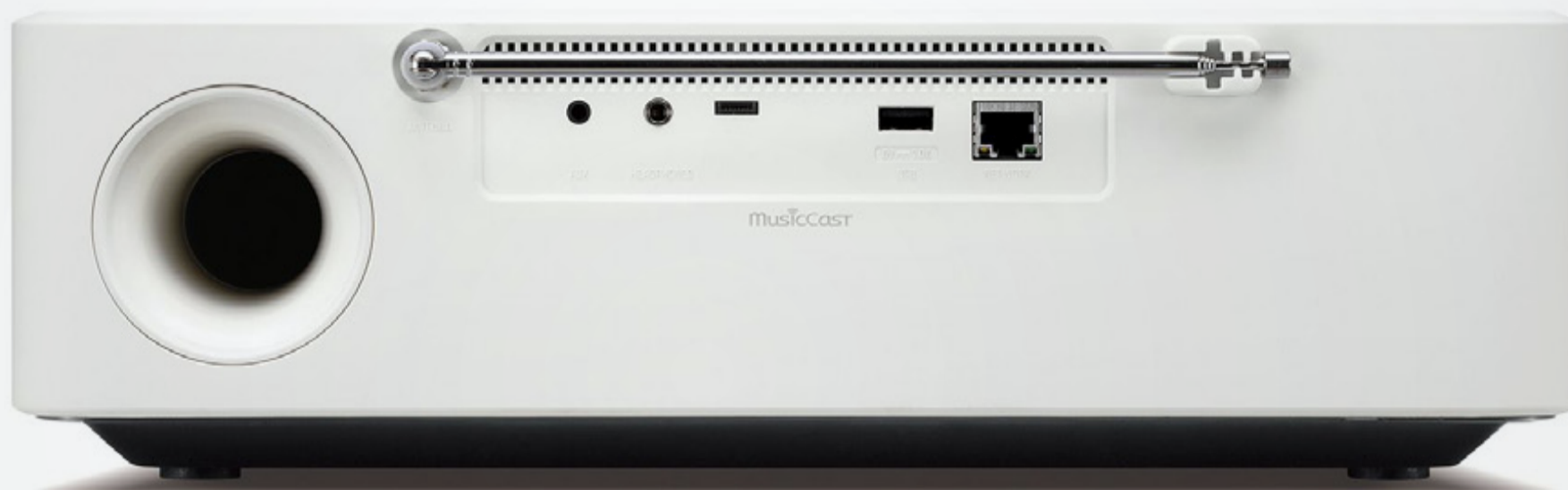
zdecydowano się na OLED – podświetlenie daje tu nieelegancką, niebieską poświatę nawet przy minimalnej jasności. Pod nim umieszczono otwór na płyty CD – już dawno nigdzie go nie widziałem, niemniej napęd wciąż może okazać się przydatny. Po bokach ekranu znalazły się głośniki z metalowymi osłonami. Nad ekranem, na krawędzi umieszczono spory przycisk do wyłączania budzika – miło, że taka funkcja tu jest, ale szczerze wątpię, że wiele osób z niej będzie korzystało, MusicCast 200 jest jednak na tyle duży, że nie zmieści się na większości szafek nocnych (ma prawie 40 cm szerokości i ponad 25 cm głębokości). Na górnym panelu, na samym środku, znalazło się logo Qi. Urządzenie ma wbudowaną ładowarkę w tym standardzie, choć nie jest szybka, to przydaje się bardzo. Przy przedniej krawędzi umieszczono też wiele dotykowych przycisków sterujących, są na tyle widoczne, by nie szukać ich niepotrzebnie, ale jednocześnie nie kontrastują z obudową, by niepotrzebnie przykuwać uwagę. Z tyłu urządzenia znalazły się wszystkie złącza oraz rozkładana

antena radiowa. Jest więc Ethernet, USB-A, złącze serwisowe, wejście liniowe (3,5 mm) oraz wyjście słuchawkowe (również 3,5 mm). Ponadto mamy tu otwór bass reflex, który mocno determinuje to, gdzie powinniśmy ustawić urządzenie. W komplecie dostajemy pilot, który trochę odstaje jakością od samego odtwarzacza – plastik jest matowy i raczej delikatny, wypukłe przyciski nie oferują natomiast dobrego poczucia, że się je wcisnęło. Niemniej, pozwala sterować wszystkimi podstawowymi funkcjami bez sięgania po telefon.

Interfejs aplikacji robi świetne wrażenie, bo nie tylko jest przejrzysty, ale też ładny, i to bardzo.

Standardowo już do skonfigurowania i obsługi urządzenia potrzebna jest aplikacja. MusicCast pozwala na szybkie połączenie z Wi-Fi oraz zalogowanie się w Spotify, Tidal czy na innych platformach. Podobnie działa to w przypadku asystentów głosowych, a więc Aleksy i Asystenta Google. Program umożliwia również konfigurację funkcji MusicCast Surround oraz MusicCast Stereo, pozwalających łączyć kilka urządzeń rodziny MusicCast w jeden system. Nie miałem jednak jak sprawdzić tej funkcji. Apka dostosowana jest zresztą do obsługi wielu sprzętów naraz, pozwala dzielić dom na pomieszczenia i przypisywać do nich urządzenia, wspólne regulować głośność czy je wyłączać. Opcji jest zapewne





jeszcze wiele i jak tylko będę miał więcej niż jeden zestaw audio MusicCast, sprawdzę je z chęcią. Interfejs aplikacji robi świetne wrażenie, bo nie tylko jest przejrzysty, ale też ładny, i to bardzo. Na głównym ekranie znajdują się skróty do ustawienia alarmu, brzmienia, powiązania z innymi urządzeniami oraz wyłącznik. Poniżej, w obszerniejszych sekcjach, widoczne są ostatnio używane źródła oraz treści, jakie odtwarzaliśmy. Dalej mamy sekcję ulubionych, gdzie do sekcji sieć, tuner FM oraz tuner DAB można dodać po 40 pozycji. W praktyce nie do końca to niestety działa, bo pomimo dodania kilku stacji radio internetowego i podcastów (a tego głównie słucham), żadna nie pojawiła się na liście. Ostatnią z sekcji aplikacji jest lista wszystkich źródeł, zarówno tych online, jak i lokalnych. Na szczęście można wyłączyć te źródła, z których nie chcemy korzystać, bo łącznie jest ich 15. Ze źródeł internetowych obsługiwane jest Spotify, Tidal, Napster, Deezer, Amazon Music i Quobuz, do tego mamy też wsparcie dla AirPlay 2 oraz Bluetooth (tu jednak obsługiwane są tylko kodeki SBC i AAC). Ponadto możemy słuchać muzyki z CD, tunera radiowego, pamięci USB-A, wejścia liniowego, lokalnego serwera lub wspomnianego już radio internetowego. Lista jest niemal pełna, ośobiście brakuje mi tu Apple Music oraz YouTube Music. Zupełnie odrębną



sekcją są rutyny, czyli proste skróty, pozwalające jednym dotknięciem wyłączyć wszystkie urządzenia systemu czy uruchomić w danym pomieszczeniu odtwarzanie z konkretnego źródła. To nic wielkiego, ale przy dużej liczbie urządzeń z pewnością się przyda.

Jego design jest niezwykle prosty i czerpie z tego, jak kiedyś wyglądały odbiorniki radiowe. Nawiazania są jednak subtelne, bo linia jest już bardzo współczesna, podobnie jak zastosowane rozwiązania.

Do wyjaśnienia pozostaje jeszcze jedna, ale kluczowa kwestia: jak Music-Cast 200 brzmi? Producent zastosował dwa 1-calowe przetworniki wysokotonowe oraz dwa niskotonowe, o średnicy 3,25 cala każdy. Dodatkowo wyposażył urządzenie w pojedynczy otwór bass reflex, który pozwala odtwarzaczowi osiągnąć znacznie mocniejszy i głębszy bas. No i właśnie, basu jest za dużo. Przy domyślnych ustawieniach i wyłączonej funkcji Bass Booster niskie tony przeszkadzają, pojawiając się w najmniej oczekiwanych momentach. W taki sposób da się słuchać muzyki klubowej czy najmniej wysublimowanego, radiowego popu, jednak do czegokolwiek innego trzeba już skorygować dźwięk. Wyjątkowo więc test przeprowadziłem ze zmniejszonym o jakieś 20% dołem (w aplikacji mamy korektor z trzema suwakami) i przy wyłączonym wzmocnieniu basu. To pomogło, bo nagle dół stał się po prostu dobry, wciąż mocny i miękki, ale już nie tak nachalny i dominujący. Środek jest wyraźny, choć przestrzeń i separacja mogłyby być znacząco lepsze. Bardzo dobrze brzmią gitary, wszystko słychać, jak trzeba. Wokale nie są nienaturalnie podbite, tu może brakuje odrobinę detali. Wysokie tony są wycofane, słychać je, ale pojawiają się na krótko, jakby wręcz celowo je przytępiono. Głośność maksymalna zestawu wystarcza do nagłośnienia pomieszczenia o wielkości około 25–30 metrów kwadratowych, zaznaczam jednak, że



głośność jest idealna do odstuchu lub akompaniowania rozmowie, ale już nie na tyle wysoka, by poradzić sobie z domówką.

Yamaha MusicCast 200 to sprzęt niezwykle trudny do podsumowania. Z jednej strony dostajemy mnogość funkcji i świetny design, z drugiej zaś brzmienie, które wymaga trochę wysiłku, by było akceptowalne. A to w urządzeniu tej klasy nie powinno się zdarzyć. Nie zrozumcie mnie źle – jestem usatysfakcjonowany jakością dźwięku, MusicCast 200 to urządzenie w sam raz do słuchania muzyki w tle, bez głębszej analizy i sam chętnie umieściłbym je w swoim gabinecie, o ile tylko bym taki miał. Wierzę, że gdy się go kiedyś doczekam, kolejny sprzęt z rodziny MusicCast będzie jeszcze lepszym i dojrzałym urządzeniem.



Yamaha MusicCast 200



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 4,5/6
- Wydajność: 4/6

+ Plusy:

- mnogość źródeł dźwięku
- świetny i praktyczny design
- intuicyjna obsługa

- Minusy:

- za dużo basu

Cena: 2899 PLN

Dostępne w Top Hi-Fi & Video Design



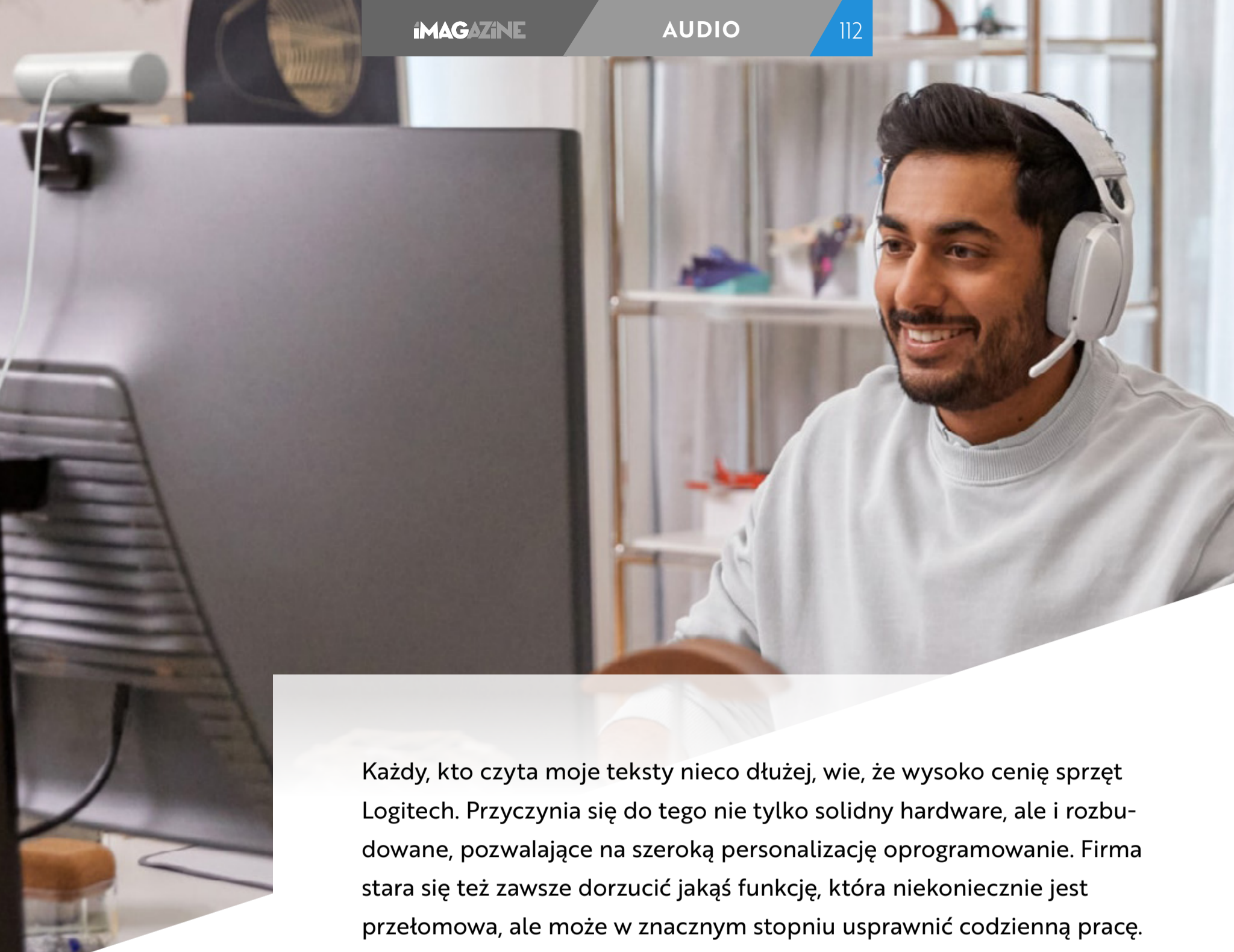


PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Logitech Zone Vibe 100 – możesz rozmawiać bez końca

Wraz z rosnącą liczbą spotkań online zacząłem odczuwać potrzebę przejścia z AirPodsów Pro na sprzęt, który jest przeznaczony właśnie do takich zastosowań. Logitech Zone Vibe 100 idealnie wstrzeliły się w moje wymagania, gdziekolwiek je nawet przerastając.





Każdy, kto czyta moje teksty nieco dłużej, wie, że wysoko cenię sprzęt Logitech. Przyczynia się do tego nie tylko solidny hardware, ale i rozbudowane, pozwalające na szeroką personalizację oprogramowanie. Firma stara się też zawsze dorzucić jakąś funkcję, która niekoniecznie jest przełomową, ale może w znacznym stopniu usprawnić codzienną pracę. Zone Vibe 100 wydają się prostymi słuchawkami z mikrofonem, jednak niech nie zmylą was pozory – to sprzęt, który dla wielu osób, wliczając mnie, jest prawdziwym game changerem. Nawet ich wygląd jest niebanalny, podwójny, szeroki, plastikowy pałąk nie ma bowiem żadnej regulacji, ta znalazła się dopiero w miejscu przyczepu nauszników. Pomędzy plastikowymi elementami rozciągnięty jest miękki i oddychający materiał, wewnątrz poprowadzono kabel łączący oba nauszники. Obudowa jest matowa z wyjątkiem wnęk, które wykończono na wysoki połysk. Bardzo dobrze urozmaica to design. Na krawędziach nauszników rozmieszczono w dużych odległościach przyciski odbierania połączeń, regulacji głośności, suwak włączania i parowania oraz port USB. To wszystko trafiło na lewą słuchawkę, na prawej mamy tylko pojedynczy przycisk odpowiadający za kontrolę odtwarzania. Dodatkowo z lewego nauszника rozkłada się mikrofon – pomiędzy telekonferencjami można go wygodnie schować, by stał się niemal niewidoczny, znacznie ułatwia to też transport. Fakt, nie ma regulacji odległości od ust, jest też na tyle krótki,



że nie umieścimy go bezpośrednio przed twarzą, jednak w dalszej części tekstu przekonacie się, że to w niczym nie przeszkadza.

W słuchawkach tego typu lekkość i komfort mają kolosalne znaczenie, a w tym zakresie Zone Vibe 100 nie mają sobie równych. Poduszki nauszników są bardzo komfortowe, nie dociskają się przesadnie mocno do głowy, a do tego dobrze oddychają, pozwalając na komfortową rozmowę nawet przez 3–4 godziny (nie oceniam jednak tego, jak komfortowa jest sama tak długo trwająca konwersacja, nawet bez słuchawek). Zakres regulacji nauszników jest na tyle szeroki, że nie ma problemu z dopasowaniem

ich nawet do dużej głowy. Sam pałąk ma zresztą sporą elastyczność, co dodatkowo poprawia to, jak poduszki przylegają do skóry. W nausznikach mieści się bez problemu całe ucho, a waga równa jedynie 177 g czyni je wręcz niezauważalnymi. Do pracy z komputerem zdarza mi się założyć okulary i one też nie przeszkadzają, poduszki są na tyle miękkie, że nie dociskają ich nadmiernie. Komfort korzystania z Zone Vibe 100 jest bardzo wysoki, wręcz trudno mi w tej chwili przywołać z pamięci równie wygodne słuchawki nauszne. Są też całkiem proste do przenoszenia, nie składają się może na płasko, ale po zsunięciu nie zajmują przesadnie dużo miejsca, dodatkowo w komplecie dostajemy woreczek

i przewód do ładowania, więc mamy wszystko, by w razie potrzeby wyjąć je z plecaka bądź torby i na szybko podładować. To słuchawki Bluetooth, więc na komfort pracy wpływa też bateria – ta wytrzymuje według producenta do 18 godzin rozmów i do 20 godzin odstępu, w moim przypadku czas okazał się trochę krótszy, dały radę działać około 15–16 godzin samych rozmów, niemniej to wciąż bardzo dobry wynik (zwłaszcza że ich waga sugeruje, że wręcz nie mają baterii). Co więcej, da się je szybko podładować i 5 minut ładowania daje do godziny odstępu, choć sam podpinałem je na około 10–15 minut, by rozmawiać komfortowo przez kolejną godzinę.

Sprzęt Logitech nie byłby tak funkcjonalny, gdyby nie jego oprogramowanie. W przypadku Zone Vibe 100 do dyspozycji mamy aplikację Logi Tune, dostępną zarówno na desktopach, jak i na urządzeniach mobilnych.

Komfort korzystania z Zone Vibe 100 jest bardzo wysoki, wręcz trudno mi w tej chwili przywołać z pamięci równie wygodne słuchawki nauszne.



Podoba mi się w niej przede wszystkim to, że mam widoczne wszystkie podłączone urządzenia Logitech, a więc nie tylko słuchawki, ale też kamerę, mysz i klawiaturę (choć dwa ostatnie sprzęty mają też osobne oprogramowanie do złożonej konfiguracji i personalizacji). Zone Vibe 100 mają wiele funkcji i trudno którąkolwiek z nich postrzegać za zbędną. Przede wszystkim mogą być połączone z dwoma urządzeniami jednocześnie, co sprawdza się idealnie w przypadku komputera i telefonu służbowego, gdy okazjonalnie musimy go odebrać. Jest tu też korektor dźwięku, a oprócz trzech z góry ustalonych presetów podbijających głośność, mowę lub ustawiających brzmienie neutralnie mamy też do wyboru ręczną konfigurację za pomocą pięciu suwaków – da się oczywiście ją zapisać, apka potrafi nawet wygenerować losową nazwę. To o tyle istotny element, że Zone Vibe 100 sprawdzają się zarówno w pracy, jak i w rozrywce, jakość odtwarzania jest naprawdę dobra. Aplikacja umożliwia również ustalenie, po jakim czasie słuchawki przejdą do trybu uśpienia czy w jakim języku (i czy w ogóle) słyszane będą komunikaty głosowe. Najważniejsze ustawienia dotyczą mikrofonu. Fizyczne złożenie standardowo powoduje wyciszenie go, można to wyłączyć. Ponadto da się ustawić poziom głośności





mikrofonu oraz tego, jak głośno słyszymy siebie, gdy rozmawiamy. Funkcja ta nazywa się Sidetone i znacząco poprawia komfort rozmowy. Nawet pomimo tego, że poduszki nauszników nie zapewniają zbyt dużej izolacji pasywnej, nasz głos jest słyszany przez nas ciszej – Sidetone to wyrównuje. Ciekawostką jest to, że w aplikacji na urządzeniach mobilnych nie można wyregulować poziomu mikrofonu, za to poziom baterii słuchawek pokazywany jest z dokładnością do 1%. Na macOS natomiast przeskakuje co 10%.

Wspominałem, że Zone Vibe 100 brzmią lepiej, niż inne słuchawki przeznaczone do telekonferencji. Dzięki zastosowaniu 40-milimetrowych przetworników dobrej jakości Logitech osiągnął dźwięk, który można porównywać z nieco tańszymi, ale przeznaczonymi wyłącznie do odsłuchu modelami. Mamy tu zarówno dobrą przestrzeń, jak i sporo detali we wszystkich pasmach. Nie ma tu żadnego nienaturalnego podbicia dołu czy wyciszonej lub kłującej góry – z powodzeniem nadają się do słuchania muzyki podczas pracy czy do oglądania seriali. Równie istotna jest jakość tego, jak słyszą nas inni. A tu jest wręcz świetnie, bo mikrofon bardzo dobrze rejestruje nasz głos, nie przenosi też dźwięków z obudowy (gdy na przykład przypadkowo otrzemy nią o ubranie).



Ponadto słuchawki dobrze odfiltrowują dźwięki otoczenia, więc to, co słyszą rozmówcy, jest mocno oczyszczone ze zbędnych hałasów. Podczas rozmowy mój 2,5-letni syn bawił się za drzwiami w sposób niepozostawiający wątpliwości, że cokolwiek robił, bardzo się tym ekscytował (wydając piski w zakresie z pewnością zahaczającym o ultradźwięki), jednak na telekonferencji był ledwo słyszalny. Zone Vibe 100 nie mogą dostać ode mnie lepszej rekomendacji.

Pracowałem już z wieloma słuchawkami na głowie i ostatecznie o tym, jak je oceniałem, decydował przede wszystkim komfort. Logitech Zone Vibe 100 są zdecydowanie najwygodniejszym tego typu sprzętem, z którego korzystałem, a przy tym są w stanie dużo więcej. Funkcje związane z poprawą jakości głosu, mechanicznie wyciszany mikrofon czy dźwięk, jaki generują, czynią je jednocześnie mocno wyspecjalizowanym, ale wciąż mającym inne zastosowania sprzętem. Używam ich na co dzień, a stawiają poprzeczkę tak wysoko, że prawdopodobnie długo nic ich nie zastąpi.



Logitech Zone Vibe 100



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:

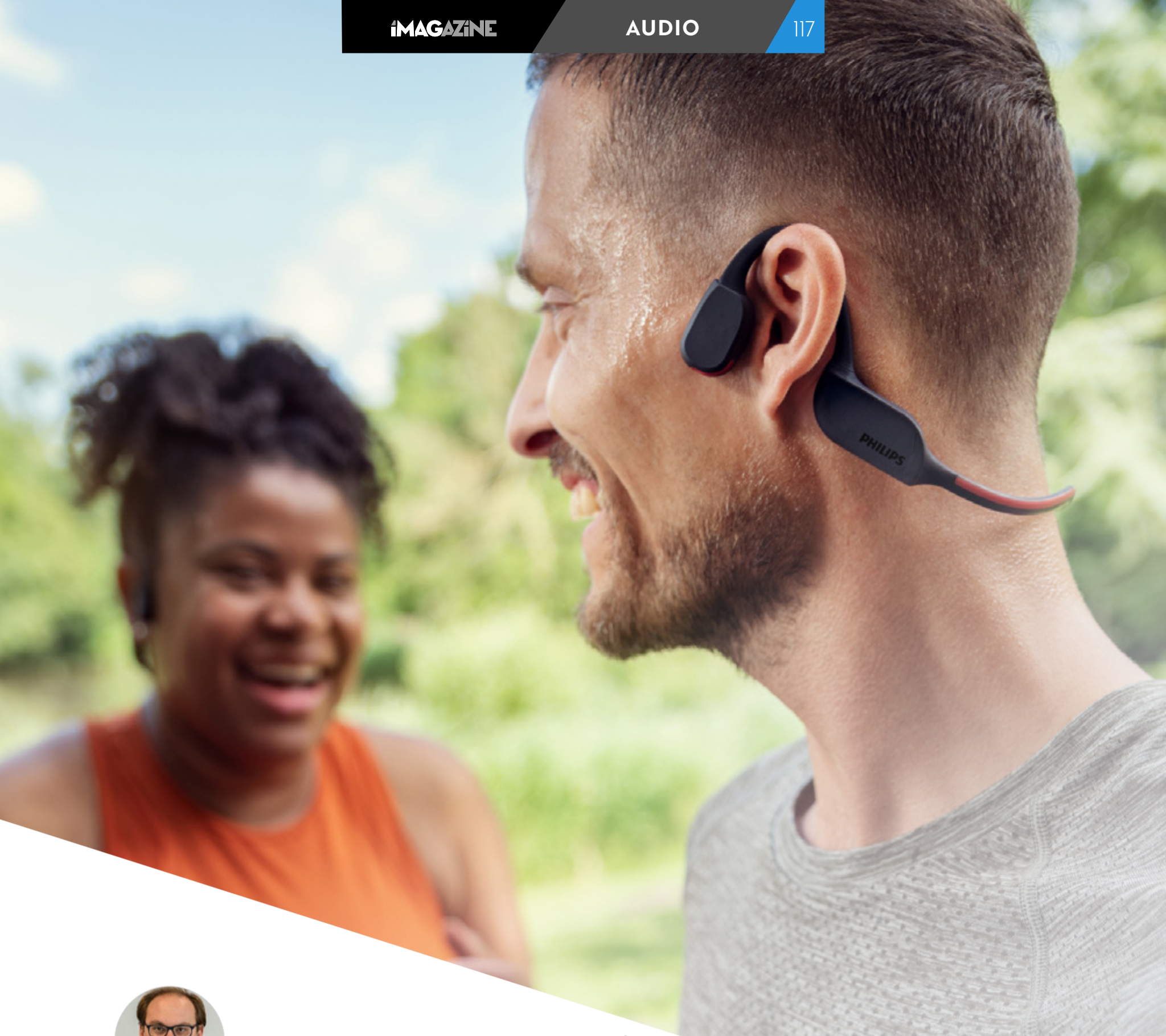
- niesamowity komfort
- przepuszczanie własnego głosu
- składany mikrofon

- Minusy:

- mocno słyszalne przyciski

Cena: około 500 PLN





PAWEŁ OKOPIEŃ
@paweloko

Czas na wiosenny rozruch ze słuchawkami Philips GO

Gama słuchawek sportowych od Philips Sound znowu się poszerzyła o dwa nowe modele – TAA5508 i TAA5608. A to nie jedyne warte uwagi słuchawki tego producenta, które sprawdzą się przy wiosennych (i nie tylko) aktywnościach fizycznych. Warto też, jak Philips, włączyć się w charytatywny i unikalny globalny bieg Wings for Life World Run. Przyglądamy się bliżej słuchawkom Philips GO.





Philips TA5508

To nowe słuchawki marki Philips Sound, dokanałowe TWS z 8-milimetrową membraną pokrytą grafenem o niskim poziomie zniekształceń, które zapewniają doskonałe brzmienie. Wykorzystują najnowszy, niezawodny standard wielopunktowej łączności bezprzewodowej Bluetooth 5.3 z kodekiem LC3. Słuchawki Philips A5508 wyposażono w hybrydową technologię ANC z wbudowaną funkcją redukcji szumu wiatru. Oferują 7 godzin odtwarzania z włączonym ANC oraz kolejne 21 godzin pracy dzięki etui. Zaledwie 5 minut ładowania wystarczy na dodatkową godzinę działania. Odporność na pot i wodę na poziomie IPX5 zapewnia użytkownikom niezawodność działania słuchawek podczas uprawiania sportu w najróżniejszych warunkach.

Cena rynkowa: 319 PLN

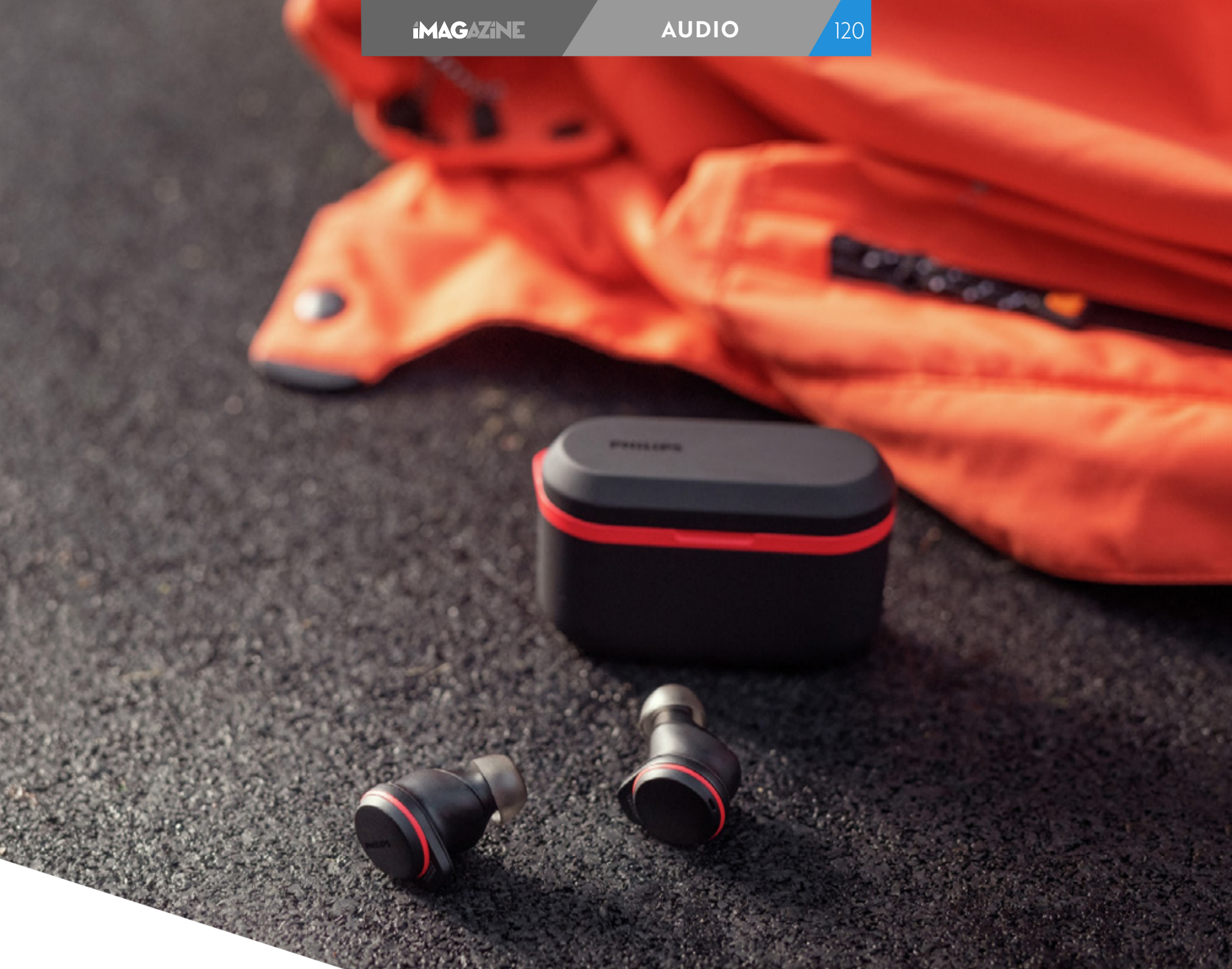


Philips TAA5608

W tym modelu zastosowano konstrukcję otwartą z najnowszą technologią przewodzenia kostnego, aby zaoferować użytkownikom zarówno doskonały dźwięk, jak i zwiększyć ich bezpieczeństwo poprzez możliwość odbioru odgłosów z otoczenia. Innym elementem poprawiającym bezpieczeństwo podczas uprawiania sportu w ruchliwym miejscu jest oświetlenie LED wbudowane w tylną część pałąka. Także tu znalazło się miejsce na łączność Bluetooth 5.3 z kodekiem LC3. Model ten zapewnia 6 godzin odtwarzania oraz dodatkową godzinę pracy po jedynie 15-minutowym ładowaniu. I także zapewnia odporność na pot i wodę w standardzie IPX 5.

Cena rynkowa: 399 PLN





Philips TAA7507

Zupełnie inną, równie ciekawą propozycją jest ten model. To całkowicie bezprzewodowe słuchawki oferujące 8 godzin słuchania, a case pozwala na dodatkowe 25 godzin. Co więcej, słuchawki wystarczy włożyć do etui na raptem 15 minut, by zyskać dodatkową godzinę odsłuchu. Atutem tych słuchawek jest system redukcji szumów PRO, a także wodoodporność w klasie IPX5. Aby dźwięk był jak najlepszej jakości, zarówno podczas odtwarzania muzyki, jak i rozmów, nawet w trakcie spaceru w wietrzny dzień, wykorzystywane jest tu przewodzenie kostne oraz mechanizmy sztucznej inteligencji. To zaawansowane, sportowe słuchawki prawdziwie bezprzewodowe dostępne w bardzo rozsądnej cenie.

Cena rynkowa: 579 PLN





Philips TAA7607

Ten model jest rozwiązaniem skrojonym pod ludzi aktywnych fizycznie. To słuchawki bezprzewodowe o otwartej konstrukcji z tzw. pałąkiem. Pałąk posiada diody bezpieczeństwa LED. Tworzy więc świecącą, opaskę na naszej szyi, co pozwala stać się lepiej widocznym, chociażby podczas biegania po zmroku. Słuchawki te są odporne na kurz i wodę w klasie IP66. Pełne naładowanie trwa 2 godziny i pozwala na 9 godzin odtwarzania.

Cena rynkowa: 579 PLN



Wings for Life World Run – trenuj i pobiegnij dla tych, którzy nie mogą

A może dobrze byłoby połączyć powrót do formy z pomocą innym? Jeśli tak, to proponujemy w ramach treningów przygotować się do startu w wyjątkowej imprezie. W tym roku marka Philips Sound po raz kolejny została globalnym partnerem międzynarodowego biegu charytatywnego Wings for Life World Run, który odbędzie się już 5 maja o godzinie 11:00. Wszystkie środki zebrane podczas tego wydarzenia wesprą badania nad wynalezieniem metody leczenia uszkodzonego rdzenia kręgowego.

Nieważne, czy jesteś zaprawiony w boju i startujesz w maratonach, czy może biegasz dwa razy w tygodniu, a maksymalny pokonany dystans to 3 kilometry. W tej imprezie udział może wziąć każdy i każdy sam ustala trasę, z jaką chciałby się zmierzyć. Można wystartować albo w jednym z biegów flagowych organizowanych w różnych miastach, albo pobiec z aplikacją Wings for Life World Run App w dowolnym miejscu na świecie. Co ważne, tutaj nie ma linii mety! 30 minut po starcie ruszają prawdziwe lub wirtualne samochody pościgowe, które będą motywować uczestników do pokonywania kolejnych kilometrów. Udział w imprezie kończy się, gdy zostaniemy dogonieni przez taki samochód.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

MacBook Air 13- i 15-calowy (early 2024) z Apple M3 – co nowego, polskie ceny i pełna specyfikacja techniczna

Apple, za pomocą informacji prasowej, zaprezentowało najnowszą odstonę MacBooka Air w dwóch rozmiarach – 13- i 15-calowych – na pokładzie którego umieszczono najnowszy układ Apple M3, znany już m.in. z [MacBooka Pro \(late 2023\)](#) oraz [iMaca \(late 2023\)](#).



MacBook Air 13" i 15" (early 2024)

Co nowego?

- Apple M3 i wszystkie jego zalety – sprzętowy ray-tracing, kodek AV1 i więcej. Na temat [Apple M3](#) pisałem szerzej przy okazji jego premiery.
- Możliwość podłączenia dwóch zewnętrznych monitorów, pod warunkiem, że klapa jest zamknięta i ekran jest wygaszony. Z otwartą pokrywą wspierany jest jeden zewnętrzny wyświetlacz o rozdzielczości 6K przy 60 Hz. Po zamknięciu pokrywy można podłączyć dodatkowo jeden 5K przy 60 Hz.
- Wi-Fi 6E.
- Pierwszy produkt Apple, który jest w 50% stworzony z elementów z recyklingu. W 100% recyklingowana jest obudowa z aluminium, rzadkie pierwiastki z ziemi we wszystkich magnesach i miedź użyta na płycie głównej. Opakowanie jest w 99% oparte na włóknach, co przybliża Apple do celu, jakim jest usunięcie plastiku ze wszystkich opakowań do 2025 roku.



MacBook Air 13" – specyfikacja techniczna

Podstawowe konfiguracje

MacBook Air 13"	CPU	RAM	SSD	GPU	Cena
mid 2017	Core i5 1,8 / 2,9 GHz (2-rdzeniowy)	8 GB	128 GB	HD Graphics 6000	b.d.
mid 2017	Core i7 2,2 / 3,2 GHz (2-rdzeniowy)	8 GB	128 GB	HD Graphics 6000	b.d.
late 2018	Core i5 1,6 / 3,6 GHz (2-rdzeniowy)	8 GB	128 GB	UHD Graphics 617	5999 PLN
mid 2019	Core i5 1,6 / 3,6 GHz (2-rdzeniowy)	8 GB	128 GB	UHD Graphics 617	5499 PLN
early 2020	Core i3 1,1 / 3,2 GHz (2-rdzeniowy)	8 GB	256 GB	Iris Plus	4999 PLN
early 2020	Core i5 1,1 / 3,5 GHz (4-rdzeniowy)	8 GB	512 GB	Iris Plus	6499 PLN
late 2020	Apple M1 8-rdzeniowy	8 GB	256 GB	7-rdzeniowy	5199 PLN
late 2020	Apple M1 8-rdzeniowy	8 GB	512 GB	8-rdzeniowy	6449 PLN
late 2020 (w 2022)	Apple M1 8-rdzeniowy	8 GB	256 GB	7-rdzeniowy	5799 PLN
mid 2022	Apple M2 8-rdzeniowy	8 GB	256 GB	8-rdzeniowy	6999 PLN 4999 PLN
mid 2022	Apple M2 8-rdzeniowy	8 GB	512 GB	10-rdzeniowy	8799 PLN 6199 PLN
early 2024	Apple M3 8-rdzeniowy	8 GB	256 GB	8-rdzeniowy	5999 PLN
early 2024	Apple M3 8-rdzeniowy	8 GB	512 GB	10-rdzeniowy	7199 PLN
early 2024	Apple M3 8-rdzeniowy	16 GB	512 GB	10-rdzeniowy	8399 PLN



MacBook Air 13" – dopłaty

late 2020	16 GB RAM	1000 PLN
late 2020	512 GB SSD	1000 PLN
late 2020	1 TB SSD	1000/2000 PLN (zależnie od modelu)
late 2020	2 TB SSD	3000/4000 PLN (zależnie od modelu)
late 2020 (w 2022)	16 GB RAM	1200 PLN
late 2020 (w 2022)	512 GB SSD	1200 PLN
late 2020 (w 2022)	1 TB SSD	2400 PLN
late 2020 (w 2022)	2 TB SSD	4800 PLN
mid 2022	M2 z 10-rdzeniowym GPU	600 PLN
mid 2022	16 GB RAM	1200 PLN
mid 2022	24 GB RAM	2400 PLN
mid 2022	512 GB SSD	1200 PLN
mid 2022	1 TB SSD	1200/2400 PLN (zależnie od modelu)
mid 2022	2 TB SSD	3600/4800 PLN (zależnie od modelu)
mid 2022	Zasilacz 35 W z 2x USB-C	120 PLN
mid 2022	Zasilacz 67 W USB-C	120 PLN
early 2024	M3 z 10-rdzeniowym GPU	600 PLN
early 2024	16 GB RAM	1200 PLN
early 2024	24 GB RAM	1200/2400 PLN (zależnie od modelu)
early 2024	512 GB SSD	1200 PLN
early 2024	1 TB SSD	1200/2400 PLN (zależnie od modelu)
early 2024	2 TB SSD	3600/4800 PLN (zależnie od modelu)
early 2024	Zasilacz 35 W z 2x USB-C	120 PLN
early 2024	Zasilacz 67 W USB-C	120 PLN



MacBook Air 15" – specyfikacja techniczna

Podstawowe konfiguracje

MacBook Air 15"	CPU	RAM	SSD	GPU	Cena
mid 2023	Apple M2 8-rdzeniowy	8 GB	256 GB	8-rdzeniowy	7299 PLN
mid 2023	Apple M2 8-rdzeniowy	8 GB	512 GB	10-rdzeniowy	8499 PLN
early 2024	Apple M3 10-rdzeniowy	8 GB	256 GB	10-rdzeniowy	6999 PLN
early 2024	Apple M3 10-rdzeniowy	8 GB	512 GB	10-rdzeniowy	8199 PLN
early 2024	Apple M3 10-rdzeniowy	16 GB	512 GB	10-rdzeniowy	9399 PLN

MacBook Air 15" – dopłaty

mid 2023	16 GB RAM	1200 PLN
mid 2023	24 GB RAM	2400 PLN
mid 2023	512 GB SSD	1200 PLN
mid 2023	1 TB SSD	1200/2400 PLN (zależnie od modelu)
mid 2023	2 TB SSD	3600/4800 PLN (zależnie od modelu)
early 2024	16 GB RAM	1200 PLN
early 2024	24 GB RAM	2400 PLN
early 2024	512 GB SSD	1200 PLN
early 2024	1 TB SSD	1200/2400 PLN (zależnie od modelu)
early 2024	2 TB SSD	3600/4800 PLN (zależnie od modelu)



Przemyślenia

Ważną informacją dla wielu będzie fakt, że modelu 13-calowy z układami M2 jest nadal dostępny, teraz w obniżonych cenach, wynoszących odpowiednio 4999 PLN i 6199 PLN za model z M2 8-core/8-core, 8 GB RAM i 256 GB SSD oraz za M2 8-core/10-core, 8 GB RAM i 512 GB SSD. Muszę powiedzieć, że ten komputer, w konfiguracji z 16 GB RAM i 512 GB SSD, w cenie 7399 PLN, czyli o 1000 zł niższej od modelu z M3, może być interesującą propozycją.

Najważniejszą nowością w nowych modelach z M3, które teraz są o 1000 zł droższe od przecenionych odpowiedników z M2, będzie możliwość podłączenia dwóch zewnętrznych monitorów, jeśli zamkniemy pokrywę komputera. Osoby, które już mają Wi-Fi 6E być może docenią jego niewielkie zalety.

Graczy jeszcze może zainteresuje zwiększona wydajność GPU oraz nowe sprzętowe zalety M3...

Poza tym nie oferuje nic więcej i nie musi – to tzw. spec bump, który jest równie potrzebny, jak nowe konstrukcje i rewolucje.



MACBOOK AIR M3



co nowego + unboxing



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

MacBook Air 15" (early 2024) z Apple M3 – wyjmujemy z pudełka

Testujemy MacBooka Air w najnowszym wydaniu z Apple M3 oraz nowymi możliwościami względem poprzednika, więc na wstępie zapraszam na [unboxing na naszym kanale na YouTube](#), na zdjęcia i kilka informacji poniżej.





Testowana sztuka nowego MacBooka Air jest w rozmiarze 15" w kolorze północ (midnight), który urzeka tak wielu. Osobiście zawsze będę preferował tradycyjny srebrny, bo jest to wygodniejszy odcień do utrzymania, ale zależnie jak pada światło, rozumiem dlaczego północ podoba się tak wielu.

Ten egzemplarz to wersja 15-calowa, wyposażona w Apple M3, który posiada 8-rdzeniowy CPU (4p+4e) oraz 10-rdzeniowy GPU. Jest odmiana tego SoC w modelu 13-calowym, która powiada 8-rdzeniowy GPU. Dodatkowo na pokładzie znajdziemy 16 GB RAM, co jest ilością optymalną pod względem ceny – dopłata do 24 GB jest absurdalnie wysoka – oraz obowiązkową opcją do odznaczenia w konfiguratorze. Starajcie się unikać wersji z 8 GB RAM – to ciut za mało. SSD ma z kolei 512 GB, co



większości z nas powinno wystarczyć, ale można go rozszerzyć do 2 TB.

Ten MacBook Air 15" będzie w redakcji przez najbliższych kilka tygodni, więc jeśli macie jakiegokolwiek pytania na jego temat, to zapraszam do kontaktu przez social media (moje konta znajdziecie pod tytułem przy imieniu). Zapraszam też do obejrzenia [unboxingu oraz omówienia nowości...](#)

Po więcej szczegółowych informacji nt. najnowszego MacBooka Air [zapraszam do wpisu na jego temat.](#)





SZYBSZY OD M2?

odciski



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

MacBook Air 15" (early 2024) z M3 – benchmarki w Final Cut Pro, Lightroom, MacWhisper i innych

Przetestowałem najnowszego [MacBooka Air \(early 2024\)](#) z Apple M3 we wszystkich naszych benchmarkach, które możemy porównać nie tylko do poprzednika, ale również [do wielu różnych innych Maców](#). Sprawdźmy zatem, jak poradził sobie najnowszy Air z M3 na pokładzie... Alternatywnie zapraszam [do obejrzenia wideo](#) z [poniższymi wynikami oraz wnioskami](#).





Nowego **MacBook Air z M3** zaprezentowano w marcu 2024 r. i na temat **jego specyfikacji** i wariantów rozpisywałem się szeroko, wraz z porównaniem do reszty rodziny Maców. W skrócie przypomnę, że mamy dwa modele – 13- i 15-calowe. Możemy je wyposażyć od 8 do 24 GB RAM i od 256 GB do 2 TB pamięci flash. Największą **nowością jest możliwość podłączenia dwóch monitorów jednocześnie**, pod warunkiem, że wygaszony jest wbudowany w Aira ekran – ta funkcja trafi również do **MacBooka Pro 14" z M3**, zaprezentowanego na koniec 2023.

Unboxing testowanego modelu znajdziecie **na naszym YouTube** oraz **w archiwum**, gdzie zdradzam jaką mamy konfigurację. Otóż jest to model optymalny dla większości z nas, ale niestety nie najtańszy. Ma 15-calowy ekran, 16 GB RAM i 512 GB SSD – jest to najdroższa bazowa konfiguracja, kosztująca 9399 PLN. Osobiście zdecydowanie preferuję warianty 13-calowe, tym bardziej, że 13,6-calowy ekran w mniejszy Airze jest większy i ma wyższą rozdzielczość niż te, do których jesteśmy przyzwyczajeni (13,3"). Dla siebie wybrałbym więc Aira 13,6" z 16 GB RAM i 512 GB SSD w wersji M2 za 7399 PLN lub jako M3 za 8399 PLN. Najchętniej jednak skusiłbym się na **MacBooka Pro 14" z M3**, 16 GB RAM i 512 GB SSD za 10199 PLN – jego ekran jest tego wart.

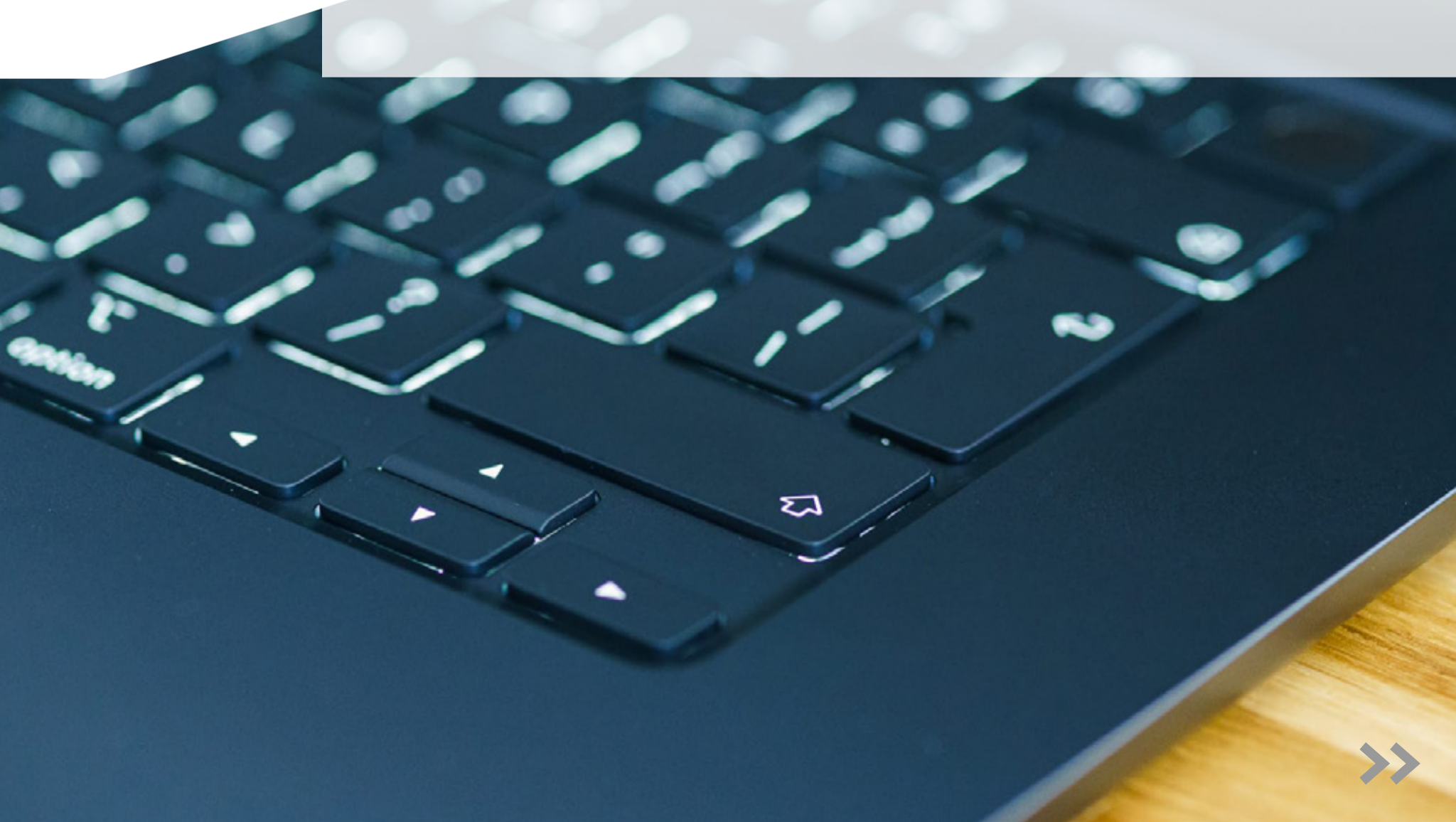


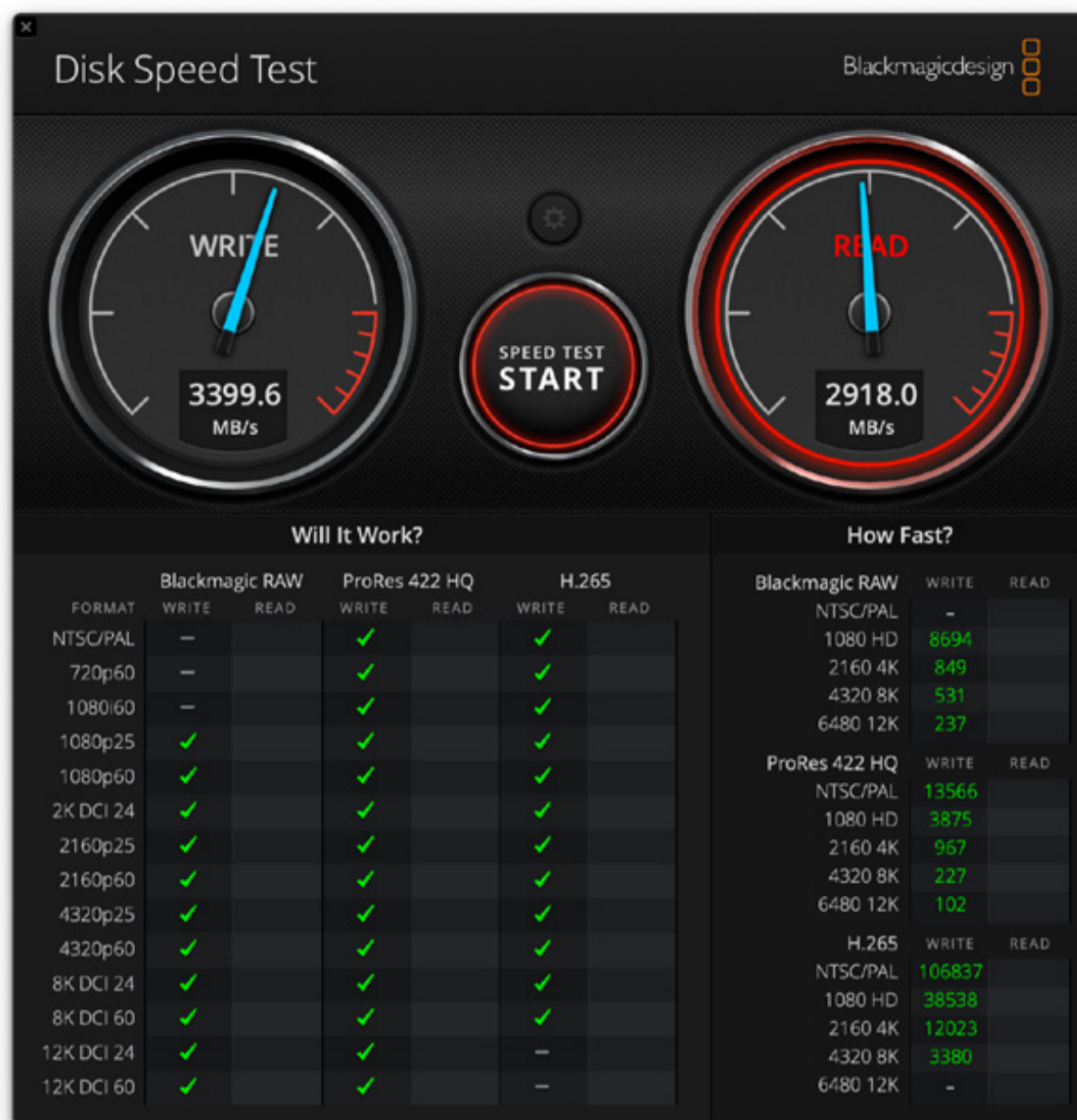
Pierwsze wrażenia

Korzystam z tego Maca już od 5 dni i o ile uwielbiam model 13,6-calowy, tak 15-tka jest dla mnie po prostu za duża. Do tego ma te szerokie płaskie powierzchnie wokół klawiatury, które wydają mi się za dużo po moim MacBook Pro 14". Wiele osób jednak preferuje większy ekran o gorszych parametrach od mniejszego, ale lepszego, z HDR. Wśród ekranów klasy tej, które Apple zamontowało w Airze, mamy prawdopodobnie jeden z lepszych w swojej kategorii. Świeci ślicznie i równo, a kąty są wystarczające do typowych zastosowań, czy to na biurku, czy na kolanach.

Testowany kolor to Północ / Midnight, za którym również nie przepadam, ale wiele osób jest nim zachwycona. To bardzo ciemny granat, dosyć ciepły, zdecydowanie różniący się od Space Grey i Space Black. Zostawiam na nim swoje odciski palców i nie sprawdzałem jeszcze jak łatwo się je domywa, ale są zdecydowanie bardziej widoczne niż na modelach srebrnych, więc jeśli macie OCD, to polecam jaśniejsze odcienie.

Nie mam jeszcze realnych wyników testów na baterii, bo nie robię na nim nic przypominającego typowe zadania obecnie, ale przypominam, że Apple podaje iż oba warianty MacBooka Air wytrzymują do 18 godzin pracy na baterii, zgodnie z ich specyficznymi testami.



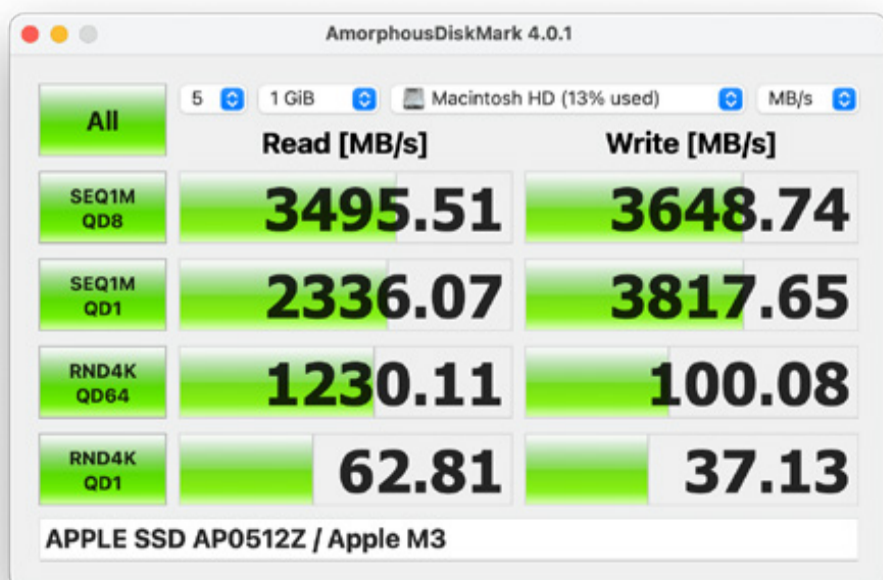


SSD

Wiemy już, że Apple w modelach 256 GB wróciło do stosowania dwóch kości 128 GB, co jest droższe, ale oferuje większą wydajność. W przypadku modelu 512 GB spodziewam się dwóch kości 256 GB jak poprzednio, ale wydajność jest bez zmian i oscyluje w rejonie 2900 MB/s przy odczycie i 3400 MB/s przy zapisie zgodnie z Disk Speed Test od Blackmaga.

AmorphousDiskMark daje lepszy cyferki – odpowiednio w rejonie 3500 i 3650 MB/s przy odczycie i zapisie.

Po lewej dodałem tabelkę z historycznym wynikami, celem ułatwienia porównania tego Maca z innymi, a przy okazji zobaczenia jak zachowują się różne pojemności SSD.



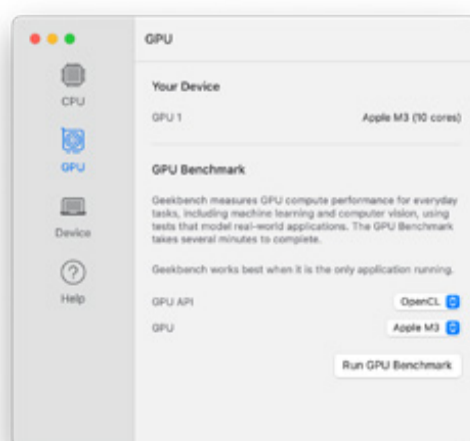
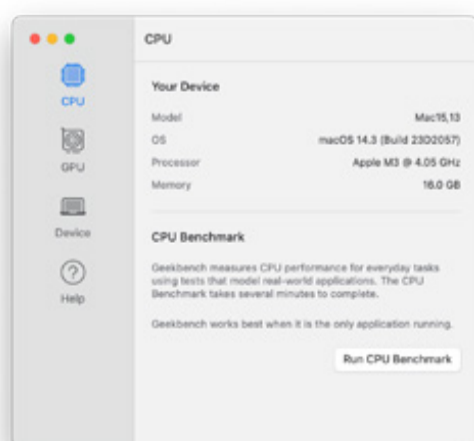
Blackmagic Disk Speed Test**Odczyt w MB/s****Zapis w MB/s**

MacBook Air 13,3" (late 2020) Apple M1 8-core CPU (4+4) 8-core GPU 8 GB RAM 256 GB	2165	2716
MacBook Pro 14,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 32 GB RAM 4 TB	5591	7409
MacBook Air 13,6" (mid 2022) Apple M2 8-core CPU (4+4) 8-core GPU 8 GB RAM 256 GB	1473	1714
MacBook Pro 14,2" (early 2023) Apple M2 Pro 10-core CPU (6+4) 16-core GPU 16 GB RAM 512 GB	3456 *AmorphousDiskMark	3648 *AmorphousDiskMark
Mac Mini (early 2023) Apple M2 Pro 12-core CPU (8+4) 19-core GPU 16 GB RAM 1 TB	4945	6215
MacBook Air 15,3" (mid 2023) Apple M2 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 1 TB	3015	2808
Mac Studio (mid 2023) Apple M2 Max 12-core CPU (4+4) 38-core GPU 64 GB RAM 2 TB	6776 *AmorphousDiskMark	7692 *AmorphousDiskMark
iMac (late 2023) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	2922	3293
MacBook Pro 16,2" (late 2023) Apple M3 Max 16-core CPU (12+4) 40-core GPU 128 GB RAM 8 TB	5621	8244
MacBook Air 15,3" (early 2024) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	2918	3400

Geekbench 6

Wyniki Geekbench 6 są kalibrowane względem wyniku bazowego 2500 (co jest wynikiem Intel Core i7-12700). Wyższe wyniki są lepsze, przy czym podwójna ocena oznacza podwójną wydajność.

Szczegóły techniczne



CPU

Geekbench 6	Single-Core	Multi-Core
iPad Pro 11" (early 2021) Apple M1 8-core CPU (4+4) 8-core GPU 4 GB RAM 256 GB	2190	7920
MacBook Pro 14,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 32 GB RAM 4 TB	2403	12343
MacBook Pro 14,2" (early 2023) Apple M2 Pro 10-core CPU (6+4) 16-core GPU 16 GB RAM 512 GB	2658	11962
MacBook Air 15,3" (mid 2023) Apple M2 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 1 TB	2582	9896
Mac Studio (mid 2023) Apple M2 Max 12-core CPU (4+4) 38-core GPU 64 GB RAM 2 TB	2802	14944
iMac (late 2023) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	3007	11649
MacBook Pro 16,2" (late 2023) Apple M3 Max 16-core CPU (12+4) 40-core GPU 128 GB RAM 8 TB	3038	20815
MacBook Air 15,3" (early 2024) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	3054	11816

Compute

Geekbench 6	OpenCL	Metal
iPad Pro 11" (early 2021) Apple M1 8-core CPU (4+4) 8-core GPU 4 GB RAM 256 GB	—	32309
MacBook Pro 14,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 32 GB RAM 4 TB	40753	67418
MacBook Pro 14,2" (early 2023) Apple M2 Pro 10-core CPU (6+4) 16-core GPU 16 GB RAM 512 GB	43296	73845
MacBook Air 15,3" (mid 2023) Apple M2 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 1 TB	27805	45295
Mac Studio (mid 2023) Apple M2 Max 12-core CPU (4+4) 38-core GPU 64 GB RAM 2 TB	85264	144961
iMac (late 2023) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	30415	47361
MacBook Pro 16,2" (late 2023) Apple M3 Max 16-core CPU (12+4) 40-core GPU 128 GB RAM 8 TB	94031	155727
MacBook Air 15,3" (early 2024) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	30269	47230



Analiza

Wygląda na to, że M3 w Airze jest bardzo zbliżony wydajnością do jego wcześniejszych odmian, które znajdziemy np. w iMacu M3. Nie ma też drugoczących zmian względem M2, więc właściciele MacBooków Air z 2022-2023 wyposażonych w poprzedniej generacji SoC nie powinno wymieniać sprzętów z powodu zwiększonej wydajności. Wyjątkiem jest sytuacja, w której poszukujecie więcej RAM lub pamięci flash.

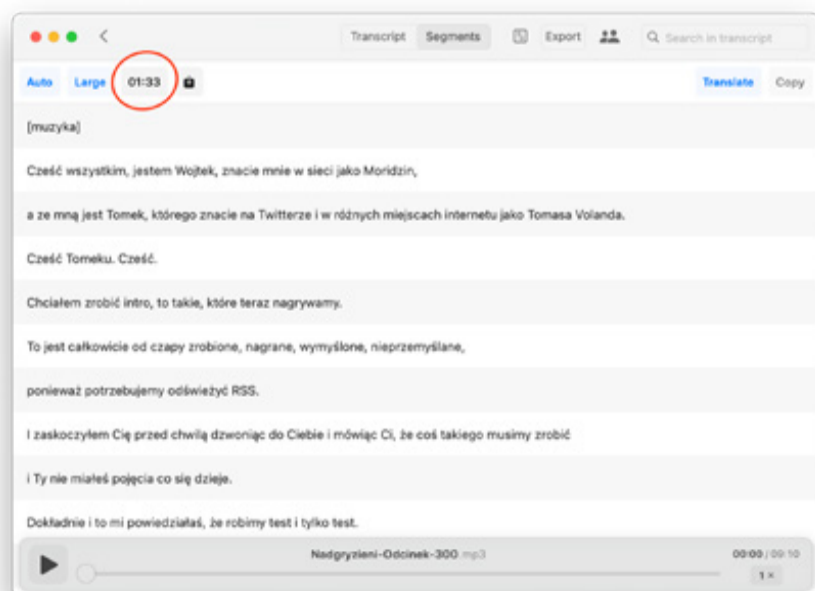
MacWhisper

MacWhisper	Nadgryzieni 300	Nadgryzieni 447
MacBook Pro 14,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 32 GB RAM 4 TB	01:33 v6.8 (680)	14:56 v6.8 (680)
MacBook Pro 16,2" (late 2023) Apple M3 Max 16-core CPU (12+4) 40-core GPU 128 GB RAM 8 TB	00:53 v6.8 (680)	09:03 v6.8 (680)
MacBook Air 15,3" (early 2024) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	01:59 v7.7 (735)	20:18 v7.7 (735)

Analiza

To nowy benchmark, którego dodałem do listy, na prośbę wielu z Was. MacWhisper jednak przechodzi zmiany bardzo szybko, dopiero niedawno dodano mu pełne wsparcie dla GPU, więc odznaczam testowaną wersję przy wyniku.

Nie jest zaskoczeniem fakt, że M3 z najstarszy GPU przegrało...



Jeśli chcecie wykonać własne testy w MacWhisper, to najpierw pobierzcie pliki audio dla Nadgryzieni nr 300 (bepośredni link 8,9 MB) i dla nr 477 (bepośredni link 83,7 MB), potem wykonajcie test, a potem podeślijcie mi takie informacje, jakie znajdziecie w tabelce, w tym pełna specyfikacja komputera. Niepełne zgłoszenia będą odrzucane. Podpowiem jeszcze, że MacWhisper wyświetla ile zajęło mu wykonanie transkrypcji po jej zakończeniu.



iMag Final Cut Pro Benchmark



Specyfikacja

Final Cut Pro jest oczywiście zoptymalizowany pod macOS-a i Maki oraz nie wątpię, że Apple dołożyło wszelkich starań, aby wzorowo pracował na wszystkich odmianach Apple M1 i M2. To oczywiście działa przede wszystkim na korzyść klientów, którzy już dzisiaj zdecydują się przesiąść na nową generację Maków, opartych o ARM.

Pliki

- Klip 4K 60 fps HDR w 10-bitowym HEVC (H.265) z iPhone'a 12 Pro Max – 31,15 s.
- Klip 4K 30 fps SDR w 8-bitowym AVC z DSLR Canona – 2:14,15 s.
- Klip 1080p 30 fps HDR w 10-bitowym HEVC (H.265) z iPhone'a 12 Pro Max – 3:42,21 s.

Szczegóły projektów

- Biblioteka w FCP ustawiona na Wide Gamut HDR.
- Projekty ustawione na 4K (3840×2160) 30 fps HDR przy Rec. 2020 PQ.
- iMag FCP Benchmark Easy – na timeline wrzucone 3 powyższe pliki, w kolejności jak powyżej, w każdym klipie podbita saturacja o 5% (co powinno wymusić prerenderowanie każdej klatki) oraz HDR Tools (PQ Tone Output Map i 1000 nit pod YouTube'a).
- iMag FCP Benchmark Hardcore – j.w. ale dodatkowo filtr Sharpen (+2,5) na każdym klipie, przejścia między klipami (cross dissolve) oraz animujący się przez 60 sekund 3D Title nad środkowym klipem, z przezroczystym tłem.
- Timeline trwa 6:27,16 s w Easy i 6:28,16 s w Hardcore (dodatkowe przejścia).
- iMag FCP Benchmark Easy – export do Master File → ProRes 422.
- iMag FCP Benchmark Easy – export do Master File → H.264.
- iMag FCP Benchmark Hardcore – export do Master File → ProRes 4444.
- Komputery były podłączone do prądu, poza MacBookiem Pro 16" (late 2021) i późniejszymi opartymi o Apple Silicon, które pracowały na baterii.



Wyniki

	iMag FCP Benchmark Easy ProRes 422	iMag FCP Benchmark Easy H.264	iMag FCP Benchmark Hardcore ProRes 4444
NLEstation 2020 Core i9-9900K 3,6 GHz (8-core, 16-thread) AMD 5700 XT 64 GB RAM	131,30 s	295,25 s	192,49 s
MacBook Pro 13" (late 2016) Core i5 2,0 GHz (2-core, 4-thread) HD Graphics 530 16 GB 256 GB	682,99 s	553,43 s	1440,18 s
MacBook Air 13" (late 2020) Apple M1 8-core CPU (6+2) 7-core GPU 8 GB RAM 256 GB	141,61 s	401,23 s	287,44 s
MacBook Pro 16,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 16 GB RAM 512 GB	50,21 s	235,91 s	119,40 s
MacBook Pro 14,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 32 GB RAM 4 TB	49,03 s	235,40 s	119,34 s
MacBook Air 13,6" (mid 2022) Apple M2 8-core CPU (4+4) 8-core GPU 8 GB RAM 256 GB	192,29 s	260,21 s	DNF
MacBook Pro 14,2" (early 2023) Apple M2 Pro 10-core CPU (6+4) 16-core GPU 16 GB RAM 512 GB	56,55 s	244,61 s	112,40 s
Mac Mini (early 2023) Apple M2 Pro 12-core CPU (8+4) 19-core GPU 16 GB RAM 1 TB	47,88 s	241,43 s	107,51 s
MacBook Air 15,3" (mid 2023) Apple M2 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 1 TB	90,77 s	259,90 s	133,41 s
Mac Studio (mid 2023) Apple M2 Max 12-core CPU (4+4) 38-core GPU 64 GB RAM 2 TB	24,30 s	129,30 s	48,38 s
iMac (late 2023) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	61,97 s	250,84 s	131,50 s
MacBook Pro 16,2" Apple M3 Max 16-core CPU (12+4) 40-core GPU (late 2023)	27,93 s	126,97 s	52,42 s
MacBook Air 15,3" (early 2024) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	88,68 s	257,68 s	139,95 s

Uwaga! Wszystkie benchmarki MacBooków z Apple Silicon robione były na baterii, z odłączonym zasilaniem!



Analiza

Muszę powiedzieć, że spodziewałem się mniejszej różnicy względem iMaca z M3, który tutaj ma sporą przewagę, ale jest też aktywnie chłodzony. Różnice względem M2 są natomiast znikome w przypadku tego testu – M3 był nawet ciut wolniejszy w jednym z nich. Nie zakładajmy zatem, że nowszy SoC, który jest „średnio 20% szybszy we wszystkich” będzie 20% szybszy we wszystkim – jak widać, może być taki sam lub wolniejszy w niektórych zadaniach, a jednocześnie zachować 20% średnią dzięki przewadze np. w ray-tracingu.

Lightroom Classic Benchmark

1. Zdjęć miałem 271, były w formacie RAW i zajmowały ok. 24 GB na karcie SanDisk Extreme Pro 256 GB, która według producenta zapewnia odczyt i zapis w rejonie 95 MBps.
2. **LR Import v1:** Test importu polegał na kopiowaniu zdjęć z karty SD na SSD (lub HDD) i jednoczesnym tworzeniu podglądu RAW-ów w 1:1.
LR Import v2: Test importu polegał na dodaniu zdjęć z SSD komputera do biblioteki Lightroom z opcją Kopiuj z jednoczesnym tworzeniem podglądu RAW-ów w 1:1.
3. Test eksportu polegał na eksporcie zdjęć z SSD na SSD, w sRGB, z wyostrzeniem „standard”, w oryginalnej rozdzielczości.



LR Import	Czas
NLEstation 2014 (import na HDD)	16:22
NLEstation 2014 (import na SSD)	14:56
NLEstation 2020 (import na SSD)	6:12
MacBook Pro 16,2" (import na SSD) Core i7 2,6 / 4,5 GHz (late 2019)	10:28
MacBook Air (import na SSD) Core i3 1,1 / 3,2 GHz (early 2020)	31:03
MacBook Pro 14,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 32 GB RAM 4 TB	5:06,31 (bez pełnej akceleracji) 5:04,13 (z pełną akceleracją)
MacBook Air 13,6" (mid 2022) Apple M2 8-core CPU (4+4) 8-core GPU 8 GB RAM 256 GB	9:26
MacBook Pro 14,2" (early 2023) Apple M2 Pro 10-core CPU (6+4) 16-core GPU 16 GB RAM 512 GB	5:01,25
Mac Mini (early 2023) Apple M2 Pro 12-core CPU (8+4) 19-core GPU 16 GB RAM 1 TB	4:23,19
MacBook Air 15,3" (mid 2023) Apple M2 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 1 TB	8:02,96
Mac Studio (mid 2023) Apple M2 Max 12-core CPU (4+4) 38-core GPU 64 GB RAM 2 TB	4:35,38

Poniżej wyniki LR Import v2 ↓ nie porównywać z v1 powyżej!

LR Import v2	Czas
iMac (late 2023) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	6:28,11
MacBook Pro 16,2" (late 2023) Apple M3 Max 16-core CPU (12+4) 40-core GPU 128 GB RAM 8 TB	2:18,56
MacBook Air 15,3" (early 2024) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	6:53,86

LR Export	Czas
NLEstation 2014 (import z HDD na SSD) Core i7-4770K	26:48
NLEstation 2020 (import z SSD na SSD) Core i9-9900K	8:45
MacBook Pro 16,2" (late 2019) (import z SSD na SSD) Core i7 2,6 / 4,5 GHz	21:13
MacBook Air (early 2020) (import z karty SD na SSD) Core i3 1,1 / 3,2 GHz	28:29
MacBook Pro 14,2" (late 2021) Apple M1 Pro 10-core CPU (8+2) 16-core GPU 32 GB RAM 4 TB	2:11,70 (z pełną akceleracją) 4:23,78 (bez pełnej akceleracji)
MacBook Air 13,6" (mid 2022) Apple M2 8-core CPU (4+4) 8-core GPU 8 GB RAM 256 GB	12:05
MacBook Pro 14,2" (early 2023) Apple M2 Pro 10-core CPU (6+4) 16-core GPU 16 GB RAM 512 GB	2:54,33
Mac Mini (early 2023) Apple M2 Pro 12-core CPU (8+4) 19-core GPU 16 GB RAM 1 TB	2:57,17
MacBook Air 15,3" (mid 2023) Apple M2 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 1 TB	4:11,43
Mac Studio (mid 2023) Apple M2 Max 12-core CPU (4+4) 38-core GPU 64 GB RAM 2 TB	59,67
iMac (late 2023) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	3:45,69
MacBook Pro 16,2" (late 2023) Apple M3 Max 16-core CPU (12+4) 40-core GPU 128 GB RAM 8 TB	2:15,74
MacBook Air 15,3" (early 2024) Apple M3 8-core CPU (4+4) 10-core GPU 16 GB RAM 512 GB	5:19,08



Analiza

W przypadku importu zdjęć w LR Import v2 nie mamy wielu punktów odniesień, ale jest iMac M3 i ten wygrał ten benchmark o 25 sekund. Akurat przy imporcie nie spodziewałem się aż takiego skoku w wydajności, ale zakładam, że to dzięki aktywnemu chłodzeniu SoC, czego MacBook Air nie ma. Zaletą tego jest oczywiście absolutnie cicha konstrukcja, co dla wielu może być zdecydowanie ważniejsze, zależnie od wykonywanych zadań.

W przypadku LR Export mamy natomiast większą niespodziankę, bo czas eksportu wyniósł 5:19,08, co jest wynikiem gorszym aż o 90 s od iMaca M3 i 68 sekund gorszym od MacBooka Air 15" z M2. Niestety nie wiem z czego wynika ten fakt – może to być kwestia zmian samego software'u i jego gorszej wydajności dzisiaj. Nie byłoby to akurat zaskakujące w przypadku Adobe, ale może to być coś zupełnie innego – może po prostu szybszy SSD o pojemności 1 TB akurat tutaj zrobił różnicę

Podsumowanie

Nowe niższe ceny z pewnością zachęcają do kupna zarówno starszego modelu M2 oraz nowego M3 – różnica między nimi to 1000 PLN przy takich samych konfiguracjach. Dodatkowo mamy do wyboru też nieznacznie droższego MacBooka Pro 14" z M3.

To doprawdy świetny okres dla MacBooków – jeden z lepszych w ich historii. Chciałbym tylko wiedzieć dlaczego M3-ka czasami przygrywa w benchmarkach z M2-ką...



8 TB

WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

Samsung T5 Evo

– pierwsze wrażenia i testy prędkości

Samsung ma w ofercie wiele przenośnych dysków i każdy się czymś wyróżnia. Nowy T5 Evo to model dostępny w pojemnościach aż do 8 TB, w kwocie zaskakująco rozsądnej jak na tak duży przenośny magazyn danych, wykonany w tak wysokiej jakości...





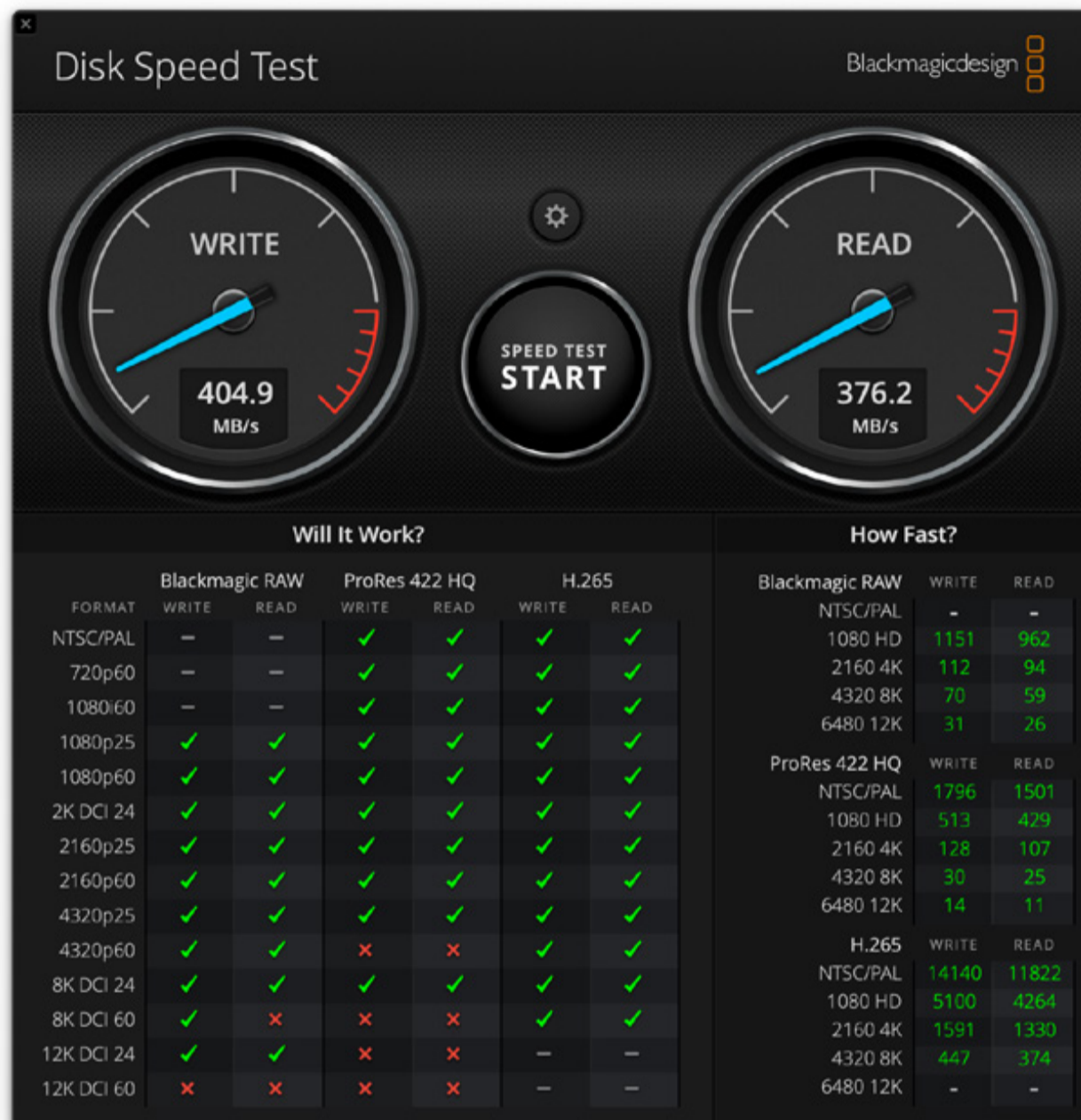
Testowany model to wersja T5 Evo 8 TB. Największa i najdroższa. W ofercie dodatkowo są modele 2 TB oraz 4 TB. Ceny MSRP zaczynają się od 809 PLN za 2 TB, model 4 TB kosztuje 1499 PLN, a najdroższy 8 TB aż lub tylko 2768 PLN, zależnie od punktu widzenia.

W pudełku znajdziemy, poza papierkami, dwa istotne elementy układanki – porządnej jakości kabel USB-C, wspierający wymagany przesył danych 5 Gbps, oraz sam przenośny dysk.

Metalową konstrukcją T5 Evo zdradza tylko rączka czy też uchwyt, który umożliwia doczepienie dysku do plecaka, torby czy w inne miejsce, żeby nam przypadkiem nie wypadł z bagażu. Reszta konstrukcji chroniona jest miękką czarną i bardzo przyjemną w dotyku gumą, która dodatkowo amortyzuje urządzenie podczas upadków. Firma twierdzi, że T5 Evo wytrzyma upadek z 2 metrów... tego nie testowałem.



Sam SSD wspiera prędkości transferu danych do 460 MB/s. Testowałem go podłączonego do najnowszego 15-calowego MacBooka Air, którego benchmarki ostatnio opublikowałem, w Blackmagic Disk Speed Test oraz AmorphousDiskMark.



Ten pierwszy na prędkościomierzach wskazał wartość 404,9 MB/s przy zapisie oraz 376,2 MB/s przy odczycie.

Wyniki w tym drugim były podobne, ale miały ciut wyższe wartości w pierwszym teście i wyniosły odpowiednio 443,15 MB/s oraz 412,17 MB/s przy zapisie i odczycie.



Cechą T5 Evo jest niewątpliwie „czepliwość” tej miękkie gumy na wszelkie pyłki, które lepią się do niej jak rzep do psiego ogona. Dla mnie ważniejsze



jest to, że ta guma chroni, ale urządzenie rzadko kiedy będzie wyglądało na perfekcyjnie czyste.

Najciekawsze zastosowanie dla tak dużej pojemności jest dla mnie osobiście możliwość robienia pełnych backupów w Time Machine lub klonów dysku będąc w podróży. Może też służyć jako dodatkowe miejsce na materiały zdjęciowe czy wideo, żebyśmy mieli więcej niż jedną kopię. Tutaj polecam wtedy oryginały zostawić na kartach pamięci w aparacie, którego transportujemy osobno od komputera, gdzie mamy kopię zdjęć, a trzecia wtedy może być właśnie na T5 Evo, którego przewozi inna osoba. Pewnie teraz pukacie się w głowę, co ten idiota wymyśla, ale zapytajcie się Dominika o to, jak spod jego nosa ukradli mu torbę w Barcelonie z MacBookiem, iPadem i całą jego elektroniką w środku, przez co stracił wszystkie swoje materiały z wyjazdu.

T5 Evo w każdym razie jest bardzo ciekawym dodatkiem do portfolio dysków przenośny Samsunga i spodziewam się, że wielu znajdzie ciekawe zastosowania dla tak dużej pojemności.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Cudy AX3000 M3000 – koniec problemów z zasięgiem

Cudy to bardzo młoda marka na naszym rynku, szczególnie gdy chodzi o sprzęt sieciowy. Jednak zestaw Cudy AX3000 M3000 okazał się bardzo dojrzałym produktem. O czym mowa? O trójelementowym zestawie, tworzącym w domu system Mesh Wi-Fi 6, szybki system o przepustowości łącznej aż 3 Gb/s.





Zacznę od tego, że opisywane tu rozwiązanie nie jest przeznaczone dla kogoś, kto korzysta z domowej sieci Wi-Fi w niewielkim lokum (np. w kawalerce). No, chyba że twoim celem jest udostępnienie własnego łącza bezprzewodowego połowie osiedla. OK, może przesadzam, ale tylko nieznacznie.

Po co system mesh?

Systemy mesh to rozwiązania proponowane tym konsumentom, którzy borykają się z problemem braku zasięgu w domach. To realny problem, bo większość routerów Wi-Fi, o ile zwykle nie ma problemów z bezprzewodową dystrybucją łącza internetowego, to już w przypadku mieszkań wielopoziomowych czy domów jednorodzinnych ich anteny nie są wystarczające. Teoretycznie można korzystać z range extenderów, czyli urządzeń, które pozwalają wydłużyć zasięg sieci Wi-Fi, ale klasyczne urządzenia tego typu mają wadę, wzmacniają nie tylko sygnał, ale i szumy. Mesh to znacznie nowocześniejsze, stabilniejsze, wygodniejsze w użyciu i po prostu bardziej efektywne rozwiązanie.

Router może być ładny

Z czym dokładnie miałem do czynienia? Otrzymałem zapakowany w zgrabne, kolorowe pudełko zestaw trzech urządzeń sieciowych Mesh



Cudy M3000. To trzy identyczne routery mesh o ciekawej stylistyce. Cylindryczne obudowy w czerwono-czarnym umaszczeniu prezentują się nowocześnie i stylowo. Każde z urządzeń przypomina elegancki głośnik, w każdym razie sprzęt nie będzie szpecił Waszych pomieszczeń, a prosta, geometryczna forma walca (jego wysokość to 15 cm, średnica 11 cm) pasuje do wnętrza o dowolnej aranżacji.

Wróćmy jednak do sprzętu. Każde z urządzeń może pracować niezależnie, ale oczywiście efekt maksymalizacji zasięgu w wielokondygnacyjnym domu (producent deklaruje pokrycie aż 600 metrów kwadratowych przy wykorzystaniu całego testowanego zestawu) uzyskamy, korzystając ze wszystkich trzech urządzeń. Z perspektywy użytkownika sieć Wi-Fi mesh wykorzystująca wszystkie trzy moduły z zestawu wygląda jak jedna sieć bezprzewodowa.



Szczypta techniki

Rozwiązanie to wykorzystuje dwupasmową łączność AX3000 w standardzie Wi-Fi 6. Oznacza to teoretyczną maksymalną przepustowość rzędu aż 3 Gb/s, z czego 2400 Mb/s przypada na pasmo 5 GHz, a pozostała część – 600 Mb/s – dotyczy pasma 2,4 GHz. Ponadto, zgodnie z deklaracjami producenta, sprzęt w pełni wspiera takie technologiczne rozwiązania jak OFDMA, MU-MIMO, technikę beamforming czy modulację 1024QAM. Co to takiego? OK, w skrócie. OFDMA (Orthogonal Frequency Division Multiple Access) to technologia dostępu wielokrotnego

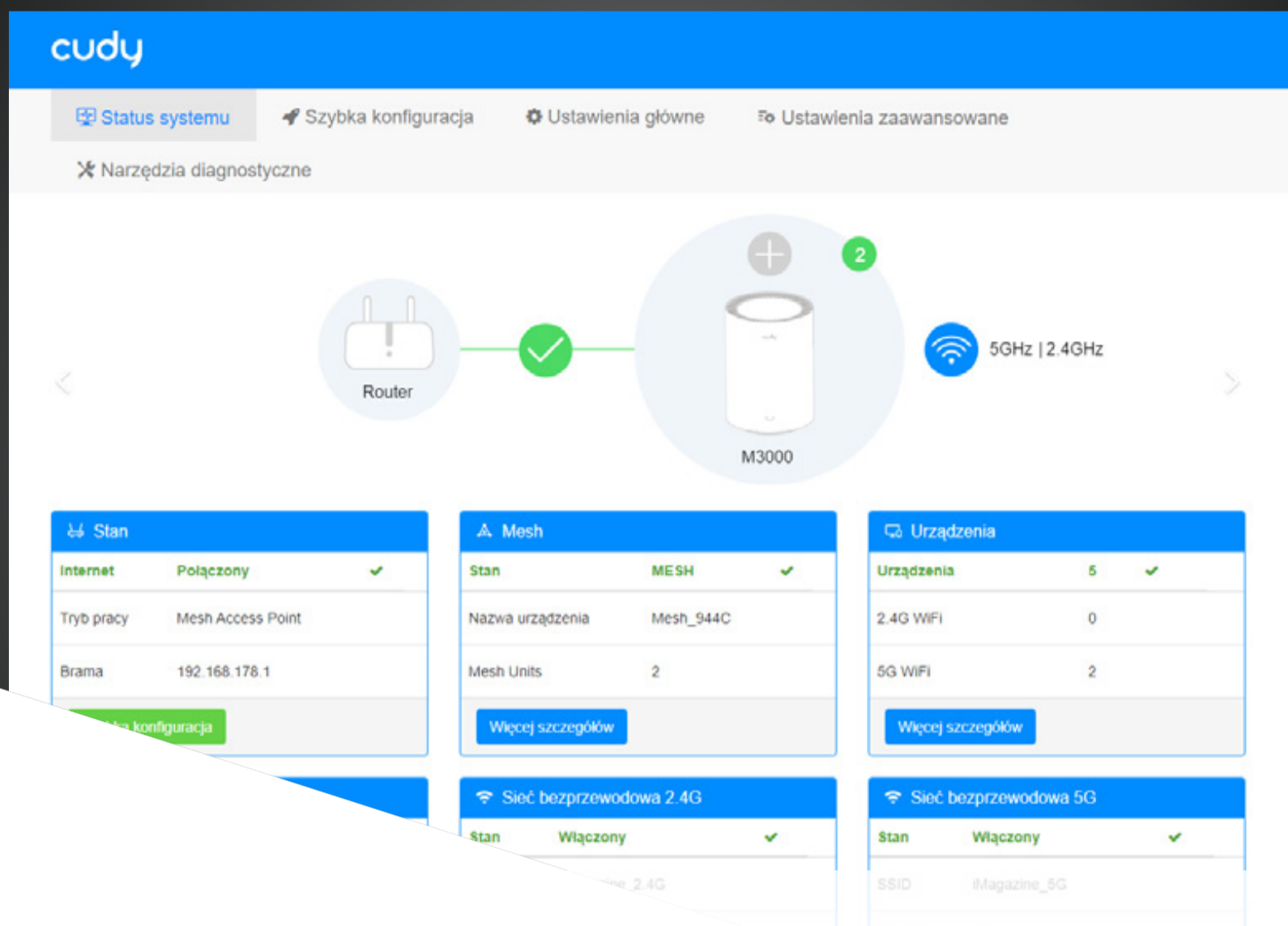
w sieciach bezprzewodowych, która wykorzystuje podział częstotliwości nośnej na wiele mniejszych podkanałów; w praktyce oznacza to, że możliwa jest jednoczesna transmisja danych przez wielu/wiele użytkowników/urządzeń w tym samym paśmie, co zwiększa całkowitą przepustowość sieci. W istocie deklarowana pojemność testowanego systemu to aż 256 różnych urządzeń jednocześnie łączących się z domową siecią Wi-Fi. Nie są to zresztą ograniczenie sprzętowe, lecz wynikają po prostu z limitu adresów IPv4 w danej podsieci. Dodatkową korzyścią obsługi OFDMA jest zmniejszenie opóźnień, co ma szczególne znaczenie w takich aplikacjach jak gry online czy streaming multimedialny przez sieć bezprzewodową.

Kolejny istotny szczegół to obsługa MU-MIMO (Multi-User Multiple Input Multiple Output). To

technologia dostępu wielokrotnego w sieciach bezprzewodowych, która pozwala na jednoczesną transmisję danych do wielu użytkowników/urządzeń. W przeciwieństwie do tradycyjnych technologii, w których punkt dostępu wysyła dane do jednego użytkownika naraz, MU-MIMO może wykorzystywać wiele anten do wysyłania danych do wielu użytkowników jednocześnie. Tak, to oznacza, że testowany sprzęt ma wiele anten, dokładniej, każdy z trzech routerów mesh z testowanego zestawu dysponuje aż pięcioma antenami wewnętrznymi, zgrabnie ukrytymi w stylowej obudowie – tak, wiem, powtarzam się, ale ten sprzęt jest po prostu ładny.

W przeciwieństwie do tradycyjnych technologii, w których punkt dostępu wysyła dane do jednego użytkownika na raz, MU-MIMO może wykorzystywać wiele anten do wysyłania danych do wielu użytkowników jednocześnie.





Beamforming to kolejna użyteczna technika, która pozwala poprawić jakość bezprzewodowego sygnału i jego zasięg przy mniejszym poziomie zakłóceń poprzez ukierunkowaną transmisję do konkretnych urządzeń. Technika ta również wymaga wielu anten, ale – co już wspomniałem – każdy z trzech modułów Cudy M3000 ten warunek spełnia. Wreszcie 1024QAM to obsługiwany przez testowany zestaw rodzaj modulacji pozwalający na zwiększenie gęstości transmisji. Mówiąc wprost, pojedynczy impuls/cykl sygnału może zawierać więcej informacji. Warto jeszcze wspomnieć, że sprzęt marki Cudy potrafi transmitować dane via Wi-Fi, wykorzystując kanały o szerokości aż 160 MHz. Wi-Fi 6 w najlepszym wydaniu. W każdym razie, w uproszczeniu, wymienione technologie i rozwiązania zwiększają stabilność, przepustowość i wydajność połączenia bezprzewodowego.

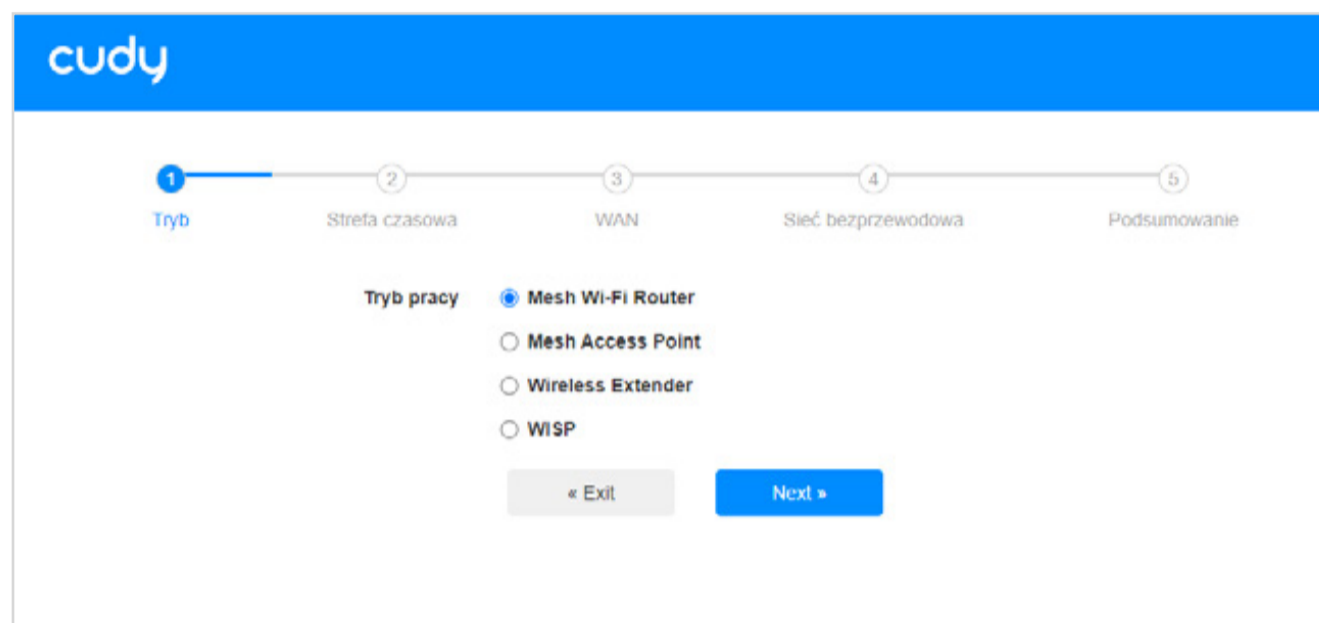
Instalacja? Bardzo prosta

W swoim życiu miałem do czynienia z bardzo dużą liczbą urządzeń sieciowych, jednak na testowany sprzęt patrzyłem nie do końca z perspektywy kogoś zaznajomionego z nowoczesnymi technologiami. Celowo. Pamiętajmy, że dziś technologiczny egalitaryzm nakłada na producentów różnych urządzeń konieczność zapewnienia maksymalnie uproszczonej obsługi



danego urządzenia. Jak w tej kwestii wypada zestaw nowej marki Cudy? Nie uprzedzając faktów: jest naprawdę dobrze. Czas rozwinąć tę kwestię.

Zaczynamy od instalacji jednego z trzech routerów z zestawu. Bez względu na to, czy internet do Twojego domu jest dostarczany przez modem kablowy, światłowodowy, czy jakkolwiek inny, jest on zapewne wyposażony w gniazdo LAN pozwalające podłączyć router. W zestawie z każdym z trzech modułów Mesh Cudy M3000 mamy kabel



Ethernet, a same urządzenia mają dwa porty RJ-45, jeden o przepustowości 1 Gb/s i drugi, aż 2,5 Gb/s. To właśnie z tym drugim, szybszym, łączymy nasz modem internetowy. Wspomnę tylko, że oprócz gniazd, każdy z routerów mesh w zestawie Cudy ma również gniazdko zasilania (zasilacze są w zestawie), przycisk parowania oraz szpilkowy przycisk resetowania ustawień urządzenia. To wszystko. Naprawdę trudno o pomyłkę.

Po podłączeniu źródła internetu do routera Cudy z poziomu komputera łączymy się z tworzoną przez router Cudy siecią Wi-Fi. Jej dane (SSID i hasło fabryczne) umieszczone są na spodzie każdego z urządzeń. Następnie komputerem łączymy się z tworzoną przez router Cudy siecią Wi-Fi i uruchamiamy panel konfiguracyjny (cudy.net) z poziomu przeglądarki.

Gdy to zrobimy, mamy możliwość wyboru, w jakim trybie podłączone urządzenie ma działać. Domyślnie jest to tryb Mesh Wi-Fi router. Jednak warto odnotować, że sprzęt może również pracować w roli punktu dostępowego (Mesh Access Point), klasycznego extendera Wi-Fi (Wireless



Extender), a także jako WISP (Wireless Internet Service Provider). Ta ostatnia opcja to możliwość podłączenia źródła internetowego bezprzewodowo. Jest to swego rodzaju ratunek w sytuacji, gdy modem/punkt dostępowy dostarczony nam przez usługodawcę/dostawcę łącza jest pozbawiony portów LAN/RJ-45, ale generuje sieć bezprzewodowo. Cała konfiguracja odbywa się w języku polskim, a użytkownik jest prowadzony krok po kroku przez wszystkie jej etapy. Łatwizna. Jedyne zarzut, jaki miałbym tutaj, to fakt, że spolszczenie nie jest do końca poprawne (drobne błędy, np. kalka z angielskiego „dioda świeci solidnie”, zamiast „dioda świeci światłem stałym”). Dotyczy to również drukowanej, skróconej instrukcji dołączanej do każdego z trzech urządzeń.

Co z kolejnymi routerami? Wyjmujemy z pudełka kolejne urządzenie, podłączamy do zasilania, czekamy, aż dioda na świeżo podpiętym sprzęcie przestanie migać, następnie w ciągu dwóch minut od uruchomienia kolejnego urządzenia należy po prostu nacisnąć przycisk parowania (to jedyny normalny przycisk na obudowie urządzeń) na już skonfigurowanym routerze (tym pierwszym, podpiętym do naszego źródła internetu) oraz na świeżo podłączonym do zasilania. To wszystko. Nie da się prościej. Chcąc

Relocate



Observe the LED status of the add-on mesh router to choose the best place.

Solid White(Blue): Connected, good signal.

Flash White(Blue): Connected, bad signal.

Others: Connecting or Disconnected.

Done



Relocate



i Place the add-on mesh router half between the main mesh router and the place you want to extend wifi signal.



dodać ostatnie, trzecie urządzenie z zestawu, robimy dokładnie to samo, co z drugim. Całą operację parowania możemy również przeprowadzić z poziomu wspomnianego panelu konfiguracyjnego, jest tak samo łatwo, tyle że na dodatek otrzymujemy wskazówki bezpośrednio na ekranie.

Ciekawą funkcją jest podpowiadanie optymalnego ustawienia kolejnych modułów Cudy M3000. Działa to w banalnie prosty sposób. Po sparowaniu kolejnego routera mesh podłączamy go w pomieszczeniu docelowym i po prostu obserwujemy diodę na urządzeniu. Jeżeli świeci się światłem stałym (białym lub niebieskim), oznacza to silny sygnał i optymalne miejsce na ustawienie kolejnego urządzenia. Migająca dioda na obudowie (również biała lub niebieska) sygnalizuje łączność, ale słaby sygnał. Jakikolwiek inne wskazania diody oznaczają brak połączenia lub jego nawiązywanie. Proste.

Funkcjonalność i bezpieczeństwo

Oprócz olbrzymiej zalety, jaką jest prostota obsługi testowanego sprzętu, niebagatelnym atutem jest też funkcjonalność. Zgodzicie się, że tworząc domową sieć Wi-Fi, powinniśmy mieć możliwość jak najbardziej elastycznej kontroli ustawień i bezpieczeństwa. Jak to wygląda w przypadku testowanego zestawu? Możemy np. ustawiać harmonogram działania sieci Wi-Fi, określać, który komputer ma mieć dostęp do



ustawień konfiguracyjnych routera, aktywować tryb WPS (łatwiejszego podłączania urządzeń do utworzonej sieci), określać, ile urządzeń może być podpiętych do danej sieci (niezależnie dla pasma 5 GHz i 2,4 GHz) i wiele więcej. W ten sposób np. możemy wdrożyć we własnej sieci spersonalizowaną kontrolę rodzicielską. Główny ekran podglądu ustawień sieci daje pełny obraz tego, co i w jaki sposób jest połączone z naszą siecią mesh. Mało tego, skonfigurowanymi elementami sieci możemy też zarządzać za pomocą aplikacji mobilnej Cudy, dostępnej zarówno w App Store, jak i na platformę Android.

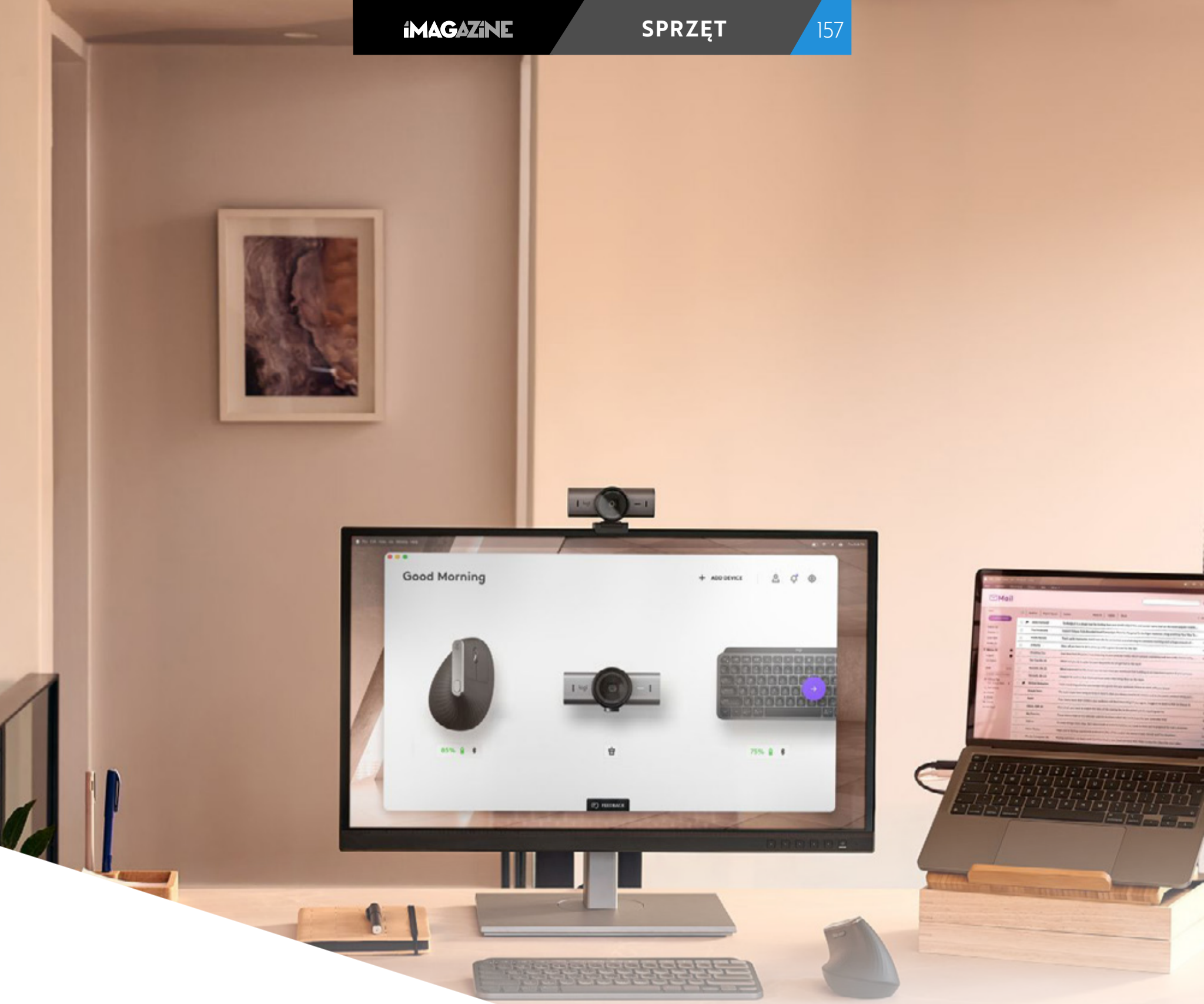
Podsumowując, zestaw Cudy AX3000 M3000 to prosty sposób na znaczące powiększenie nie tylko zasięgu domowej sieci Wi-Fi, ale też jej bezpieczeństwa, wydajności i stabilności. Pełna obsługa standardu Wi-Fi 6 oznacza m.in. silniejsze szyfrowanie (WPA3), odporność na ataki brute force i słownikowe, zabezpieczenie komunikatów zarządzania siecią (ochrona przed atakami typu man-in-the middle), łatwiejsze łączenie z siecią urządzeń IoT, bezpieczny i płynny roaming (przechodząc np. z laptopem z jednego miejsca w domu do innego, w zasięgu kolejnego modułu, nie dostrzeżesz spadku jakości sygnału i wydajności). Ile za to wszystko? Cały trójelementowy zestaw zapewniający pokrycie kilkusetmetrowej nieruchomości zasięgiem bezpiecznej sieci Wi-Fi to koszt ok. 999 zł. Bardzo dobry stosunek jakości do ceny.

Cudy M3000

Cena:

- M3000 (1-pack) - 349,00 PLN
- M3000 (2-pack) - 719,00 PLN
- M3000 (3-pack) - 999,00 PLN





AGNIESZKA SERAFINOWICZ
@LifestyleAga

Logitech MX Brio

– nowa kamera do zdalnej pracy i streamingu

Logitech przedstawia MX Brio – najnowszą kamerę dla użytkowników indywidualnych i firm, zaprojektowaną z myślą o rosnących wymaganiach pracy zdalnej i streamingu.





Firma Logitech zaprezentowała kamerę internetową Logitech MX Brio/MX Brio 705 for Business. Czyli warianty dla indywidualnych użytkowników i firm. MX Brio to najbardziej zaawansowana kamera internetowa w portfolio Logitech, która dołącza do ekosystemu serii MX razem z klawiaturami i myszami MX.

Logitech MX Brio to kamera rejestrująca wideo w rozdzielczości Ultra HD 4K. Zdaniem marki sprzęt ma pomóc kreatywnym profesjonalistom poprawić jakość ich obecności w świecie online i efektywnie dzielić się pomysłami oraz wynikami pracy z innymi.

„Wiemy, że użytkownicy MX potrzebują wszechstronnej kamery internetowej oferującej najlepszą jakość obrazu i dźwięku w różnych środowiskach” – mówi Anatolij Polyanker, General Manager MX Business w Logitech. „MX



Brio to nasza najwyższej jakości kamera internetowa, oferująca możliwości personalizacji i pokazania siebie oraz swojej pracy w najlepszy możliwy sposób”.

Nowa kamera zapewnia, zdaniem producenta, o 70% większe piksele niż poprzedni flagowy model firmy – Brio 4K – co ma przekładać się na wyjątkowo ostry obraz. Dzięki funkcjom sztucznej inteligencji kamera automatycznie koryguje światło, a także poprawia widok twarzy, zapewniając naturalny i wysokiej jakości obraz. Testy przeprowadzone przez laboratorium DXOMARK potwierdzają 2-krotnie lepszą widoczność twarzy i 2-krotnie wyraźniejsze detale w porównaniu z poprzednim modelem Brio 4K.

Logitech MX Brio oferuje rozbudowane opcje personalizacji, umożliwiając ręczne dostosowanie temperatury barwowej, intensywności światła, odcienia, pola widzenia i innych ustawień za pomocą oprogramowania Logi Options+, Logi Tune i G HUB. Dzięki funkcji Show Mode użytkownicy mogą w bardzo prosty sposób udostępniać i pokazywać materiały lub inne przedmioty na biurku poprzez przechylenie kamery w dół. MX Brio





posiada również wbudowaną osłonę migawki oraz dwa mikrofony, które redukują szumy tła, dzięki czemu użytkownik jest wyraźnie słyszany.

Z kolei dla zespołów IT, które wyposażają stanowiska pracy w firmach i biura domowe Logitech proponuje MX Brio 705 for Business. Ta kamera to model korporacyjny typu plug-and-play, kompatybilny z większością platform wideokonferencyjnych, z certyfikatami Microsoft Teams, Google Meet i Zoom, a także współpracujący z Chromebookiem. Dodatkowo, administratorzy IT mogą bezpiecznie aktualizować oprogramowanie sprzętowe i rozwiązywać problemy zespołów hybrydowych za pośrednictwem internetowej platformy zarządzania urządzeniami Logitech Sync. Dla tej wersji dostępna jest również funkcja automatycznego kadrowania RightSight, która wykrywa i skupia się na mówcy nawet gdy ten się porusza. Może być włączona przez program Logi Tune dla klientów korporacyjnych w kamerze MX Brio 705 for Business.

Logitech bardzo też podkreśla w swoim komunikacie, że nowość w postaci kamer MX Brio wpisuje się w cel Logitech, jakim jest uwzględnianie wpływu środowiskowego i społecznego we wszystkich decyzjach projektowych firmy. Kamera jest certyfikowana jako neutralna





pod względem emisji dwutlenku węgla, podobnie jak pozostałe produkty Logitech, a opakowania papierowe pochodzą z lasów certyfikowanych przez FSC i innych kontrolowanych źródeł. Plastikowe części w MX Brio zawierają certyfikowany plastik z recyklingu pochodzący z zużytych produktów elektronicznych – 82% w kolorze grafitowym i 75% w kolorze jasnoszarym.

Kamera Logitech MX Brio w kolorach grafitowym i jasnoszarym, będzie dostępna jeszcze w tym miesiącu na stronie www.logitech.com oraz u partnerów detalicznych. Rekomendowana cena detaliczna to 999 PLN. Kamerę MX Brio 705 for Business dostępną w kolorze grafitowym, można zamówić u autoryzowanych sprzedawców za 1 149 PLN.





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Oclean X Pro Digital – zęby już umyte?

Spośród wielu inteligentnych urządzeń w domu szczoteczka do zębów jest tym, z którego z całą pewnością będziemy korzystać codziennie. Co jednak może różnić taki sprzęt smart od standardowego? Oclean X Pro Digital bardzo dobrze to pokazuje.





Od dziesięciu lat korzystam ze szczoteczek sonicznych – jakość mycia, jaką zapewniają, jest nieporównywalna z żadną inną konstrukcją dostępną na rynku. Powrót do tradycyjnej szczoteczki daje wrażenie, jakby po dwóch minutach szczotkowania zęby nie były jeszcze czyste. Oclican słusznie zdecydowało się właśnie na technologię soniczną, a pomimo wielu funkcji dodatkowych design nie wyróżnia się niemal niczym. Dostałem szczoteczkę w wersji czarnej, choć plastik ma wtopione jaśniejsze drobiny, przez co smukła, matowa obudowa nie wydaje się nudna. Na środku mamy niewielki wyświetlacz, pod którym znajduje się fizyczny, dość głośny przycisk do sterowania. Poza tym na dole mamy jedynie złącze do ładowania za pomocą specjalnej ładowarki. Ta jest magnetyczna i może jednocześnie służyć za uchwyt ścienny (ma dwustronną taśmę, która na to pozwala). Co prawda wtedy podczas ładowania szczoteczka znajduje się prostopadle względem ściany, co wygląda dziwnie, niemniej na co dzień ustawiona jest już wzdłuż, bo magnesy znajdują się też mniej więcej w połowie jej długości. Oclican X Pro Digital jest bardzo lekka i zgrabna, plastik też wydaje się niezłej jakości. Mocowanie końcówki również robi wrażenie trwałego (wiadomo jednak, że trudno to ocenić przez tak krótki czas). Jedyne uwagi mam do ekranu:



nie jest zbyt duży, mógłby oferować też lepszą ostrość, ogólnie zaś jest bardzo przeciętnej jakości. Na niemałą pochwałę zasługuje natomiast jakość spasowania elementów i to, że obudowa ma IPX7, nie ma więc obaw, że podczas splotkiwania resztek pasty uszkodzimy szczoteczkę.

Wydawać by się mogło, że trudno o prostszą czynność niż mycie zębów – dwie minuty szorowania tak, by dotrzeć wszędzie, brzmi przecież banalnie. Oclean uświadamia jednak szybko, że niekoniecznie robimy to prawidłowo i wypadałoby poprawić swoje nawyki. Aplikacja Oclean Care+ na telefonie pokazuje sporo danych związanych z tym, jak myjemy zęby. Podstawowym narzędziem oceny jest koniczynka, każdy z jej trzech płatków wypełnia się wraz z myciem zębów w ciągu dnia. Pierwszy pokazuje łączny czas szczotkowania danego dnia, kolejny prezentuje częstotliwość mycia, trzeci natomiast to wynik. O ile dwa pierwsze nie wymagają wyjaśnienia, to trzeci wygląda już odrobinę zagadkowo. Oznacza bowiem punkty otrzymane za jakość mycia. Zdobywamy je za dokładność, konkretniej zaś, za dotarcie do każdego zęba i unikanie ruchów poziomych (czyli takich, jakie wykonujemy przy myciu tradycyjną szczoteczką). Te drugie nie były dla mnie problemem, natomiast regularnie wychodziło na to, że nie myję





dokładnie prawego górnego łuku. Za pierwszym razem myślałem, że faktycznie coś pominąłem, jednak problem się powtarzał. Okazało się, że szczoteczce brakuje nieco inteligencji, bo odczytuje strefy na podstawie własnego ruchu – jeśli odruchowo, tak jak ja, kręcimy głową, zęby są według niej nieumyte. Potwierdziłem to, skupiając się na tym, by w ogóle nie ruszać głową – wynik był perfekcyjny. Po myciu mamy zawsze podsumowanie tego, czy wszystko dokładnie umyliśmy, a jeśli nie – możemy włączyć krótszy program, by domyc zęby. Problem w tym, że mamy na to kilka sekund, a to zbyt mało, by odczytać z wyświetlacza, co pominęliśmy. Po myciu wyświetla się też poziom, jaki zdobywamy (znamienne, że pierwszy z nich to... brązowy).

W aplikacji mamy jeszcze wizualizację jamy ustnej po myciu, właśnie z zaznaczeniem pominiętych stref, jakości mycia oraz czasu trwania. Jest też analiza trendów i integracja z Apple Health. Apka pozwala również wgrać do szczoteczki jeden z czternastu programów bądź też stworzyć własny. Możemy poprosić, by na podstawie stanu naszego uzębienia dobrano też odpowiedni program. Edytor własnych programów jest bardzo prosty, skorzystałem z niego, by przetestować maksymalną moc urządzenia. Ta okazała się zadowalająca i wyższa niż w domyślnym programie





porannym czy wieczornym. Właśnie – Oclean X Pro Digital przechowuje naraz trzy programy, dwa standardowe i jeden do wyboru. Przetłaczamy się między nimi, przesuwając palec wzdłuż boku ekranu, wybieramy przyciskiem. Nawigacja wydaje się banalna, ale brakuje animacji, które ułatwiłyby orientację, w którą stronę następuje przewijanie. Wykrywanie gestów działa trochę opornie, wolalbym chyba, by przetłaczanie między trybami następowało po przytrzymaniu przycisku. Szczoteczka potrafi sama przypomnieć o konieczności wymiany końcówki. W komplecie dostajemy dwie, jedną do delikatnego mycia i drugą do standardowego (w ulepszonej wersji Diamond Clean). Ceny końcówek są bardzo przyzwoite, 6 szt. standardowych dostaniemy za 120 PLN w oficjalnym sklepie Oclean. Za wersję Diamond Clean zapłacimy o 30 PLN więcej. Eksploatacja nie jest więc droga, co w tak atrakcyjnie wycenionym sprzęcie wcale nie jest oczywiste. Na co dzień Oclean X Pro Digital sprawdza się znakomicie, początkowo zdziwiła mnie niska moc mycia, jednak była to wyłącznie adaptacja dla osób, które korzystały wcześniej z innych rodzajów szczoteczek. Szkoda, że nie da się jej pominąć, zakładam, że nie jestem jedyną osobą, która przesiadła się na Oclean z innego modelu sonicznego. Bateria też jest niezła, choć nie tak, jak deklaruje producent – wystarczyła mi na trzy tygodnie. Biorąc jednak pod uwagę to, że szczoteczkę ładujemy bardzo wygodnie, nie jest to duży problem.



Szczoteczka w wersji smart ma sporo sensu, zwłaszcza jeśli „przy okazji” dobrze myje zęby. W Oclean X Pro Digital najbardziej spodobały mi się funkcje przypominania o ładowaniu baterii i wymianie końcówki, możliwość stworzenia własnego programu mycia też jest świetna. Nie do końca sprawdziła się natomiast ocena skuteczności mycia zębów, choć rozumiem, że sprzęt w tej cenie nie może mieć zbyt skomplikowanych czujników. Niemniej, za 300 PLN dostajemy świetną szczoteczkę z masą funkcji, a dodatkowo jej eksploatacja nie będzie droga.

Oclean X Pro Digital



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 4,5/6
- Oprogramowanie: 4,5/6
- Wydajność: 4,5/6

+ Plusy:

- skuteczne mycie
- wiele trybów mycia i możliwość tworzenia własnych
- świetna cena

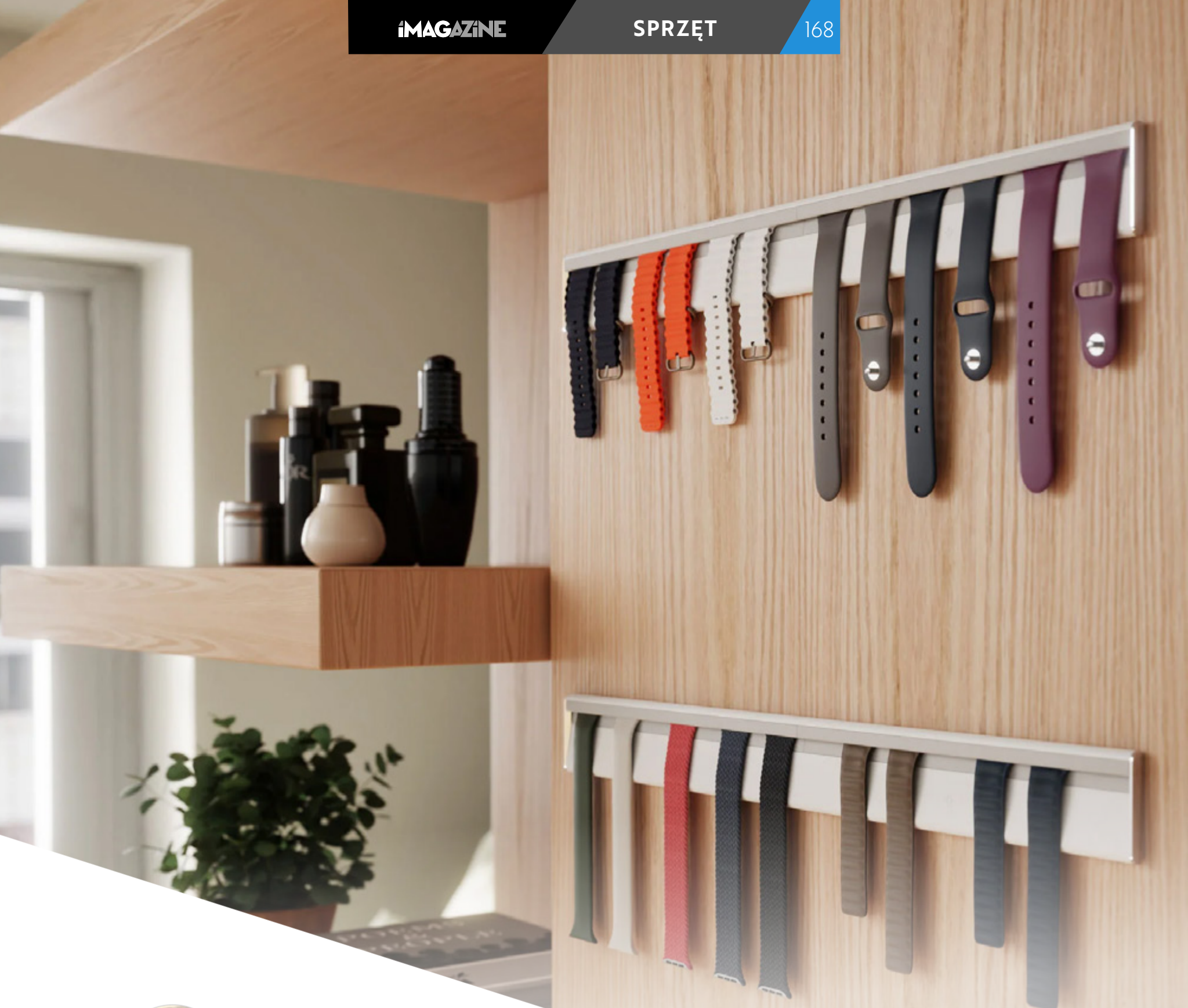
- Minusy:

- błędne wykrywanie pominiętych obszarów
- niewygodny, przeciętnej jakości ekran

Cena: 299 PLN

Dostępne w: Oclean





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Twelve South TimePorter – wieszak na paski

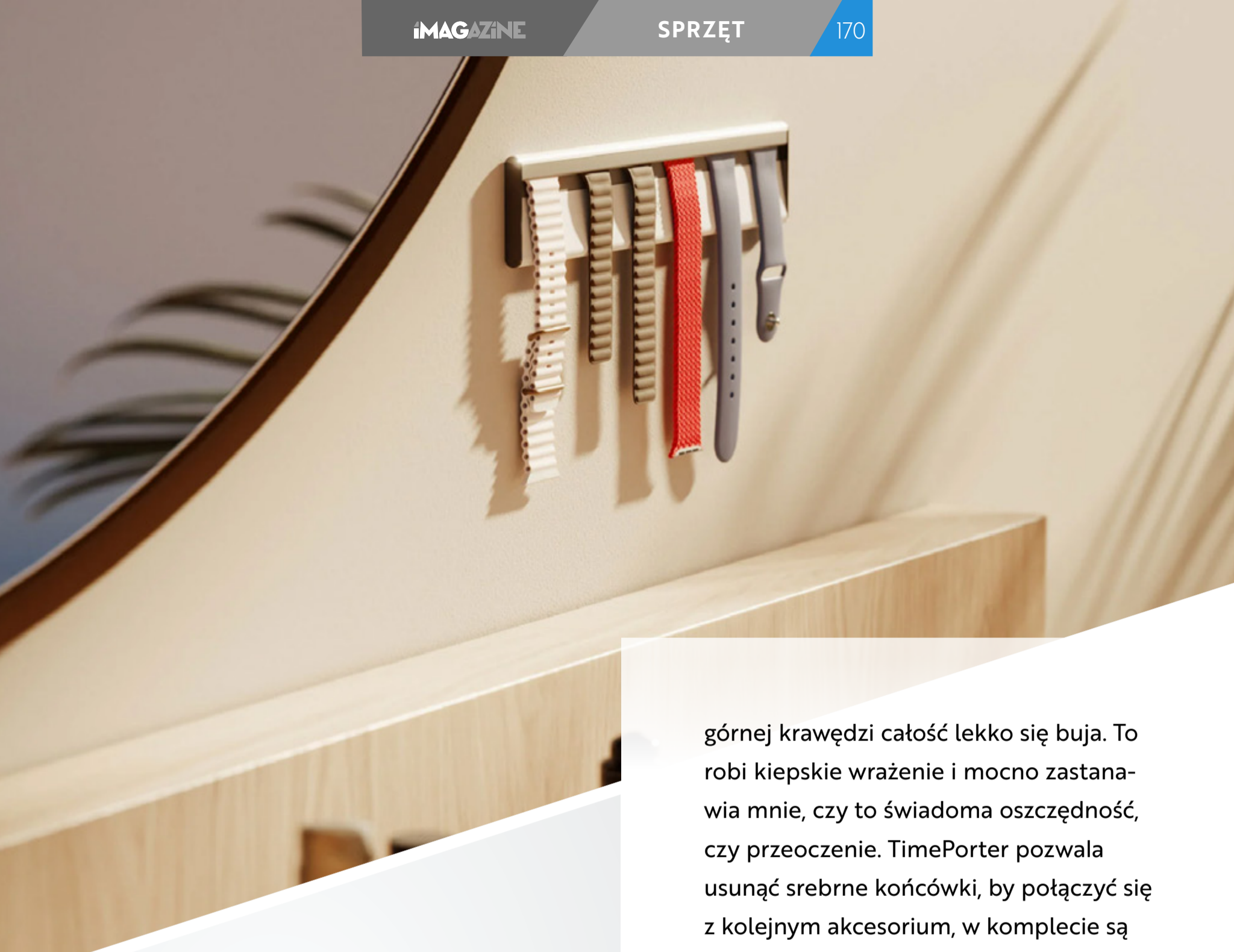
Używam Apple Watcha odkąd tylko się pojawił i przez ten czas zbudowałem niewielką, ale wymagającą już nieco miejsca kolekcję pasków. Do ich uporządkowania skorzystałem ostatnio z TimePorter – nowego akcesorium od Twelve South.



Nazwa nowego wieszaka (bo chyba tak najprościej określić TimePorter) wprawia w pewne zakłopotanie. Dokładnie pod tą nazwą Twelve South wypuściło już lata temu pudełko na paski, które jednocześnie pełni funkcję ładowarki. Korzystam z niego do dziś, dlatego też nowy TimePorter zaskoczył mnie swoją formą. Nadal służy do przechowywania pasków, ale jego mobilność jest żadna. To bowiem nic innego, jak podłużne, plastikowe mocowanie, do którego można wetknąć końcówki pasków dedykowanych zegarkowi Apple. Plastik jest błyszczący, a końcówki wykończono na srebrno. Wygląda to nieźle, aczkolwiek wolałbym zdecydowanie jednolitą kolorystykę, srebro na żywo wypada przeciętnie. Nie ma też innej wersji kolorystycznej, a szkoda – TimePorter dostępny jest wyłącznie w białym wykończeniu.

Akcesorium zaprojektowano z myślą o montażu na płaskiej powierzchni: ścianie, meblach czy drzwiach. Sam umieściłem je w garderobie, na matowej płycie meblowej – trzyma się jej dobrze, aczkolwiek dwa kawałki taśmy dwustronnej, które są przytwierdzone z tyłu wieszaka, są zbyt krótkie, nie pokrywają całej wysokości, przez co po dociśnięciu





górną krawędź całość lekko się buja. To robi kiepskie wrażenie i mocno zastanawia mnie, czy to świadoma oszczędność, czy przeoczenie. TimePorter pozwala usunąć srebrne końcówki, by połączyć się z kolejnym akcesorium, w komplecie są też odpowiednie łączniki. W ten sposób można zbudować naprawdę długi wieszak – pojedynczy moduł mieści sześć pasków, w przypadku większej kolekcji możliwość wydłużenia go się przyda.



Jak właściwie trzymają się paski? To bardzo proste: w górnej części mamy wgłębienie, które wykończono gumą. Wciśkamy do niego mocowanie paska i tyle, trzyma się wzorowo. Równie łatwo go wyciągnąć. Warto spinać zapięcia dwuelementowych pasków, by oszczędzić miejsce na kolejny – producent proponuje bardziej eleganckie, ale jednak zajmujące przestrzeń rozwiązanie, czyli wieszanie



każdego elementu osobno, to jednak nie jest konieczne. Bez problemu zamocowałem tak zarówno oryginalne paski, jak i te od innych producentów (w tym bardzo masywny pasek UAG z metalowymi elementami).

TimePorter wprowadza porządek nieporównywalny z żadną dedykowaną szufladą na paski, a przy okazji oszczędza też miejsce. Odkąd go używam, nieco częściej wymieniam paski Apple Watcha, bo te najczęściej używane mogę wygodnie przejrzeć i dopasować do stroju i okoliczności. Oczywiście nie jest to akcesorium niezbędne, ponadto jego cena może wydawać się spora jak za kawałek plastiku i gumy, uważam jednak, że to wydatek podobnego typu, co wieszak na krawaty, paski czy prawidła do butów – nie każdy je doceni, ale nabywcy nie potrafią się bez nich obyć.



Twelve South TimePorter



- Design: 4,5/6
- Jakość wykonania: 4/6
- Oprogramowanie: n/d
- Wydajność: 4,5/6

+ Plusy:

- bardzo wygodne odczepianie i przyczepianie pasków
- zajmuje minimalną przestrzeń
- możliwość łączenia kilku wieszaków ze sobą

- Minusy:

- niestabilny
- tylko jedna wersja kolorystyczna

Cena: około 30 USD



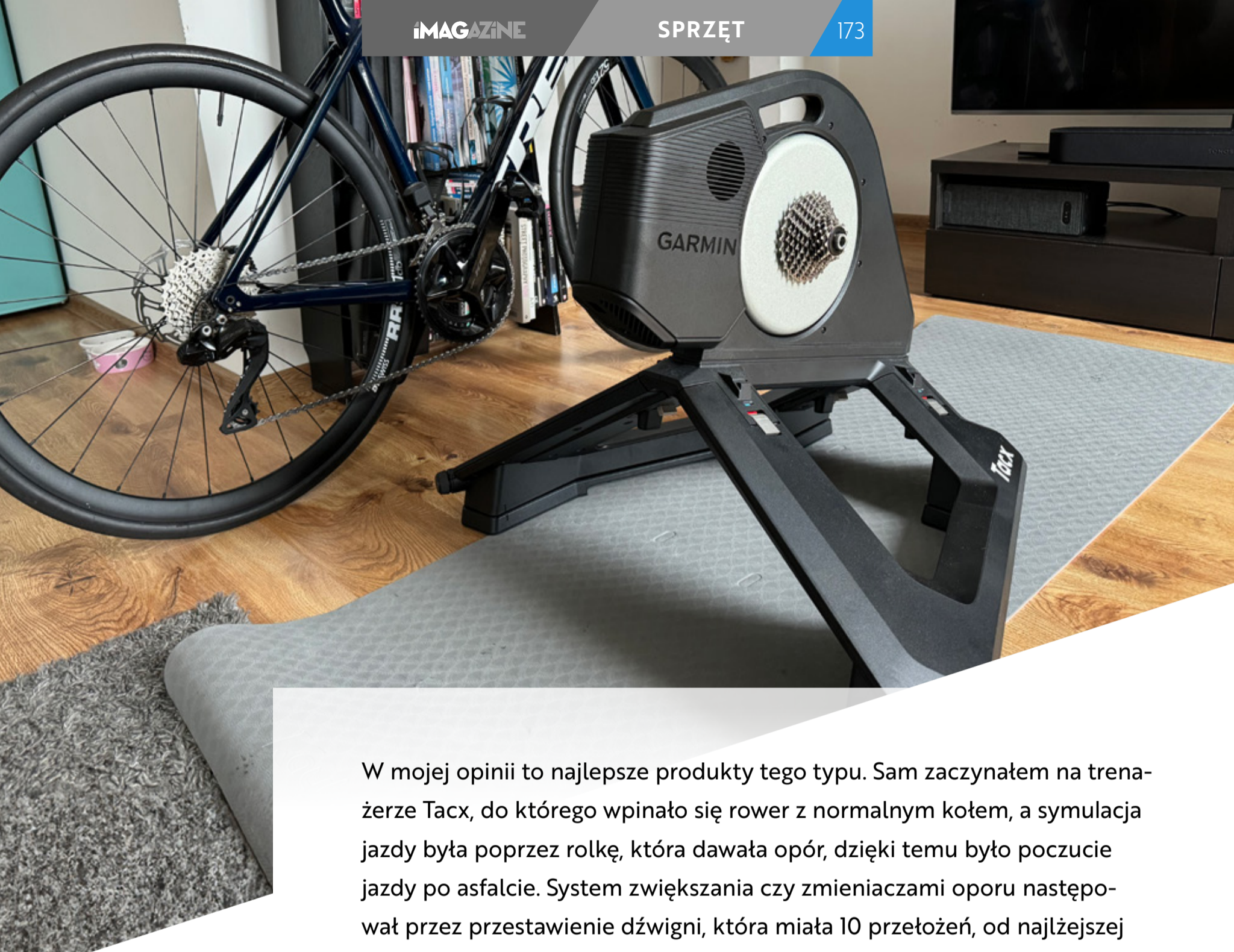


ADALBERT FREEMAN
@FreemanAdalbert

Garmin Tacx NEO 3M

Firma Garmin nie kojarzy się z produkcją systemów do treningu kolarskiego w domu. Znane są firmy Elite, Wahoo czy Tacx. Garmin jakiś czas temu do grona swoich produktów włączył trenażery rowerowe Tacx.





W mojej opinii to najlepsze produkty tego typu. Sam zaczynałem na trenerze Tacx, do którego wpinało się rower z normalnym kołem, a symulacja jazdy była poprzez rolkę, która dawała opór, dzięki temu było poczucie jazdy po asfalcie. System zwiększania czy zmniejszania oporu następował przez przestawienie dźwigni, która miała 10 przełożeń, od najlżejszej do najcięższej. Taki system treningu nie był najlepszy. Można było jedynie dodać czujnik na obracające się koło i podłączyć licznik Garmina, by mieć jakiegokolwiek dane pomiarowe.

Teraz, będąc na obozie treningowym w Calpe, zadzwonił do mnie naczelnny z pytaniem, czy chcę przetestować nowy produkt Garmina. Oczywiście, że chciałem. Jednak od razu zapytano mnie, gdzie kurier ma dostarczyć paczkę, bo to nie jest takie proste. Paczka waży około 30 kg. Wiedziałem od razu, że chodzi o Tacx Neo 3M – najwyższy model trenera od Garmina.

Paczka była spora i faktycznie ciężka. Z niemałym trudem wniósłem ją na swoje trzecie piętro. Trochę męczarni, by wyjąć zawartość i moim oczom ukazał się statek kosmiczny Lambda-Class T-4A Shuttle z „Gwiezdných Wojen”. Nawet skrzydła tak samo się składają. Skrzydła okazały się stopkami, a duży statecznik elementem z kołem zamachowym i montażem kasety rowerowej. Dużym plusem jest, że kasetka już jest zamontowana





i stanowi element zestawu. W moim prywatnym sprzęcie musiałem wydać dodatkowe 400 zł i doliczyć do zakupu. Mamy w zestawie kasetę Shimano 11-rzędową, czyli najczęściej używaną jeszcze do niedawna. Nowe rowery z grupami napędowymi mają już 12-rzędowe kasety. Jest możliwość oczywiście zamontowania także w swoim zakresie kasety i bębenka firmy Sram i Campagnolo. W zestawie mamy także tuleje do sztywnych osi w rowerze i systemie QR, czyli szybkozamykacza. Mój rower jest na nowej grupie Shimano 105 Di2, ale spokojnie udało mi się go tak ustawić, by można było wykonywać treningi.

Trenażer jest świetnie wykonany. Ma rączkę do przenoszenia na górnej części. Kabel zasilania jest dobrze umiejscowiony z tyłu i nie przeszkadza. Trenażer ma, co mnie zdziwiło, tryb samodzielnej jazdy bez podłączenia do sieci elektrycznej. Można wykonać trening w ograniczonym zakresie, a symulacja oporu następuje podczas przyśpieszania. Nie działa oczywiście system symulowania podjazdów. Jednak nie do tego jest ten trenażer. Dla mnie to była tylko ciekawostka. Miałem plan treningowy, który realizowałem. Był to plan z platformy treningowej Zwift. Czym jest Zwift?

Zwift to najbardziej rozpowszechniona gra, gdzie sterujemy swoim awatarem poprzez jazdę na prawdziwym rowerze podłączonym



do inteligentnego trenażera. Symuluje podjazdy, zjazdy, jazdę w grupie czy jazdę rowerem czasowym. Na Zwift organizowane są zawody, nawet rangi mistrzostw świata UCI. Są też jazdy grup. Jest też polska grupa ZTPL. Na Zwift wielu kolarzy trenuje, gdy nie ma warunków do jazdy na zewnątrz. Ja to robię od listopada do marca. W styczniu zaczynam jeździć według planu treningowego, który uwzględnia moją formę. Taki plan treningowy w moim przypadku to 8–10 tygodni treningów.

Trenażer po rozłożeniu zajmuje sporo miejsca. Jest dosyć szeroki, a dzięki temu stabilny, jednak, co ważniejsze, szerokość daje mu możliwość zastosowania nowoczesnego systemu ruchu, podobnego jak podczas jazdy po realnej drodze. Podczas jazdy rower nie jest sztywno w pionie. Pochylamy go w każdą stronę, szczególnie gdy chcemy szybciej pojechać. Neo ma wbudowaną platformę, na której możliwy jest ruch symulujący prawdziwą jazdę. Na początku czułem się trochę niepewnie. Jednak po pewnym czasie to zaczęło być bardzo przyjemne i naturalnie. By dokładnie to poczuć, wróciłem na chwilę do swojego sztywnego trenażera i to dopiero było rozczarowanie. Platformę można unieruchomić pokrętkami na skrzydłach (podporach), jednak nie polecam tego robić, bo to, w mojej opinii, najciekawszy element Neo. Pod przednie koło wstawiamy specjalną podstawkę,



która jest dwustronna, na jednej stronie do rowerów szosowych z cienkimi oponami, z drugiej do gravela czy MTB.

Podłączenie do Zwift było bajecznie proste. Włączamy i sama aplikacja wykrywa trenażer jako jednostkę sterującą oraz pomiar mocy i pomiar kadencji. Na tego typu urządzeniach potrzebujemy jeszcze pomiaru tętna. Nie jest on elementem zestawu. Garmin ma swoją aplikację treningową Tacx Training. Ja jednak nigdy jej nie używałem, bo z Zwift wszystkie dane i tak automatycznie są przesyłane do Garmin Connect czy Stravy. Pierwsza jazda mnie przestraszyła, bo miałem wrażenie, że Tacx się zepsuł. Zaczął się trząść i lekko podskakiwać i dopiero gdy zerknąłem na ekran, zrozumiałem, że jadę po bruku. Trenażer symuluje nawierzchnię, po której się jedzie wirtualnie. Odwzorował u mnie bruk, jazdę po szutrach czy po drewnianym moście.

Tacx Neo 3M to jednak przede wszystkim trening. Trenuje się w trybie ERG i tak było u mnie. Dlatego też nie potrzebowałem wymieniać kasety na 12-rzędową. Tryb ten steruje trenażerem bez nawiązania do wyświetlanej trasy. Czyli jeśli mamy zaplanowane interwały, to opór urządzenia jest taki,





jak mamy w rozpisany treningu, nawet jeśli to akurat jest zjazd z góry, jaki pokazuje nam Zwift. W tym trybie nie musimy zmieniać biegów. Mamy tylko utrzymywać zadaną kadencję. Automatyka sama dostosowuje nam założone waty. W przypadku testowanego urządzenia pierwszy raz miałem wrażenie, że system dokładnie pokazuje z dużą dokładnością moją moc. Producent podaje, że dokładność pomiarów jest do 1%. To najwyższa dokładność, z jaką się spotkałem. Do tej pory wykres treningu to była linia prosta, w Tacx Neo 3M można było dokładnie zobaczyć moje odchylenia od założeń.

Poprzez swoją masę i konstrukcję Garmin Neo jest świetny dla wymagających sportowców. Nie byłem w stanie jako amator zweryfikować, ale można na nim symulować podjazdy do 25% i 2200 W. Mój najbardziej stromy podjazd w Hiszpanii miał 22% na bardzo krótkim odcinku, a przy dłuższym 20% nie byłem w stanie podjechać 300 metrów. Mój obecny trener może symulować podjazd 16% i 1800 W, jest też o 6 kg lżejszy. To na pewno świetny sprzęt dla mocnych zawodników, szczególnie tych startujących na dużych imprezach e-kolarskich.

Do zastosowań profesjonalnych jest jako dodatkowe akcesorium Karta Sieciowa Tacx. Podłączenie następuje bezpośrednio przez Ethernet lub Wi-Fi, co jest bardzo ważne, jeśli jedzie się na zawody z cyklu Pucharu Polski





czy mistrzostwa krajowe. W standardzie jest Bluetooth oraz Ant+.

Garmin Tacx Neo 3M na pewno jest marzeniem wielu kolarzy i e-kolarzy. Moim także i mojej drugiej połówce, mojego kota i sąsiadów, a to dlatego, że trener jest bardzo cichy. Nie słychać jego pracy, co pozwala mi nawet jeździć po godzinie 22:00. Fajnie działa podświetlenie symulujące, jak bardzo się właśnie męczymy. Jednak trener ma swoje wady. Pierwszą jest jego rozmiar – duży. Nawet po złożeniu trzeba mieć gdzie go schować. Po rozłożeniu zajmuje dokładnie tyle miejsca, co statek z „Gwiezdných Wojen”. Drugą wadą jest cena. Jest drogi. Jednak za jakość i możliwości trzeba zapłacić. Jeśli chcemy trenować na najwyższym poziomie, trzeba mieć odpowiedni sprzęt. To jest właśnie taki trener. Bez kompromisów. Najwyższa półka, później są tylko maszyny treningowe.





PAWEŁ OKOPIEŃ
[@paweloko](#)

Sportowe emocje? Sztuczna inteligencja? Telewizory Samsung QN900D i QN800D łączą to po mistrzowsku

Szukasz telewizora do sportu? Chcesz cieszyć się wyjątkowo ostrym obrazem niezależnie od dyscypliny i źródła sygnału? Jesteś zainteresowany dużym telewizorem, na którym obejrzysz mecz ulubionej drużyny, będziesz emocjonował się Wielkim Szlemem? Obejrzysz film jak w kinie lub zagrasz na konsoli z jakością obrazu, która cię zaskoczy?



Neo QLED 8K

Upscale every moment with more Wow



Warto postawić na sprzęt z najwyższej półki, a do takich z pewnością należą telewizory Samsung QN900D i QN800D z tegorocznej odłony Excellence Line.

Samsung od 18 lat nieprzerwanie jest liderem rynku telewizorów, a w 2024 roku nowa oferta jest tak szeroka i różnorodna, jak nigdy przedtem. To chociażby telewizory OLED w rozmiarach od 48 do 83 cali, to telewizory przeznaczone do montażu w ogrodzie, gigantyczny 98-calowy telewizor klasy budżetowej, ekrany wyglądające jak obraz, czyli seria The Frame i wiele więcej. Jednak wisienką na torcie są telewizory Neo QLED Excellence Line QN900D i QN800D. To absolutnie topowe modele dla najbardziej wymagających widzów, najlepiej wyposażone i dające najwięcej satysfakcji niezależnie od tego, jakie treści oglądamy.

Excellence Line 2024. Czym są telewizory Samsung z serii QN900D i QN800D

Najbardziej zaawansowane telewizory na rynku – tak w skrócie można by powiedzieć o telewizorach Samsung QN900D i QN800D. To 65-, 75- i 85-calowe ekrany LCD wykorzystujące technologię podświetlania mini LED, z warstwą kropek kwantowych (czyli Neo QLED), a w dodatku z matrycą o rozdzielczości 7680 na 4320 pikseli, czyli 8K. Znacznie większe



(4-krotnie większe od typowego telewizora 4K) zagęszczenie pikseli przekłada się na bardziej wyrazisty obraz przy tak dużych przekątnych ekranu. Każdy, choć trochę śledzący rynek telewizorów i telewizji wie jednak, że natywnych treści 8K jest mało i zmienia się to bardzo powoli. Stąd właśnie bardzo szerokie wykorzystanie mechanizmów AI w telewizorach QN900D i QN800D do poprawiania jakości wideo, a rozdzielczość jest jednym wielu wyróżników tych niezwykle zaawansowanych telewizorów.

Kompletny telewizor to połączenie matrycy, technologii podświetlania, procesora obrazu, dźwięku, systemu operacyjnego, a także designu. I przykład wielu telewizorów na rynku pokazał, że można mieć nowatorski design albo referencyjny obraz w referencyjnych warunkach, ale gdy sprzęt nie będzie kompletny, to nie ma szans na sukces i trudno o nim mówić, że jest uniwersalny. Inaczej jest w przypadku Neo QLED Excellence Line QN900D i QN800D. To uniwersalne telewizory dla wymagających.

Dowodem na to jest chociażby odświeżona względem poprzednika konstrukcja podstawy w modelu QN900D. Efekt lustra nad podstawą sprawia wrażenie, że obraz wisi w powietrzu, a za sprawą bezramkowego wzornictwa z każdej strony, śmiem uważać, że przy 75- czy 85-calowym ekranie



Neo QLED 8K

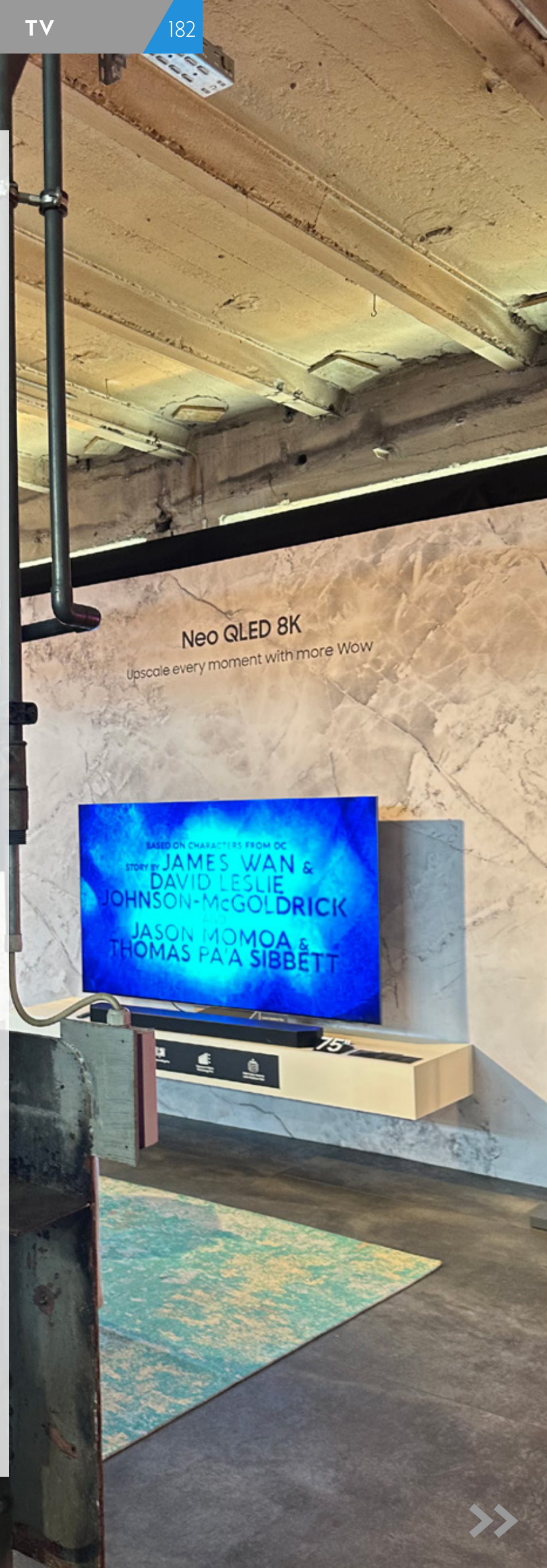
Upscale every moment with more Wow



efekt ten jest zbliżony do widoku z gogli VR, gdzie obraz jest umieszczony swobodnie w przestrzeni. W modelu QN800D zastosowano system audio Dolby Atmos 4.2.2, w QN900D jest to już 6.2.4 – czyli nawet bez zewnętrznych głośników czy soundbara można mieć bardzo bogate doświadczenia dźwiękowe. Choć osobiście uważam, że jeśli ktoś nie stawia na absolutny minimalizm we wnętrzu, to warto obok topowego telewizora zainwestować też w co najmniej dobrej klasy soundbar (te Samsunga mogą oczywiście współpracować z głośnikami telewizora dzięki funkcji Q-Symphony).

System operacyjny? To kolejna generacja systemu Tizen rozwijanego przez firmę Samsung od niemal dekady. Jego możliwości nie ograniczają się jedynie do wygodnego dostępu do serwisów VOD, to także opcja grania w chmurze (m.in. Nvidia GeForce Now i Microsoft GamePass), korzystania z dzielenia ekranu (multiview czy screen mirroring), ale też pełna kontrola nad inteligentnym domem, gdzie telewizor może pełnić funkcję głównego hubu dla urządzeń podłączonych do SmartThings. Powiadomienie o zakończeniu cyklu prania czy szybkie wyłączenie światła przed rozpoczęciem seansu – to wszystko jest możliwe za pomocą dużego ekranu.

Największy progres w QN900D względem poprzedników, jak i konkurencji, dokonał



się jednak w kwestii procesora. Samsung Procesor NQ8 AI Gen3 ma 2 razy szybsze NPU (NPU oznacza tutaj Neural Processing Unit – to specjalny akcelerator przetwarzania procesów związanych z AI) od swojego poprzednika, 1,4 razy szybsze GPU i 15% szybsze CPU. Przede wszystkim ma aż 8 razy więcej sieci neuronowych wykorzystywanych do wielu procesów AI mających na celu poprawę każdego aspektu jakości obrazu. Teraz to aż 512 sieci neuronowych! W modelu QN900C z 2023 roku było ich „tylko” 64, a i tak efekty były fenomenalne. Teraz jest jeszcze lepiej.

AI to hasło roku 2024, to też motyw przewodni istotnych zmian w tegorocznych produktach Samsunga. A w QN900D to przede wszystkim takie funkcje jak 8K AI Upscaling pro (czyli niezwykle zaawansowany i szczegółowy upscaling obrazu z dowolnej niższej rozdzielczości zbliżonej do 8K), AI Quantum Picture Enhancer, czyli mechanizm poprawy jakości obrazu, AI Motion Enhancer, czyli wykorzystanie sztucznej inteligencji do poprawy płynności ruchu, a także AI Auto Game Mode, tryb, który nie tylko automatycznie uruchamia się, gdy wykryje, że gramy na konsoli czy PC, ale też rozpozna typ gry i dopasuje sam parametry obrazu pod specyfikację gry, czy to będzie RPG, wyścigi, czy też FPS. Wszystko po to, aby uzyskać jak najlepsze doświadczenia z seansów, transmisji sportowych czy rozgrywki, niezależnie w jakich warunkach i z jakiego źródła będziemy korzystać.

Oczywiście QN900D i QN800D to sprzęty zarówno dla wymagających laików, którzy oczekują pełnej automatyzacji, jak i dla tych obrazowych purystów, którzy łakną najwyższej jakości obrazu na swoich zasadach – każdy znajdzie tu ustawienia dla siebie.

AI i transmisje sportowe – o co tu chodzi?

Czas jednak odpowiedzieć na tytułowe zagadnienie. Po co nam tak właściwie ta sztuczna inteligencja przy oglądaniu transmisji sportowych? Jakie korzyści niesie za sobą oglądanie sportu na telewizorze takim jak Samsung QN900D.

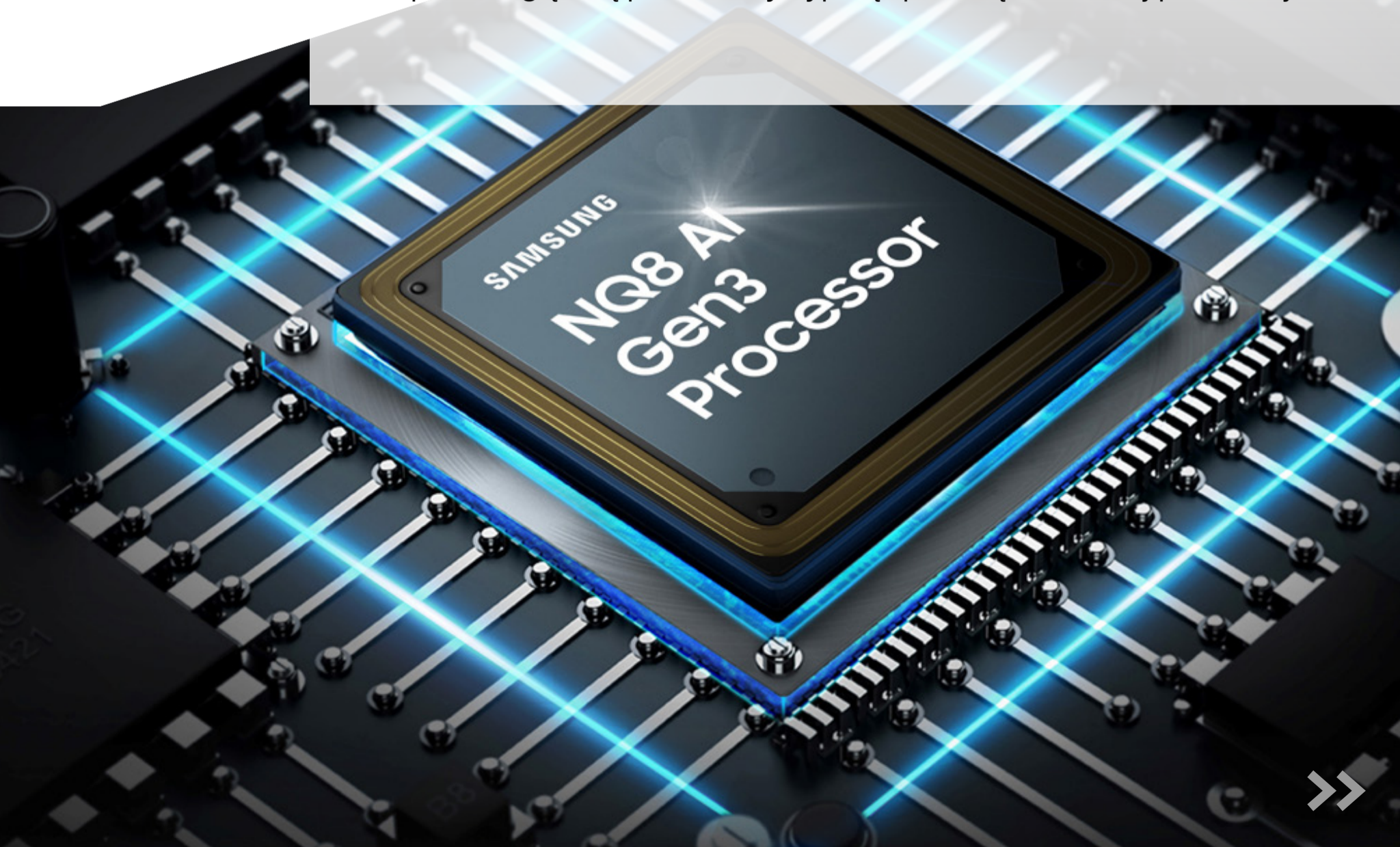
Użytkując od 2018 roku jako główny telewizor ekrany 8K Samsunga i konkurencji, trudno jest mi dziś sobie wyobrazić sobie lepszy ekran pod kątem przetwarzania obrazu. A model QN900D jeszcze to potęguje. Zaawansowany upscaler 8K AI Pro pozwala cieszyć się bardzo dobrymi

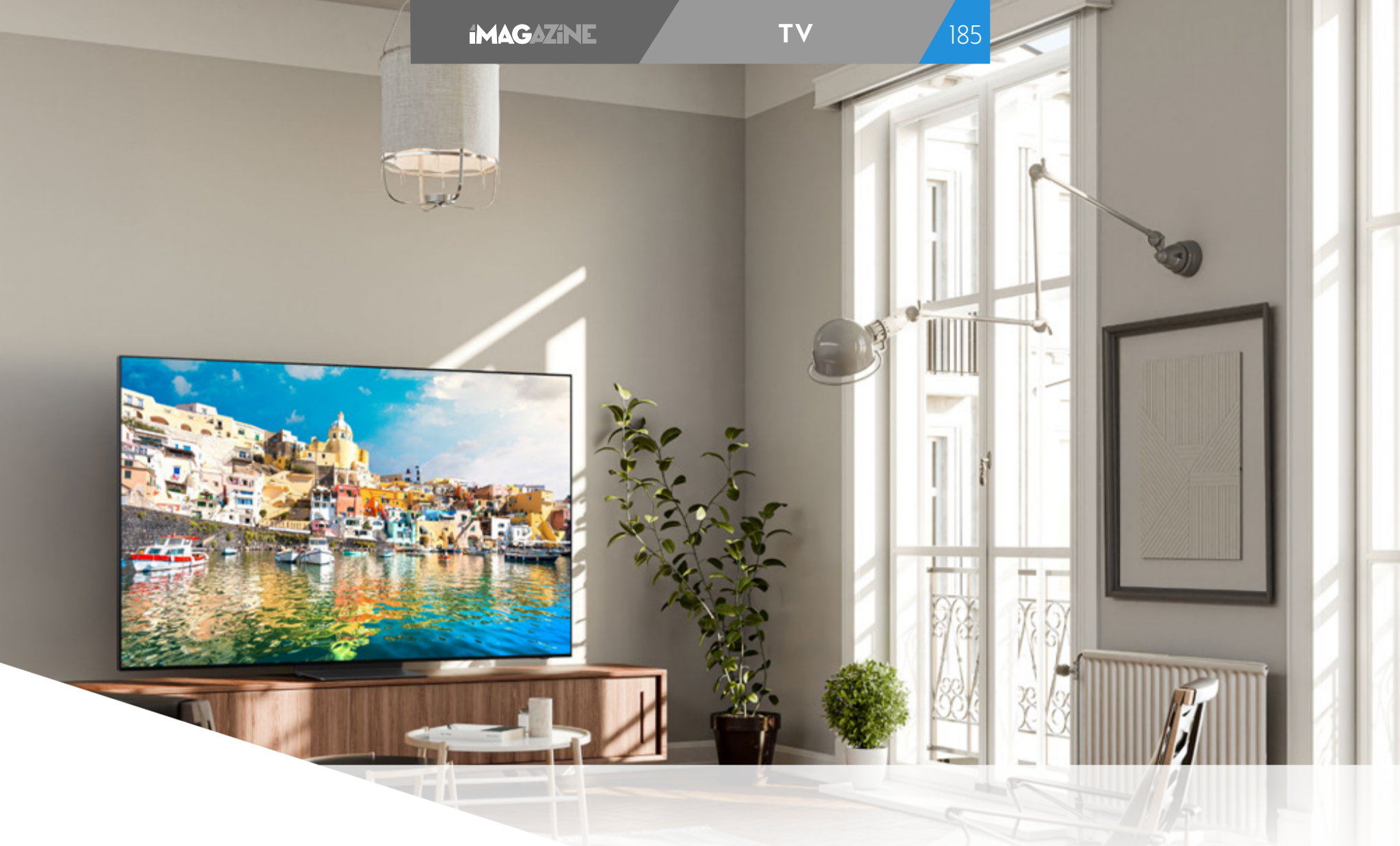


doświadczeniami nie tylko filmów z płyt UHD Blu-ray, czy najwyższej jakości streamingu, ale też z kanałów telewizyjnych.

A dla fana sportu to bardzo istotna informacja. Wszak transmisji sportowych nawet w 4K jest jak na lekarstwo. Niektóre serwisy streamingowe oferują jedynie 720p. Aby cieszyć się relacjami sportowymi na dużym, a często bardzo dużym ekranie, jak 75- czy 85-calowy telewizor, potrzebny jest właśnie zaawansowany mechanizm upscalingu. W Samsung QN900D rozpoznawane są poszczególne elementy obrazu i sztuczna inteligencja jest w stanie znacząco wyostrzyć i poprawić jakość takiej transmisji obrazu.

Kolejną istotną kwestią jest płynność ruchu. Oczywiście podstawą jest tu matryca 120 Hz, ale obok tego konieczne są możliwości przetwarzania obrazu przez procesor. Najbardziej wymagające w kwestii płynności ruchu są transmisje sportowe, gdzie wiele „obiektów” jednocześnie bardzo szybko porusza się na ekranie. Nieinteligentny telewizor po prostu wyświetla obraz z odpowiednio dużą częstotliwością odświeżania. Natomiast Samsung NQ8 AI Gen3 Procesor to kompletna analiza tego, co później jest wyświetlane na ekranie. I tak, procesor ten jest w stanie rozpoznać oglądaną przez nas dyscyplinę sportową oraz rodzaj piłki w niej





wykorzystywanej, oraz sprawić, że smużenie zostanie tu wyeliminowane. Ruch piłki, czy to przy transmisji tenisowej, czy piłki nożnej, a nawet baseballa będzie perfekcyjny i ostry. W futbolu amerykańskim piłka będzie podłużna, a w naszej europejskiej ma być okrągła i na QN900D rzeczywiście taka jest. Gdy skupimy się na piłce, to dostrzeżemy, jak jej ruch w grze jest płynny i ostry.

To naprawdę pozwala cieszyć się sportowymi emocjami. W połączeniu z dostępem do wszystkich kluczowych aplikacji VOD czy opcji śledzenia na ekranie chociażby komentarzy na portalach społecznościowych udostępnionych z naszego telefonu – QN900D to propozycja dla najbardziej wymagających kibiców, nie tylko na czas jednej imprezy sportowej, ale na kilka kolejnych lat.

Samsung QN800D czy QN900D, który model wybrać?

Wyżej wspominałem o dwóch modelach Samsung Excellence Line 2024 – QN900D i QN800D. Czym one się różnią? Jaki model telewizora Samsung warto wybrać? Najlepszą odpowiedzią jest oczywiście 85QN900D, czyli 85-calowy wariant topowego modelu. To rewelacyjne doświadczenia przy potężnym ekranie. Natomiast wiadomo, że czasem trzeba zejść na Ziemię.

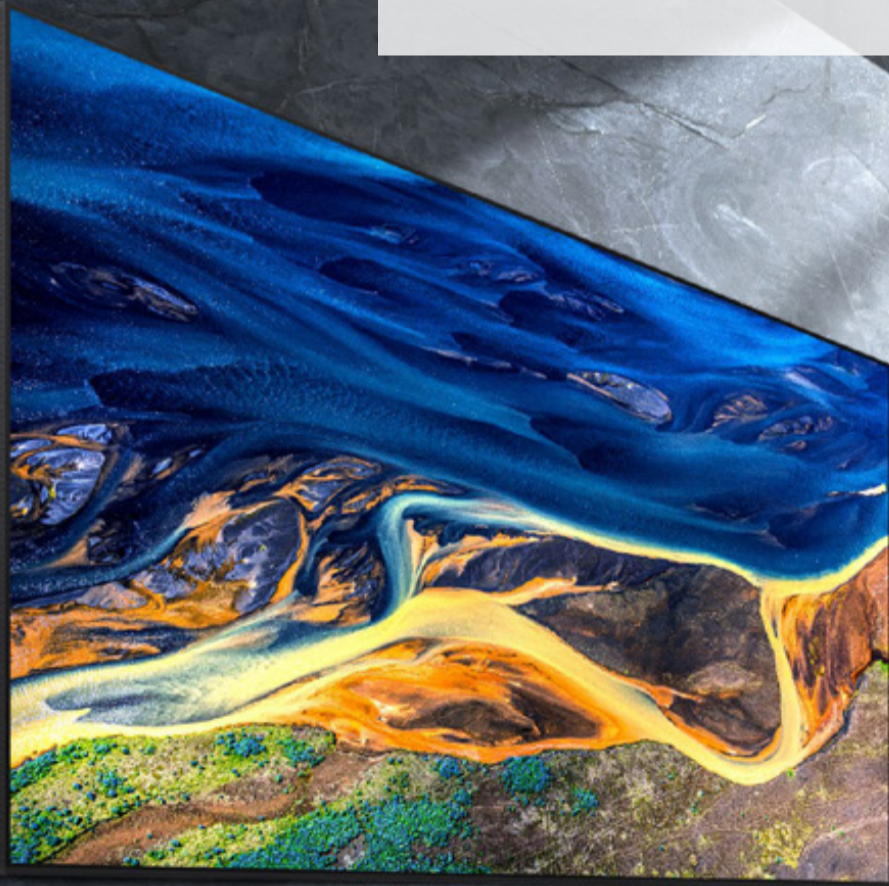


QN900D to topowy model pod każdym względem, dostępny w rozmiarach 85, 75 i 65 cali. Także w tych rozmiarach jest dostępny QN800D, który jest plasowany o półkę niżej, wciąż występując w najwyższej klasie rozgrywkowej. Obrazowo najłatwiej porównać firmę Samsung do producenta samochodów, w szerokiej gamie występuje topowy model – QN800D to wersja z nieco słabszym silnikiem (procesorem) oraz nieco uboższym wyposażeniem (mniej głośników chociażby), ale nadal to obiekt pożądania.

Postaw na jakość napędzaną AI

Niezależnie, czy wybieriecie QN900D, czy QN800D, czy inne telewizory Neo QLED i OLED Samsung, to znajdziecie tam ogrom mechanizmów AI. Sztuczna inteligencja wkracza w naszą codzienność szeroko, a jej cel w telewizorach Samsung to poprawa doświadczeń zarówno pod kątem jakości obrazu, jak i użytkowania. Łatwiej, lepiej, ładniej.

Materiał powstał we współpracy z Samsung Polska





PAWEŁ OKOPIEŃ
[@paweloko](#)

Laserowy projektor 4K Hisense C1 – recenzja

W ostatnim numerze iMagazine przedstawiałem wam projektor laserowy Hisense C1 i jego ogólne możliwości, dzieliłem się wrażeniami z fenomenalnej jakości wykonania i designu czy dodatków. Czas przyszedł na ostateczny werdykt. Czy warto kupić Hisense C1 i kto powinien zainteresować się tym projektorem?





PROJEKTOR LASEROWY SMART 4K HISENSE CI to sprzęt, który pokazuje szerokie portfolio producenta z Państwa Środka. Obok gamy telewizorów oraz urządzeń do krótkiego rzutu z serii Laser TV mamy też projektory. CI teoretycznie jest klasycznym projektorem do kina domowego, praktycznie jest designerskim projektorem do kina domowego dla wymagających odbiorców pragnących mieć nawet 300-calowy obraz 4K w swoim salonie. Jedy-
nym ograniczeniem jest tu właściwie ściana.

Jakie są parametry tego urządzenia? To mały-duży projektor, z potrójnym laserowym źródłem światła, jasnością na poziomie 1600 ANSI lumenów, z możliwością projekcji od 65 do 300 cali i pokryciem kolorów BT.2020 na poziomie 110%. Automatyczną kalibracją ostrości i geometrii obrazu, wsparciem najpopularniejszych formatów HDR w tym Dolby Vision, obsługą dźwięku Dolby Atmos, a nawet obsługą AirPlay i integracją HomeKit. To też w pełni smart projektor za sprawą obecności systemu VIDAA. Obecnie wyceniany jest na 8990 PLN, a u dystrybutorów przy zakupie oferowane są takie gratisy jak torba/futerak na niego oraz statyw. Statyw, który wraz z projektorem tworzy unikalny koncept eleganckiego sprzętu do kina domowego używanego wtedy, gdy rzeczywiście mamy taką potrzebę.

Wred by
wred by
wred by
DM



Koledzy z HDTV Polska tradycyjnie wzięli sprzęt na zaawansowane pomiary. Wynika z nich, że choć część parametrów odbiega od tego, co producent deklaruje, to wciąż na papierze sprzęt prezentuje się doskonale. Sam stawiam na empiryzm w testach i mogę potwierdzić, że Hisense C1 to sprzęt, który dostarcza kinowych wrażeń na gigantycznym ekranie. Kinowych, przy czym większość sal kinowych w naszym kraju mogłoby się wstydzić w porównaniu do tego, co Hisense C1 oferuje pod względem jasności, kontrastu, odwzorowania kolorów, rozdzielczości czy wsparcia dla HDR. W końcu nawet w Polsce nie ma kina wspierającego Dolby Vision. Tu możemy uruchomić film na Ultra HD Blu-ray z Dolby Vision i cieszyć się takimi efektami. Polecam obejrzenie „Władcy Pierścieni” czy nowego laureata Oscara – „Oppenheimera” właśnie na tak gigantycznym ekranie, z doskonałej płyty. To będzie prawdziwa uczta dla oczu. PROJEKTOR LASEROWY SMART 4K HISENSE C1 to dostarcza.

Osobiście najbardziej jestem zawiedziony kwestią dźwięku. Jest on poprawny, bardzo dobry jak na gabaryty urządzenia. Natomiast jasne jest,





że nie jest to dźwięk kinowy. Musimy pomyśleć o systemie audio, co nieco nam niszczy ideę minimalizmu tego urządzenia. Być może jednak jestem tu zbyt rozpieszczony przez swój system i wymagający. Każdemu wedle potrzeb. Na szczęście Hisense CI ma port HDMI z obsługą eARC, więc podpięcie soundbara czy kina domowego nie będzie problemem. Ponadto wspomniany port jest w standardzie HDMI 2.1 i choć projektor nie wspiera 120 Hz, to świetnie nadaje się do gier dzięki automatycznej redukcji opóźnień.

Wielkim plusem urządzenia jest system Smart TV VIDAA. To sprawia, że projektor jest w pełni plug & play. Działa tu AirPlay, są najpopularniejsze aplikacje Netflix, Canal+, Apple TV+, Disney+ i wiele więcej. W efekcie obsługujemy nawet 300-calowy projektor, tak jakby był telewizorem. Telewizorem od Hisense, czyli z błyskawicznie działającym systemem VIDAA i to sprawia, że z przyjemnością użytkuje się ten projektor i będzie to potrafił laik. A to dla mnie spory atut, ponieważ wiele projektorów wymaga wsparcia ze strony instalatorów, jeśli chodzi o montaż i podłączenie dodatkowych urządzeń zewnętrznych. Tutaj amplituner, wszelkie konsole, odtwarzacze są tylko opcjonalnym dodatkiem.

Wspominałem wcześniej o wyglądzie urządzenia i opcjonalnym, ale na ten moment



u dystrybutorów gratisowym, statywie. To właśnie swoista wskazówka, dla kogo jest Hisense CI. To nie jest sprzęt instalacyjny, niekoniecznie też musi być na stałe ulokowany w przestrzeni naszego salonu. Możemy go mieć i odpalać tylko na czas seansu. Może też na statywie stać na stałe i pięknie się prezentować gdzieś z boku, a tylko na czas seansu przesuwając go centralnie przed ekran. Nietypowa stylistyka projektora jest też jego atutem.

PROJEKTOR LASEROWY SMART 4K HISENSE CI ma wysoką cenę względem podstawowych projektorów 4K na rynku. Jednak jak zajrzemy w parametry i porównamy z innymi urządzeniami, zwłaszcza tymi z laserowym źródłem światła, to ta cena jest już atrakcyjna i uzasadniona. W dodatku design, Smart TV, łatwość obsługi i możliwości obrazowe w tym HDR robią swoje. To sprzęt dla tych, którzy marzą o kinie w domu, o wysokiej jakości kina w domu, a jednocześnie niekoniecznie chcą na stałe tworzyć instalacje kina domowego w swoim salonie. I ja tę ideę kupuję i gorąco polecam, wszystkim, którzy widzą w tym sens!





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

Światowa premiera Volkswagena ID Buzz GTX – to jest Bulli, którego szukasz

Kilka tygodni temu miałem okazję własnymi zmysłami doświadczyć nową wersję ID Buzza, która dzisiaj ma światową premierę. Zapraszam więc nie tylko do szczegółów technicznych, ale również osobistych wrażeń wyniesionych z nowego wydania GTX.

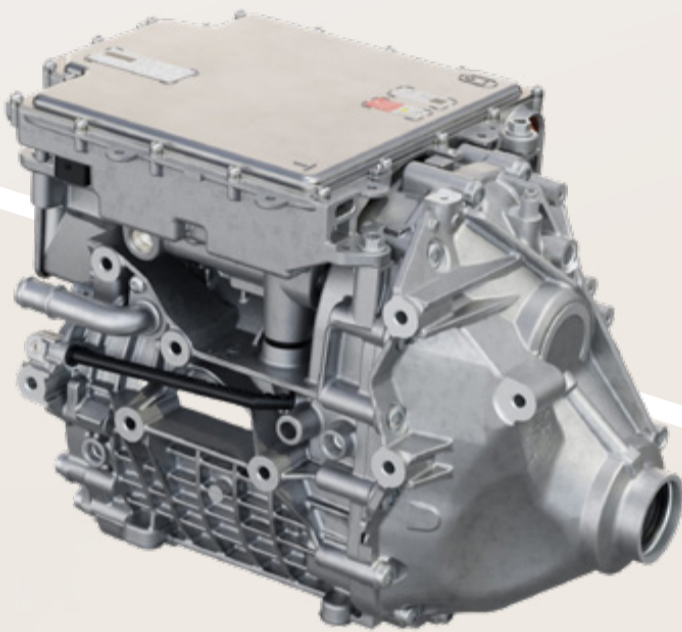
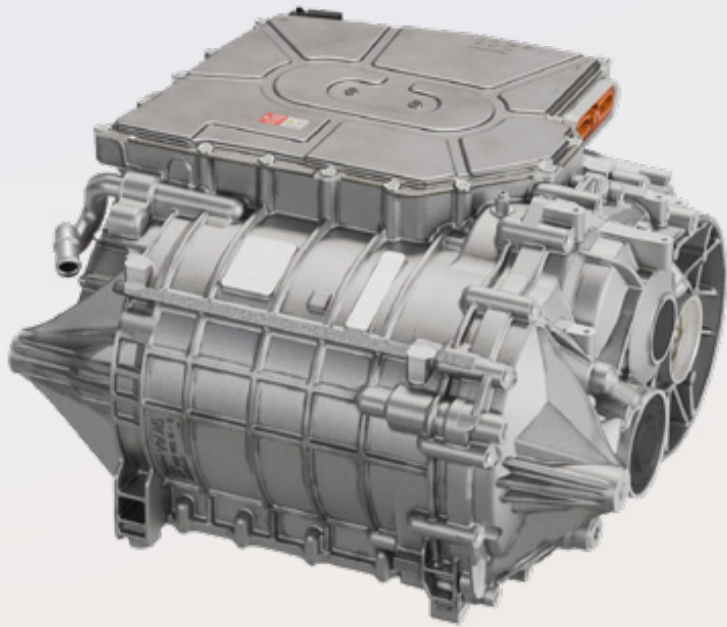




ID Buzz GTX wyposażono w silniki generujące 340 KM poprzez obie osie (4Motion) oraz dwie płyty podłogowe, z których krótszą wyposażono w akumulator o pojemności 79 kWh (netto), a dłuższą w 86 kWh (netto). Oba warianty spodziewają się przyspieszać do 100 km/h ze startu zatrzymanego w 6,5 s i potrafią ciągnąć przyczepy o wadze do 1800 kg. Mamy też nowe wnętrza, nową stylistykę zewnętrzną i nowe systemy multimedialne...

Jeśli czytaliście moją [3000-kilometrową podróż po Danii ID Buzzem](#), to wiecie, że [uwielbiam tę odrodzoną ikonę Volkswagena](#). Jak każde auto na świecie, nie jest bez wad, ale nowoczesne wydanie Buzza jest tak wdzięczne, że skradło moje serce. Moim ulubieńcem była zawsze Samba, a skoro dzisiejszy GTX oddaje hołd temu wariantowi swoim nowym dachem panoramicznym – więcej o tym poniżej – to moje emocje są jeszcze bardziej pobudzone.





Napęd

Nowego ID Buzza GTX napędzają dwa silniki montowane na obu osiach, dostarczając moc na cztery koła za pomocą elektronicznego 4Motion, co zapewnia jeszcze lepszą trakcję, niż tylnonapędowy ID Buzz. Silnik na przedniej osi może być odłączany, gdy nie jest potrzebny, a jego aktywacja zajmuje ułamek sekundy, gdy domaga się tego 4Motion. Jest to ASM¹ typu AKA150 i generuje 80 kW / 109 KM oraz moment obrotowy wynoszący 134 Nm. Jego ogromną zaletą jest prawie całkowity brak konsumpcji energii, gdy jest nieużywany. Na tylnej osi zamontowano silnik PSM² typu APP550 o mocy 286 KM i momencie obrotowym wynoszącym 560 Nm. Gdy kierowca zdecyduje się na wykorzystanie pełnego potencjału obu silników, wytworzonych zostaje 250 kW / 340 KM,

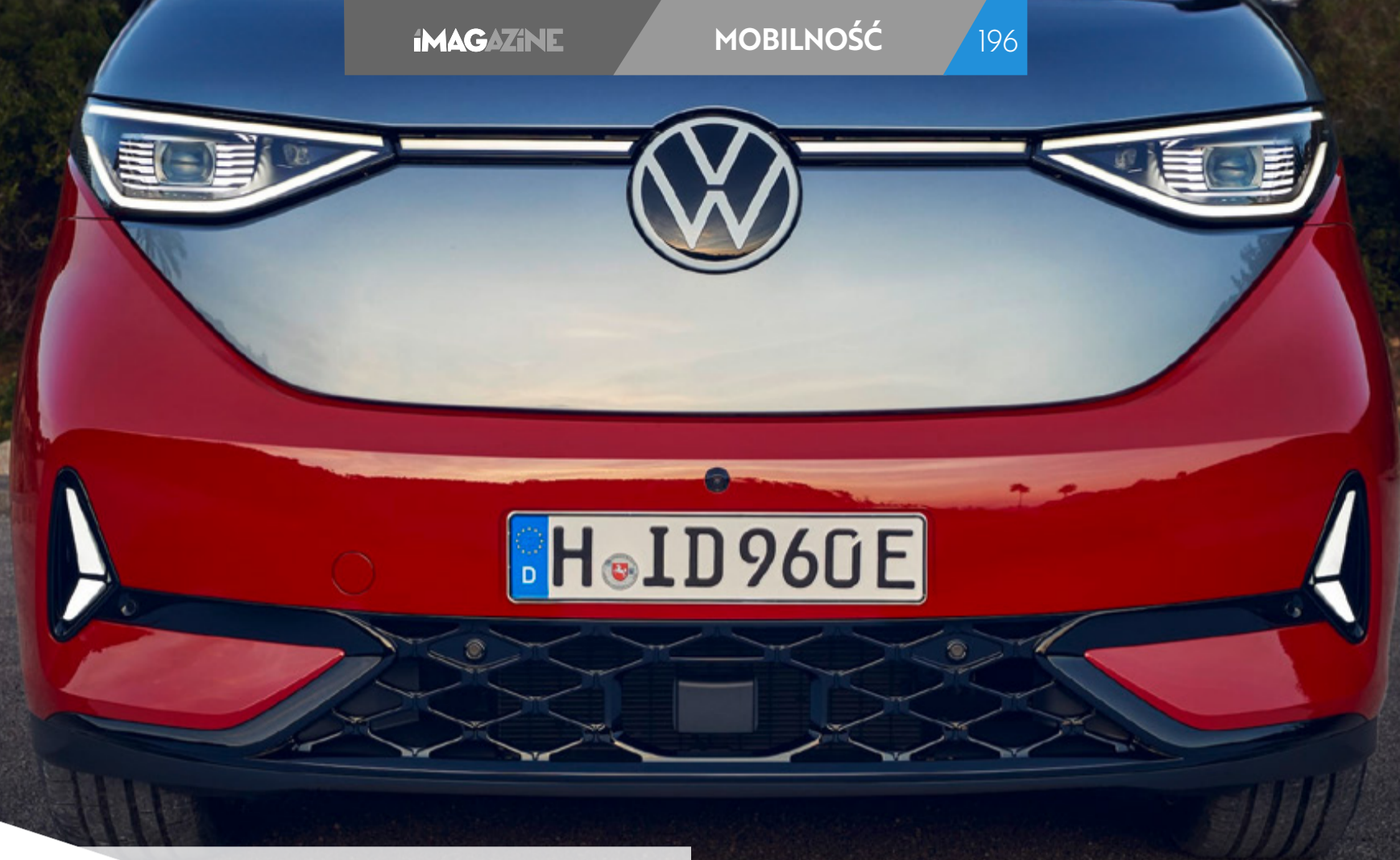


¹Asynchronous motor / silnik indukcyjny asynchroniczny.

²Permanent magnet synchronous motor / silnik synchroniczny z magnesami trwałymi.







co zapewnia przyspieszenie na poziomie 6,5 s do 100 km/h ze startu zatrzymanego w przypadku obu wariantów. Vmax jest elektronicznie ograniczony do 160 km/h.

ID Buzz GTX ze standardowym rozstawem osi potrafi pociągnąć przyczepę ważącą maksymalnie 1800 kg (hamowaną na 8% nachyleniu), a model z długim rozstawem osi, przy tych samych ograniczeniach, pociągnie 1600 kg. To odpowiednio 800 i 600 kg więcej niż w przypadku modelu tylnonapędowego z silnikiem 204-konnym.

ID Buzz GTX z krótszym rozstawem osi wyposażono w baterię o pojemności 79 kWh netto (84 kWh brutto), a model z dłuższym rozstawem w 86 kWh netto (91 kWh brutto). Większa bateria składa się z 13 modułów zamiast 12, więc fizycznie wymaga dodatkowego miejsca pod



podłogą większego brata. Obie mają oczywiście zintegrowany system ich chłodzenia. Wariant 79 kWh wspiera ładowanie DC do 185 kW, co pozwala naładować ją z 10% do 80% w ok. 25 min. Większa 86 kWh bateria przyjmie do 200 kW, a czas ładowania z 10% do 80% wynosi mniej niż 30 minut. Optymalizacja ładowania jest dodatkowo wspierana przez oprogramowanie samochodu, które przygotowuje baterię na chwilę przed dotarciem do ładowarki, dzięki czemu nie tracimy czasu na obniżenie lub podniesienie temperatury do optymalnej wartości. To pozwala oszczędzić nawet kilka minut, szczególnie w okresie zimowym. Optymalizacja baterii jest uruchamiana automatycznie, gdy korzystamy z nawigacji i mamy w niej zaplanowany postój na ładowanie. Można też wyzwolić to ręcznie z systemu infotainment w razie potrzeby.

Z zewnątrz

Nowością w stylistyce ID Buzza GTX jest jego przód, a szczególnie przedni zderzak. Ma czarne wloty powietrza w kształcie plastra miodu, nowe prowadnice powietrza oraz trójkąty na bokach, w których umieszczono światła LED do jazdy dziennej. Wszystkie nowe czarne elementy są lakierowane na wysoki połysk – dotyczy to wlotów przedniego zderzaka, wspomnianych prowadnic powietrza, oznaczeń modelu i obudów lusterek.





W standardzie otrzymujemy też 19-calowe felgi Venlo, które można opcjonalnie zamienić na jeden z dwóch wariantów 21-calowych – czarnych „Caracas” lub czarnych z powierzchnią o szlifie diamentowym „Townsville”. Oświetlenie matrycowe IQ.LIGHT LED jest dostępne w standardzie.

Dla GTX-a przygotowano specjalny czerwony lakier Cherry, którym można pokryć całą powierzchnię samochodu lub tylko dolną połowę. Wtedy w parze z nim stosowany jest Mono silver metallic – srebrny lakier, który pokrywa górną połowę pojazdu. Dodatkowo do dyspozycji klientów oddano sześć innych kolorów lakierów i cztery zestawy lakierów dwutonowych.





Wnętrze

GTX otrzymał również nowe wnętrze w porównaniu do ID Buzza. Biel zastąpiono czernią – od dywanów, przez deskę, aż po podsufitkę. Tam gdzie ID Buzz był jak rycerza Jedi, piękny, wesoly, słoneczny, ciepły, tak GTX jest jak Darth Vader – czarny, poważny, podbite emocjonalną czerwienią. Nowy jest też kształt przednich foteli GTX, które są elektrycznie sterowane z funkcją pamięci. Jasne materiały z ID Buzza zastąpiono czarnym mikropolarem ArtVelours Eco w kształcie diamentowym z czerwoną lamówką i szyte czerwoną nicią. To ostatnie szczególnie dobrze wygląda na skórzanej kierownicy, obok czerwonej wstawki między aluminiowymi ramionami.

ID Buzz GTX dostępny jest z standardowym rozstawem osi jako wariant







pięcioosobowy, z kanapą dzieloną 40:60 w drugim rzędzie. Alternatywnie można zdecydować się na model sześćosobowy w konfiguracji 2+2+2, czyli z sześcioma osobnymi fotelami. Model z przedłużanym rozstawem osi można zamówić analogicznie jak powyżej, ale jest też wariant siedmioosobowy, w konfiguracji 2+3+2. W obu wariantach fotele w drugim rzędzie mogą być przesuwane wzdłużnie o 150 mm lub 200 mm, zależnie od rozstawi osi. Prawie każdy fotel ma też ISOFIX – brakuje go jedynie na środkowym siedzeniu drugiego rzędu jeśli jest tam kanapa trzyosobowa.

Przestrzeń ładunkowa jest zawsze liczona do poziomu szyb. Pięcioosobowy, krótszy model oferuje od 1121 l do 2133 l (złożony drugi rząd). Przedłużany ID Buzz GTX natomiast zapewnia od 1340 l do 2469 l (złożony drugi rząd). W wariantcie siedmioosobowym, nawet jeśli zajęte są wszystkie miejsca, nadal do dyspozycji mamy 306 l przestrzeni. Płyta Multiflex (oraz dwa pudełka), która pozwala stworzyć dwupoziomowy bagażnik oraz płaską przestrzeń (np. na łóżko), jest dostępna dla wybranych konfiguracji foteli w dwóch wersjach – krótkiej i długiej.



Systemy, infotainment i ChatGPT

Razem z premierą ID Buzza GTX, samochód otrzymał również zmiany w hardware oraz nowy software. Nowością jest opcjonalny HUD dla kierowcy oraz standardowy infotainment nowej generacji, z przebudowanym interfejsem, menu oraz nowymi procesorami, które zapewniają płynniejsze działanie. Główny touchscreen ma teraz przekątną 12,9" zamiast 12", a paski dotykowe (touch bar) do sterowania temperaturą klimatyzacji oraz głośnością są teraz podświetlane. Obsługa UI stała się prostsza i bardziej intuicyjna. 12,9-calowy wyświetlacz podzielono na dwa stałe paski dotykowe oraz ekran główny. Po lewej stronie górnego paska na wyświetlaczu znajduje się nowy przycisk szybkiego dostępu, który umożliwia otwarcie głównego menu z przeglądem wszystkich aplikacji za pomocą jednego kliknięcia. Obok tego przycisku znajduje się przycisk do nowego Centrum Sterowania Samochodem, które oferuje bezpośredni dostęp do najważniejszych funkcji pojazdu i może być konfigurowany indywidualnie. Główne menu i Centrum Sterowania Samochodem są zawsze dostępne bez konieczności zamykania aktywnej aplikacji. To znacznie upraszcza obsługę. Nowy ekran główny wyświetla najważniejsze aplikacje na kafelkach w różnych rozmiarach – oprócz klasycznych treści, takich jak nawigacja czy media, kafelki oferują nowe funkcje, takie jak







sugestie od asystenta głosowego IDA. Ekran główny może również być konfigurowany indywidualnie. Dolny pasek dotykowy zawiera funkcje klimatyzacji i siedzeń oraz przycisk domowy, który pozwala kierowcy powrócić do ekranu głównego w dowolnym momencie. W razie wątpliwości po prostu stosujcie gesty znane ze smartfona – to powinno pomóc.

Asystent głosowy IDA może być obsługiwany językiem naturalnym i pozwala kontrolować wiele aspektów samochodu. Oznacza to, że możemy np. powiedzieć „Cześć IDA, jest mi zimno w stopy”, a klimatyzacja podgrzeje dolną przestrzeń samochodu. System multimedialny wyposażono również w aplikację wellness, która odpowiada albo za rozruszanie nas rano lub za uspokojenie, gdy np. ładujemy samochód, stosując bodźce audiowizualne, klimatyzację, inteligentny szyberdach i inne. IDA dodatkowo ma np. dostęp do informacji o lotach pasażerskich, wynikach wydarzeń sportowych, np. meczy piłki nożnej, o wydarzeniach ze świata, do pogody i wielu innych funkcji, w tym również do Wikipedii.

Ciekawą nowością będzie integracja asystenta głosowego IDA z ChatGPT. Ta funkcja będzie dostępna w późniejszym terminie i będzie uruchomiona po stronie serwerowej u Volkswagena, więc nie będzie konieczności uaktualniania software'u w samochodzie. Początkowo mają być dostępne cztery języki, a polski planowany jest na koniec 2024 roku (ale nie jest to sztywny





termin). Na wstępie ChatGPT nie będzie umożliwiał prowadzenia konwersacji kontekstowych, ale IDA będzie miała dostęp do odpowiedzi ChatGPT, więc będzie mogła stosownie uruchomić np. nawigację, zależnie od wyniku naszej rozmowy. Warto również ograniczać ChatGPT do jednego zdania w zadanym pytaniu, bo jego odpowiedzi czasami są bardzo długie. ChatGPT samo w sobie nie będzie miało dostępu do informacji o samochodzie ani nie będzie miało możliwości sterowania nim. Więcej na ten temat postaram się Wam zaprezentować, gdy funkcja już będzie aktywna.

Nowością w temacie systemów wspomagających kierowcę jest Park Assist Plus – funkcja pozwalająca parkować ID Buzza za pomocą smartfona, dzięki czemu możemy go zmieścić w ciasne przestrzenie. Funkcja zapamiętywania sposobu parkowania „Memory” również jest obecna – auto



zapamiętuje ostatnie 50 metrów podróży, np. do naszego garażu, dokoła kamienia, obok oczka wodnego, aby móc powtórzyć ten czyn bez naszej ingerencji, podążając dokładnie po naszych śladach. W ten sam sposób można samochodem wyjechać po zapamiętanej trasie. Dodano również system ostrzegający przed wysiadaniem – jeśli wykryto zbliżających się rowerzystów lub nadjeżdżające samochody, gdy otwieramy drzwi, to są one tymczasowo blokowane, abyśmy nie spowodowali wypadku.



Opcjonalnie można również zamówić do ID Buzza GTX panoramiczny szklany dach z „inteligentnym szkłem”, czyli wyposażonym w warstwę PDLC (polymer-dispersed liquid crystal), która może szklaną powierzchnię zamieniać z przezroczystej w mleczną za naciśnięciem przycisku lub wypowiedzeniem komendy głosowej Idzie. Szkło elektrochromatyczne składa się przeważnie z kilku warstw, w tym jednej lub więcej warstw materiałów elektrochromatycznych zawartych między dwiema warstwami szkła. Kiedy prąd elektryczny jest przepuszczany przez te materiały, powoduje to zmianę ich właściwości optycznych, co zmienia stopień przejrzystości szkła. Bez podawania prądu, szkło elektrochromatyczne jest zazwyczaj mleczne lub nieprzejrzyste, co zapewnia prywatność i blokuje światło słoneczne, a gdy prąd jest przepuszczany, szkło staje się przezroczyste.



Pierwsze wrażenia

Z nowym Bulli – ID Buzzem GTX – w różnych wariantach kolorystycznych spędziłem pół dnia. Nowa czerwień Cherry na żywo, jak to przeważnie bywa, wygląda zdecydowanie lepiej niż na zdjęciach i pomimo, że w wersji jedno-barwnej jest coś, co przyciąga wzrok, to moim zdecydowanym faworytem jest model dwutonowy, ze srebrną górą. Jak dodamy jeszcze do kompletu 21-calowe całe czarne felgi, to jesteśmy w domu (ale dwukolorowa alternatywa dla kół również przyciąga oko, co jest u mnie rzadkością). Nowy uśmiech na przednim zderzaku również zdobył moje uznanie.

O ile jestem ogromnym fanem jasnego wnętrza ID Buzza Pro, które powoduje, że mamy wrażenie niemalże nieskończonej przestrzeni, to czarne wnętrze ma coś w sobie, szczególnie gdy spojrzymy na nowe fotele z czerwonymi przeszyciami i skórzanymi boczками. Jak do tego dodamy ogromny panoramiczny dach, to już nie mam żadnych wątpliwości.

Niecierpliwie czekam na pierwsze jazdy testowe, wrażenia z których w przyszłości znajdziecie tutaj, na łamach iMagazine.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Volvo EX30

– pierwsza jazda

Miałem okazję spędzić sporo godzin za kierownicą dwóch egzemplarzy Volvo EX30, prowadząc te auta w malowniczych rejonach Lombardii i jeziora Lago di Como. O tym ciekawym miejscu opowiadam wam w innym materiale w bieżącym wydaniu iMagazine. Tutaj skupiam się na samochodach.



Nie ukrywam, że Volvo EX30 interesowało mnie od momentu, gdy miałem okazję obejrzeć pojazd na statycznej premierowej prezentacji kilka miesięcy temu. Czy podczas jazdy auto spełnia oczekiwania? Co udało mi się zaobserwować podczas jazdy krętymi drogami wokół jeziora Como?

Zacznę od tego, że nie będę tu powielać słów, które już napisałem o formie i wnętrzu tego auta przy okazji obejrzenia go na wspomnianej statycznej prezentacji. Zainteresowanych odsyłam do [tamtego materiału](#). Auto dalej mi się podoba, a fakt, że jest to obecnie najmniejsze Volvo (EX30 jest nawet mniejszy od nieprodukowanego już modelu V40), nie powinien was wprowadzać w błąd, że mamy tutaj do czynienia z ciasnym pojazdem, bo tak nie jest. Jednak tutaj skupię się na





czymś bardziej istotnym, na odpowiedzi na pytanie: jak to auto jeździ? Udało mi się skorzystać podczas dwudniowego wydarzenia z dwóch wersji napędowych modelu Volvo. Pierwszego dnia miałem okazję pokonać ponad 100 km krętych dróg Lombardii za kierownicą Volvo EX30 Twin Motor Performance w topowej wersji wyposażeniowej Ultra. Podpowiem, że na zdjęciach to ten model w kolorze żółtym (nazwa lakieru to Moss Yellow). Drugiego dnia z kolei podobny dystans po malowniczych szlakach wokół jeziora Lago di Como udało mi się pokonać za kierownicą Volvo EX30 Single Motor Extended Range, również w topowej wersji Ultra. To z kolei auto, które na zdjęciach może wyglądać na białe, choć de facto nazwa lakieru to Cloud Blue, i faktycznie jest on z delikatną nutą pastelowego odcienia bładoniebieskiego koloru. OK, to po kolei.



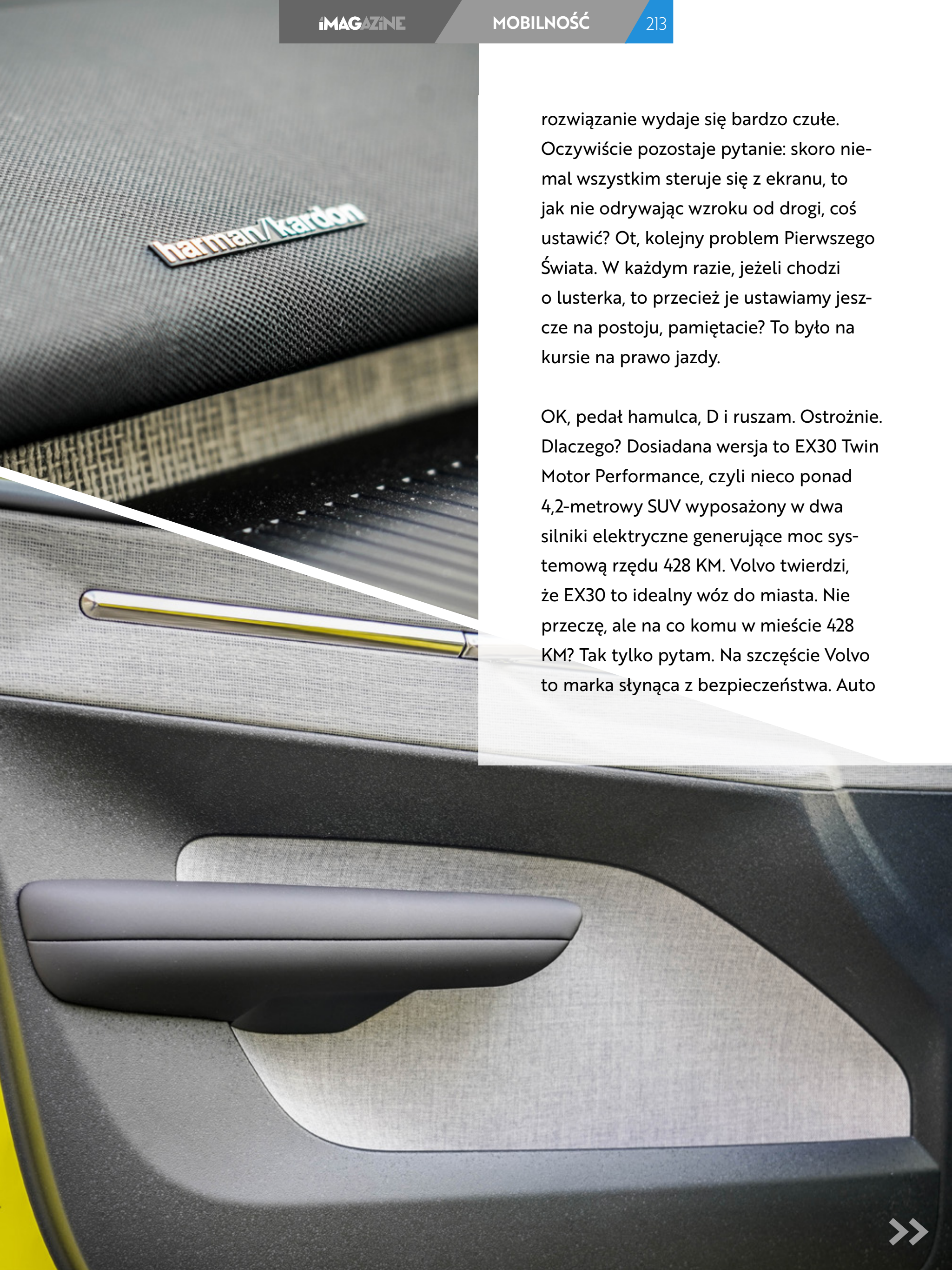
Zacznę od tego, że to auto nie ma normalnego kluczyka. Pamiętacie monolit z „Odysei Kosmicznej 2001” Stanleya Kubricka? Mniej więcej tak wygląda kluczyk do Volvo EX30, oczywiście w wersji znacząco zminiaturyzowanej. Mieszczący się w dłoni czarny (piano black) prostopadłościan nie ma żadnych przycisków, niczego. Jedynym elementem wybijającym się z czarnego elementu jest logo marki. Jak zatem otwiera się nowe Volvo EX30? Po prostu podchodzisz do auta i ono otwiera się samo. Odchodzisz – zamyka się. Wygodne? Tak, ale widzę mankamenty. Jeżeli np. ktoś zapomni czegoś w twoim EX30, nie otworzysz go z odległości kilkunastu metrów, wciskając przycisk na pilocie, co zrobiłbyś w każdym innym aucie, bo tu przycisków nie ma. Musisz dać tej osobie kluczyk albo samodzielnie wrócić do auta. Problemy Pierwszego Świata? Owszem, ale jest rozwiązanie. Jeżeli jesteś właścicielem EX30, funkcje klasycznych kluczyków możesz mieć w aplikacji mobilnej. Przynajmniej teoretycznie, bo podczas jazd nie korzystaliśmy z aplikacji, a na pokładach testowych aut nie mieliśmy założonych własnych profili kierowców, więc nie miałem okazji tego sprawdzić w praktyce. Sprawdzę to w przyszłych, dłuższych testach tego modelu.





OK, auto otwarte, wsiadam. Start? Nie ma czegoś takiego. Nigdzie nie trzeba przykładać tego quasi-kluczyka (jak np. karty w Tesli), nie ma też żadnego przycisku Start. Po prostu naciskasz pedał hamulca i manetką przy kierownicy wybierasz kierunek jazdy (wiecie: D do przodu, R – do tyłu). Tryb Park? Też jest, trzeba wcisnąć przycisk P na wierzchu wspomnianej manetki. Po drugiej (lewej) stronie kolumny kierownicy jest też manetka: kierunkowskazy i światła drogowe. Z tej samej manetki kontrolujemy wycieraczki (zarówno przednie, jak i tylną). Przygotowanie do jazdy obejmuje też regulację lusterek. Zwyczajowe sięganie do manipulatorów w bocznych drzwiach tu nie pomoże. W bocznych drzwiach niczego takiego nie znajdziecie. Jak zatem wyregulować boczne lusterka, sterowane elektronicznie? Jak w Tesli – z ekranu. Problem? Niekoniecznie, lusterek nie przestawia się często. Ustawiasz pod siebie i zapominasz. Zakładam, że przy możliwości zakładania profilu dla każdego kierowcy każdy może ustawić lusterka pod siebie i podczas wsiadania czy logowania się do pokładowego systemu auto ustawi wcześniej zadane nastawy, tak jak trzeba. Tego jednak nie mogłem sprawdzić w praktyce, bo – jak wspomniałem – podczas testów nie ustawialiśmy profili kierowców. Aha, lepiej nie ustawiać lusterek w trakcie jazdy. Kierowca jest tu monitorowany za pomocą sensorów umieszczonych na kolumnie kierownicy. Jeżeli odwróci wzrok od drogi, to po kilku sekundach system upomina go stosownym komunikatem i to

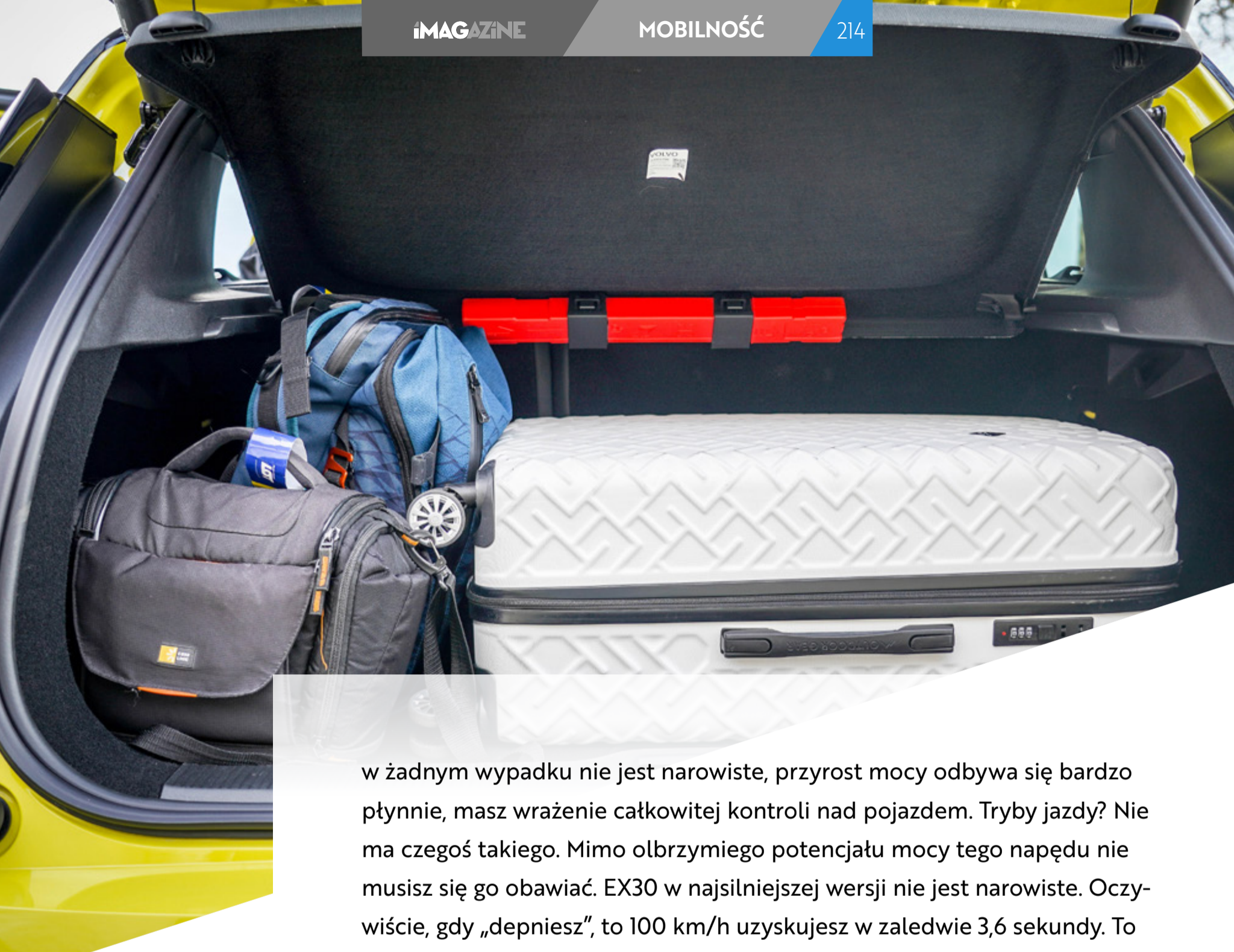




rozwiązanie wydaje się bardzo czułe. Oczywiście pozostaje pytanie: skoro niemal wszystkim steruje się z ekranu, to jak nie odrywając wzroku od drogi, coś ustawić? Ot, kolejny problem Pierwszego Świata. W każdym razie, jeżeli chodzi o lusterka, to przecież je ustawiamy jeszcze na postoju, pamiętacie? To było na kursie na prawo jazdy.

OK, pedał hamulca, D i ruszam. Ostrożnie. Dlaczego? Dosiadana wersja to EX30 Twin Motor Performance, czyli nieco ponad 4,2-metrowy SUV wyposażony w dwa silniki elektryczne generujące moc systemową rzędu 428 KM. Volvo twierdzi, że EX30 to idealny wóz do miasta. Nie przeczę, ale na co komu w mieście 428 KM? Tak tylko pytam. Na szczęście Volvo to marka słynąca z bezpieczeństwa. Auto





w żadnym wypadku nie jest narowiste, przyrost mocy odbywa się bardzo płynnie, masz wrażenie całkowitej kontroli nad pojazdem. Tryby jazdy? Nie ma czegoś takiego. Mimo olbrzymiego potencjału mocy tego napędu nie musisz się go obawiać. EX30 w najsilniejszej wersji nie jest narowiste. Oczywiście, gdy „depniesz”, to 100 km/h uzyskujesz w zaledwie 3,6 sekundy. To poziom supersamochodów. Albo szybszych wersji Tesli. Raz, dwa razy ci się spodoba. Później błędnie woła, że ma dosyć i straszy zwróceniem lunchu. Uspokój się – myślę. To w końcu Volvo, trzeba jeździć bezpiecznie, tym bardziej po ultrawąskich włoskich drogach, gdzie jeździ się dostownie „na żyletki”. Dobrze, że EX30 nie jest większe.

Pozornie takie przyśpieszenie to fanaberia. Też tak myślałem, gdyby nie jedna sytuacja. Jadę sobie spokojnie, pilnuję ograniczeń (fotoradarów w Lombardii jest mnóstwo), wjeżdżam w jedno z licznych miasteczek na trasie, ograniczenie do 30 km/h. Jadę postusznie z tą prędkością, a za mną zbliża się biała „gelenda” na dodatek ze znaczkiem AMG. Słyszę pomruk groźnego V8, wyrażający zniecierpliwienie włoskiego kierowcy. Przez chwilę jedzie za mną, wyprzedzić nawet nie próbuje, bo nie ma na to miejsca („na żyletki”, pamiętacie?). Mija kilkanaście sekund, kierowcy z „gelendy” puszcza nerwy i głośnym trąbieniem wyraża swoją dezaprobatę. Tak, nie tylko w Polsce rosną buraki. Przypomnę: nie tamuję ruchu, jadę z maksymalną



legalną prędkością na danym odcinku. Nic zatem sobie nie robię z trąbienia włoskiego „gelendziarza”. Kilka chwil później miasteczko się kończy, limit prędkości zwiększa się chwilowo do 90 km/h. Na krótko, bo za chwilę kolejne malownicze włoskie miasteczko. Jednak tyle wystarczy, bym wdepnął gaz w podłogę. Volvo EX30 Twin Motor Performance wystrzeliwuje do przodu, oddalający się ode mnie dźwięk V8 z tyłu informuje, że włoski „gelendziarz” zrobił to samo. Po ok. 2 sekundach jadę już 90 km/h. Wielkie AMG mnie oczywiście dogania, ale wiecie co? Już więcej nie zatrąbił. Takie jest Volvo EX30 Twin Motor Performance.

Funkcjonalnego, niedużego, elektrycznego SUV-a z tak mocnym napędem można mieć już za 211 150 zł (po uwzględnieniu 18 750 zł dopłaty z programu „Mój Elektryk” dla osób fizycznych lub firm) lub nawet za 202 900 zł, gdy macie Kartę Dużej Rodziny lub, jako firma, zadeklarujecie średnioroczny przebieg nie niższy niż 15 000 km. Egzemplarz dwusilnikowej wersji, którą dysponowałem, wyspecyfikowany był na kwotę 259 400 zł, ale to kwota nie uwzględniająca rządowych dopłat, za to uwzględniająca płatne opcje, takie jak np. wnętrze Mist (tweedowa szara tapicerka, ładna), opcjonalny żółty lakier, opcjonalne 20-calowe felgi (nie wyglądają na zbyt duże, mimo gabarytów pojazdu), podgrzewanie przednich foteli i kierownicy czy przyciemnione





tylne szyby. Charakterystyczne nagłośnienie w postaci ciągnącego się przez całą szerokość deski rozdzielczej soundbaru Harman Kardon mamy w standardzie. Niby nie ma głośników w bocznych drzwiach, ale rozwiązanie to gra zaskakująco dobrze! Choć, będę szczery, nie tak dobrze jak Bowers & Wilkins w wyżej pozycjonowanych modelach szwedzkiej marki.

A jak z zużyciem energii? Dwusilnikowa wersja EX30 wyposażona jest w baterię o pojemności użytecznej 64 kWh, co według danych homologacyjnych ma wystarczyć na 480 km zasięgu. Ja podczas jazdy uzyskałem średnią 21,5 kWh/100 km, co oznaczałoby realnie możliwość pokonania ok. 300 km pomiędzy ładowaniami.

Drugi egzemplarz Volvo EX30 to słabsza, jednosilnikowa wersja. Jednak uwaga, słabsza, absolutnie nie oznacza, że słaba! W tym przypadku mamy do czynienia z napędem jednosilnikowym (napędzana jest oś tylna) o mocy 272 KM. Niemało, prawda? I to naprawdę czuć. W istocie słabsza wersja jest w zupełności wystarczająca i obstawiam, że to ona będzie pierwszym wyborem klientów zainteresowanych tym modelem. Dynamika jest więcej niż wystarczająca, bo, umówmy się, mało kto potrzebuje od niedużego, rodzinnego SUV-a osiągnięcia 100 km/h w czasie krótszym niż 5,3 sekundy, a tyle właśnie potrzebuje słabszy EX30.



Wrażenia z jazdy wersją jednosilnikową są zaskakująco podobne do tych, jakich doświadczałem, jeżdżąc wersją mocniejszą. Oczywiście poza różnicą odczuwalną, gdy wciśniemy gaz do oporu (błądźnik!). Niemniej podczas normalnej jazdy po drogach utwardzonych obie wersje prowadzą się pewnie i przewidywalnie. Także na wąskich i krętych górskich drogach Lombardii. Wymagających uwagi od kierowcy, ale auto nie wymagało dodatkowej koncentracji. Układ napędowy obu wersji jest niezwykle responsywny, hamulce i praca zawieszenia (z przodu klasyczny McPherson, z tyłu układ wielowahaczowy) również nie budzi wątpliwości. Czy są jakieś minusy? Owszem. Choć iPhone'a sparowałem z pokładowym systemem bez problemu, to w przeciwieństwie do pozostałych Volvo z systemem opartym na Android Automotive OS, w EX30 nie ma Apple CarPlay. Tempomat, a w zasadzie grupa asystentów pod nazwą Pilot Assist, jest dostępna z ekranu multimedialnego. Oprócz tego jest też limiter prędkości, który z kolei aktywujemy dźwignią do zmiany „biegów” poprzez ponowne wybranie pozycji D. Dla mnie wygodniejszym rozwiązaniem byłoby odwrócenie tych funkcji: limiter z ekranu, a tempomat za pomocą dźwigni. Oczywiście te uwagi dotyczą obu wersji napędowych.

A jak z zużyciem energii w wersji jednosilnikowej? Było zauważalnie niższe. Trasa co prawda była inna niż pierwszego dnia, ale charakterystyka





podobna, bo i rejon, i klimat włoskich uliczek pozostał niezmienny. Średnia, jaką uzyskałem, to 18,7 kWh/100 km. Jednosilnikowa wersja Extended Range ma ten sam akumulator (64 kWh pojemności użytecznej), co wersja Twin Performance. Taki sam jest też deklarowany zasięg wg WLTP (480 km). Przy uzyskanym przeze mnie zużyciu oznaczałoby to zdolność pokonania ok. 342 km na jednym ładowaniu.

Cena? Jednosilnikowa wersja Volvo EX30 w bazowej konfiguracji z mniejszym akumulatorem (51 kWh netto), ale z tą samą mocą silnika (choć nieco gorszą dynamiką: 5,7 s czas 0–100 km/h) startuje od 169 900 zł, bez uwzględnienia rządowych dopłat. Z maksymalną dopłatą wychodzi 142 900 zł. De facto ten model nie ma obecnie na rynku konkurencji. Owszem, wersja Extended Range jest droższa, bo w topowej wersji Ultra (z takiej korzystałem), startuje od 194 900 zł. Bładobłękitny egzemplarz widoczny na zdjęciach był jeszcze wyposażony w opcje, takie jak lakier, wnętrze w stylu Breeze (wolę Mist z poprzedniego egzemplarza), 20-calowe felgi, podgrzewane fotele i kierownica czy przyciemniane szyby. Egzemplarz, którym się poruszałem, wyceniono na kwotę 237 400 zł (bez uwzględnienia rządowych dopłat).

Wnioski? Spodziewałem się przyjemnego w prowadzeniu i naprawdę dynamicznego, zgrabnego SUV-a. I tym w istocie Volvo EX30 jest. Owszem,



niektórzy mogą narzekać na ograniczenia ergonomii wynikające z realizowania wielu funkcji za pośrednictwem ekranu dotykowego. Jeszcze innym może przeszkadzać brak jakiegokolwiek ekranu przed kierowcą czy choćby wyświetlacza head-up display. W pierwszym odruchu brak tzw. zegarów może irytować, ale z każdym kilometrem pokonanym w tym samochodzie po prostu przestajesz na to zwracać uwagę. Jednak w naszej redakcji jest ktoś, kto już w ciemno zamówił ten model, nawet w nim nie siedząc i już odebrał swój egzemplarz. Generalnie auto nie zawiodło oczekiwań z wyjątkiem softu, który podobno jest okrojony (chodzi o apkę mobilną) w stosunku do pozostałych modeli Volvo, a system na pokładzie nie tylko nie ma Apple CarPlay (co również stwierdziłem), ale też potrafi sam z siebie zmieniać język interfejsu albo parować się z telefonem wyłącznie na rozmowy telefoniczne lub tylko na multimedia. Ja się z takimi problemami podczas pierwszych jazd nie spotkałem, ale na dłuższe sprawdzenie oprogramowania muszę poczekać, aż otrzymam ten egzemplarz na dłuższe testy, co nastąpi w ciągu kilku tygodni.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Range Rover Sport – arystokrata

Ten luksusowy SUV godnie daje odpór niemieckiej konkurencji. Monolityczna forma, nienaganna elegancja brytyjskiego arystokraty, prezencja godna dworu królewskiego, a przy tym wysoka praktyczność, niezłe osiągi, kompetencje poza asfaltem i świetne prowadzenie. Co w nazwie tego potężnego SUV-a robi słowo Sport?



W tym samochodzie może oznaczać czas na partyjkę krykieta w ogrodach Pałacu Buckingham, ale jeżeli wolisz MMA, to w tym wozie respekt masz w standardzie.

Do naszej redakcji trafił Range Rover Sport w nie najwyższej wersji wyposażenia (ta nazywa się Autobiography) Dynamic SE, co jednak wcale nie ujmuje temu pojazdowi splendoru ani nie umniejsza komfortu, jaki zapewnia on kierowcy i pasażerom. Słowo Sport w istocie odróżnia tego luksusowego SUV-a od większego kuzyna, topowego Range Rovera. Mniejszy nie oznacza jednak mały. W istocie testowany samochód mierzy niemal 5 metrów, co stawia go na tej samej półce co takie SUV-y premium jak Mercedes GLE, Volvo XC90, BMW X5, Audi Q8 itp. Pod wieloma względami propozycja brytyjskiej marki okazuje się lepsza. Nie chodzi tylko o subiektywne odczucia, ale też o liczby. Range Rover Sport przy swoich potężnych gabarytach okazuje się pojazdem, który niespecjalnie obawia się zjazdu z utwardzonych szlaków. Napęd oczywiście na obie osie, ale to ma też konkurencja. Gdy jednak porównamy kąty natarcia, zejścia (sięgające w RRS 30 stopni), kąt rampowy czy deklarowaną głębokość brodzenia (do 900 mm w testowanym wozie), to pozostali konkurenci... raczej grzecznie popatrzą na offroadowe wyczyny Range Rovera, stojąc na autostradzie.





Jednak żebyśmy się dobrze zrozumieli... Kwintesencją tego wozu jest komfort, a nie kompetencje offroadowe. Owszem, Range Rover Sport przebija konkurencję w tym temacie, ale też nie jest w pełni rasową terenówką. W moim egzemplarzu była co prawda jednostopniowa skrzynka rozdzielcza, ale bez reduktora, był też system All Terrain Progress Control, który po prostu ułatwia kierowcy pokonywanie trudniejszych dróg automatycznie, utrzymując np. prędkość podczas terenowej jazdy. Coś jak tempomat terenowy, działający przy niskich prędkościach.

Wspomniałem o komforcie, tego mamy tutaj naprawdę mnóstwo. Monolityczna bryła i charakterystyczny, surowy design nadwozia budzą respekt na drodze, co czyni z Range Rovera Sport również idealnego SUV-a na bulwary. W testowanym egzemplarzu dysponowałem kołami w rozmiarze 21 cali, dzięki czemu opony miały dość wysoki profil (50), co dodatkowo poprawia komfort podczas jazdy. Jednak w tym samochodzie nawet 23-calowe koła (możesz takie zamówić) nie wyglądają na zbyt duże. Ten wygląd nie zestarzeje się. Najnowsza wersja RRS zadebiutowała niedawno, bo w 2022 roku, ale to auto będzie równie świetnie się prezentować i za 10 lat.

Ze względu na szerokość przekraczającą dwa metry (RRS jest szerszy od Audi Q8, BMW X5, Volvo XC90 czy Mercedesa GLE) manewrowanie tym



autem na wąskich uliczkach wymaga wprawy. Owszem, na pokładzie mamy świetnej jakości kamery 360° z różnymi trybami widoku na pojazd podczas manewrów, ale gabaryty pozostają gabarytami. Jednocześnie przy rozstawie osi sięgającym trzy metry Range Rover Sport okazuje się autem minimalnie zwinniejszym od takiego np. BMW X5. Zwinniejszym w tym sensie, że jesteś w stanie zawrócić w okręgu o średnicy 10 cm mniejszej niż w przypadku bawarskiego SUV-a. Patrząc z zewnątrz na auto brytyjskiej marki, można być zaskoczonym.

Wnętrze rozpieszcza, może nie tyle przesadnym przepychem, ile raczej nienaganną elegancją. Podchodzisz do auta z kluczykiem, z drzwi wysuwają się spore klamki. Łapię za tę od drzwi kierowcy, zdecydowanie pociągam i uchylam wrota do świetnie wykończonego wnętrza. Nie trzeba ich zatrząskiwać, mechanizm automatycznego dociągania zadba o ich należyte domknięcie. Zasiadam w nienagannie tapicerowanym perforowaną skórą Windsor w kolorze Light Cloud/Ebony fotelu kierowcy. Jest regulowany w 20 kierunkach, oczywiście elektronicznie. Jest też naturalnie pamięć





ustawień, jak i wentylacja czy podgrzewanie siedzisk z przodu. Przy czym częściową regulację zapewniają fizyczne manipulatory, ale już takie detale jak przesunięcie wzdłużne zagłówka, pompowanie boczaków, zarówno oparcia, jak i siedziska czy wysuwane podparcie podudzi ustawiamy już za pośrednictwem ekranu multimedialnego w pokładowym systemie Pivi Pro. Aha, fotele z tyłu również są podgrzewane i mają elektrycznie regulowany kąt oparcia.

Kokpit to esencja minimalizmu, ale to minimalizm w najlepszym guście. Świetne materiały, doskonałe spasowanie, topowa jakość. W najnowszym Range Roverze Sport są dwa ekrany, ten z wirtualnymi zegarami przed kierowcą (bardzo czytelny, z kilkoma motywami danych do wyboru, także z mapą nawigacji) oraz spory, 13,1-calowy ekran multimedialny z chwalonym już przeze mnie systemem Pivi Pro. Niemniej, choć oprogramowanie jest jednocześnie funkcjonalne i intuicyjne, a działanie systemu płynne i bez zacięć, to fakt wyrugowania z kokpitu jakichkolwiek fizycznych przycisków (np. do sterowania klimatyzacją) uważam za przesadne uproszczenie, degradujące poziom skoncentrowania kierowcy na drodze. Chcesz zmienić temperaturę? Da się to zrobić łatwo, bez sięgania do jakiegokolwiek menu, wystarczy przesunąć widoczny stale na ekranie wskaźnik temperatury, czy to po stronie kierowcy, czy pasażera, i przesunąć palec w górę lub w dół.



Ale jednak trzeba sięgnąć do ekranu, spojrzeć na niego, bo na ślepo raczej w temperaturę nie trafisz, a przynajmniej nie od razu. W testowanej wersji Dynamic SE nie dysponowałem trzecią strefą klimatyzacji, pasażerowie kanapy muszą zadowolić się regulacją nawiewów.

Wersja Sport jest co prawda krótsza od topowego Range Rovera, ale to wcale nie oznacza braku przestrzeni na bagaże. Według danych technicznych bagażnik testowanego egzemplarza mieści konkretne 765 litrów (wg normy VDA). To znowu więcej niż konkurencja (np. BMW X5 oferuje 650 litrów). Na dodatek przestrzeń na pakunki jest bardzo foremna, oparcia kanapy można elektrycznie złożyć z bagażnika, są siateczki, podnoszona podłoga, opuszczane pneumatyczne zawieszenie ułatwiające załadunek. W razie większych potrzeb dach wozu udźwignie 100 kg. Range Rover Sport może również holować przyczepę o masie do 3,5 tony. Umówmy się, nieważne, czy chcesz wieźć walizki, czy holować łódź – to auto da radę.

Skoro da radę, to może kilka słów o napędzie. Pod maską silnik z autorskiej serii Ingenium, w wersji wysokoprężnej. 3 litry pojemności, 6 cylindrów,

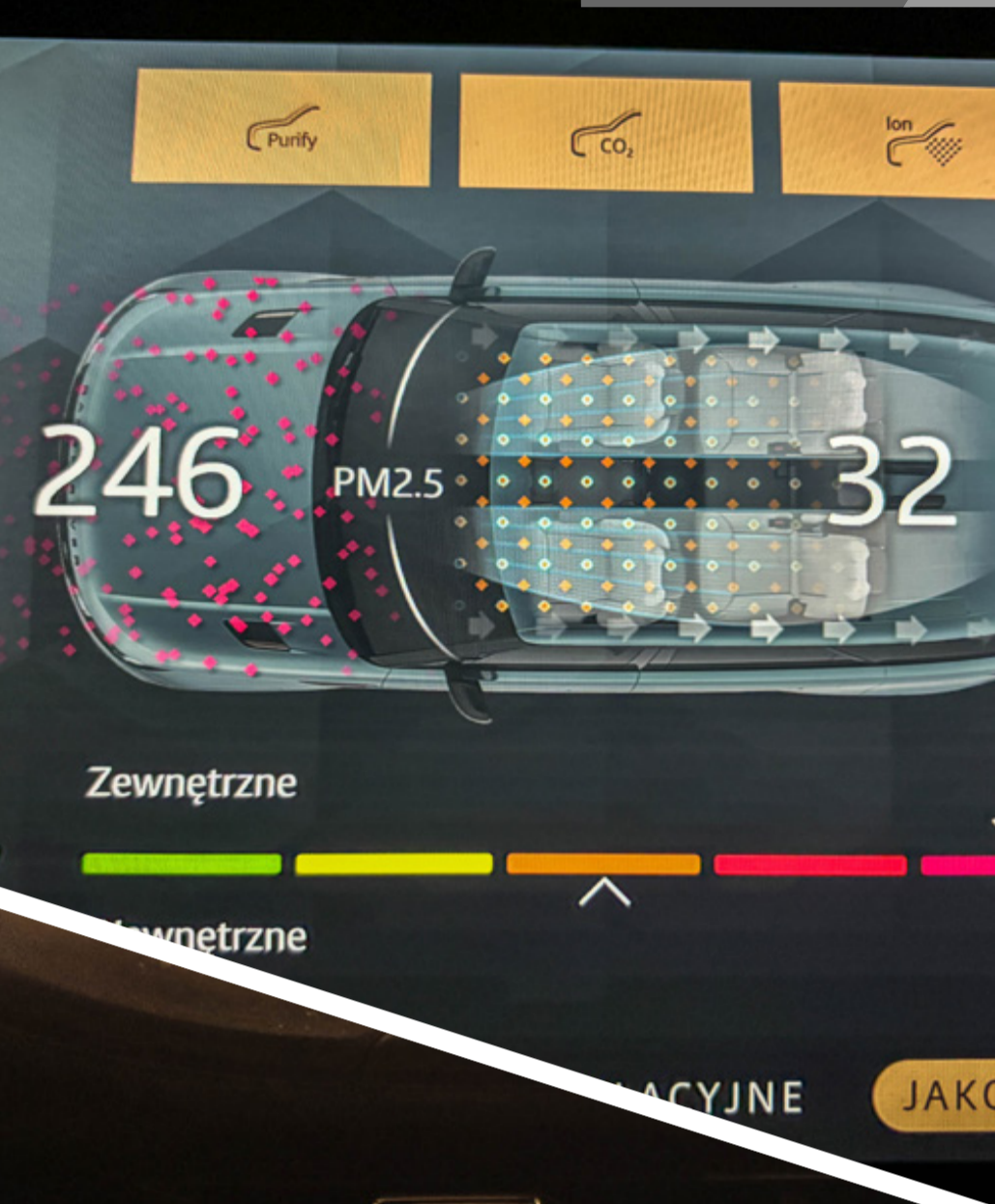




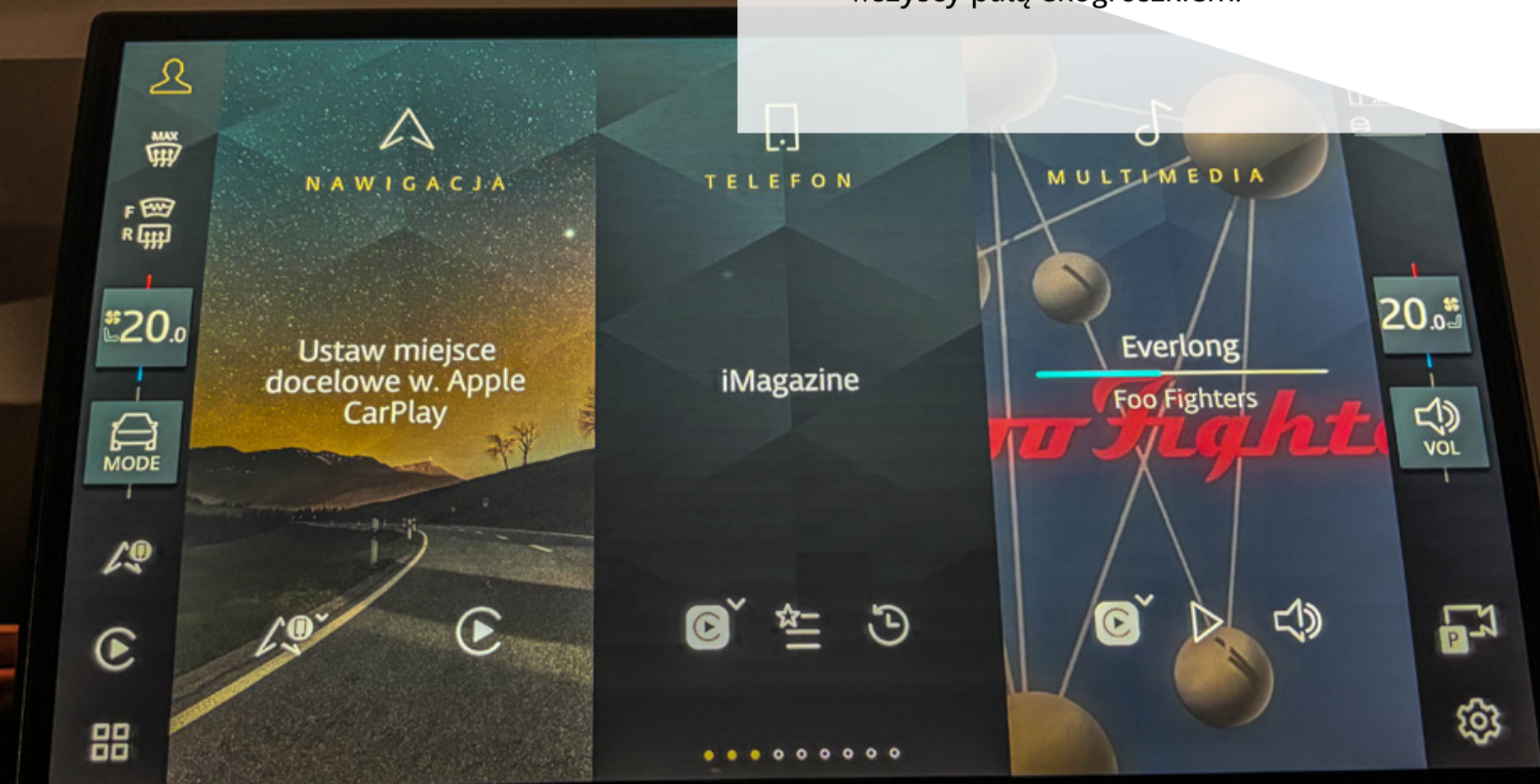
wtrysk common rail, turbosprężarka. Efekt? Do 300 KM mocy i bardzo konkretne 650 Nm momentu obrotowego, uzyskiwanego już od 1500 obr./min. Elastyczność tej jednostki nie budzi najmniejszych zastrzeżeń. Dynamika? Pierwsze 100 km/h ten ważący (z kierowcą) niemal 2,4 tony potężny SUV osiąga po 6,6 sekundach. Robi to płynnie, z głębokim, pieszczącym uszy pomrukiem, bez cienia agresji. Majestatycznie. Katalogowa prędkość maksymalna to 218 km/h. Umówmy się, wystarczy. Tym bardziej że nie widzę wyprowadzania tego wozu na tor wyścigowy. To nie jego świat.

Tu bardziej liczy się to, jak doskonale ten wóz izoluje od otoczenia. Już bezpośrednio po wejściu odczuwasz różnicę. Zamknięcie automatycznie domykanych drzwi i... dźwięki miasta zostają gdzieś daleko. Uruchamiasz silnik, lekki pomruk,





bez żadnego dygotania (choć to diesel) to sygnał: Range Rover daje znać: „jestem gotowy”. 50 kilometrów dalej na autostradzie majestatycznie sunący z maksymalną, legalną prędkością SUV rozpieszcza mnie i pasażerów komfortem, do uszu wpada delikatna muzyka płynąca z wcale nie topowego w gamie systemu audio Meridian (da się zamówić jeszcze bardziej wyrafinowane audio), a pneumatyczne zawieszenie doskonale radzi sobie z typowo drogowymi przeszkodami. To auto izoluje również od zanieczyszczeń. System klimatyzacji w testowanym egzemplarzu wyposażony był w funkcję analizy jakości powietrza z jego oczyszczaniem i jonizacją. Poszczególne funkcje można wedle potrzeb aktywować. Doskonale się to przydaje, gdy przejeżdżamy przez wioskę, w której nie wszyscy palą ekogroszkiem.





Kiedy w **grudniowym wydaniu iMagazine z ubiegłego roku** przedstawiałem wam Range Rover Velar w topowej wersji Autobiography, to już wówczas zwracałem uwagę na doskonały komfort. Jednak Range Rover Sport to jest jeszcze wyższa liga.

A jak ze spalaniem? Według danych homologacyjnych auto powinno zadowolić się zużyciem oleju napędowego w cyklu mieszanym WLTP na poziomie od 7,4 l/100 km. Zbiornik paliwa mieści 80 litrów, oznaczałoby to zasięg ponad 1000 km. Ja po przejechaniu 509 km uzyskałem średnią 8,1 l/100 km. Biorąc pod uwagę całokształt, uważam to za doskonały wynik.

Range Rover Sport to auto nie tylko luksusowe, majestatyczne i bajecznie wręcz komfortowe, ale również nowoczesne. Na pokładzie mamy całą armię asystentów kierowcy czy zdalną kontrolę za pomocą smartfona (aplikacja Land Rover InControl). O dookólnym systemie obserwacji z różnymi widokami już wspominałem, jest też oczywiście tempomat adaptacyjny, a także obowiązkowy system ISA (Intelligent Speed Assistant) wymuszony przez unijną legislaturę. Jest automatyczne hamowanie awaryjne, wykrywanie przeszkód podczas cofania (również z hamowaniem), adaptacyjne prowadzenie po pasie ruchu i wiele więcej. Jeżeli chodzi o irytujący raczej



system ISA (ten obowiązkowy w nowych pojazdach), to podpowiem: da się go wyłączyć, choć trzeba to robić po każdym uruchomieniu auta. Jednak tak jest w każdym modelu wyposażonym w to obowiązkowe rozwiązanie. Oczywiście Apple CarPlay i Android Auto jest, działa bezprzewodowo.

W aktualnym cenniku Range Rover Sport startuje od kwoty 493 100 zł, za wersję również z trzylitrowym, ale słabszym (250 KM) dieslem pod maską. Chcąc dysponować tym samym silnikiem, który był w egzemplarzu testowym, należy wydać co najmniej 512 900 zł. Wersja wyposażeniowa Dynamic SE (taka jak testowany egzemplarz) podnosi próg cenowy do poziomu 530 800 zł. Użyczone przez Inchape JLR Poland sp. z o.o. (dziękujemy) auto było jeszcze dodatkowo doposażone m.in. w olbrzymi dach panoramiczny z elektrycznie odsuwaną roletą, pakiet black exterior (więcej czerni w nadwoziu), elektryczny hak holowniczy, system domykania drzwi, mięciutkie dywaniki premium Bespoke i wiele innych bajerów. Finalnie egzemplarz, który widzicie na moich zdjęciach (przy okazji, dziękuję Sony Polska za użyczenie Sony Alpha A7 III + szkło SEL24105G) wyceniono na kwotę 583 970 zł.

Range Rover Sport D300 AWD Auto Dynamic SE



- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 5,5/6
- Oprogramowanie: 6/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- Doskonała, ponadczasowa stylistyka nadwozia
- Doskonały układ zawieszenia i elastyczny napęd
- Bardzo wysoki komfort podróży bez względu na rodzaj drogi
- Przyzwoita ekonomia podczas spokojnej jazdy
- Bardzo dobre wyciszenie
- Świetne multimedia, wysoki poziom cyfryzacji

- Minusy:

- Przesadne wyrugowanie fizycznych przełączników z kokpitu





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Škoda Enyaq iV 80 Maxx Electric Clever

Škoda to bardzo popularna i lubiana w Polsce marka, aktualny wicelider polskiego rynku, jeżeli chodzi o sprzedaż nowych aut osobowych. Jednak dotychczas na naszych łamach nie mieliśmy okazji prezentować wam jej aut. Czas to nadrobić i od razu modelem z górnej półki w portfolio producenta z Mladá Boleslav.





Autem, z którego miałem okazję korzystać, jest sporych rozmiarów SUV z elektrycznym napędem w bogatej wersji wyposażeniowej: Škoda Enyaq iV 80 Maxx. To samochód od podstaw zaprojektowany pod kątem wykorzystywania napędu elektrycznego, tym samym od strony technologicznej jest pozbawiony kompromisów spotykanych w przypadku modeli, które oferowane są w wersji zarówno elektrycznej, jak i spalinowej. Od strony technicznej auto powstało na platformie MEB grupy VW AG, tej samej, którą wykorzystują też takie modele jak cała seria VW. ID, Audi Q4 e-tron, VW ID. Buzz, VW ID.7 czy Cupra Born. Zresztą, z tych samych technologicznych fundamentów korzystać będzie również nowy Ford Explorer EV, który w tym roku powinien pojawić się na polskich drogach. Pamiętajmy jednak, że platforma konstrukcyjna, choć definiuje technologiczny potencjał danego auta, nie stanowi o samym modelu. Fakt, że wiele modeli korzysta z tego samego fundamentu, nie oznacza, że wszystkie one jeżdżą tak samo. Oczywiście pierwszym elementem, który pozwala danej marce wyróżnić się spośród innych aut, jest design. Škoda może się podobać, to kwestia gustu, ale jedno trzeba projektantom przyznać: Enyaq nie zrywa z charakterystycznym wzornictwem tej marki. W przeciwieństwie np. do serii ID Volkswagena elektryczny Enyaq stylistycznie jest bardziej powiązany z całą gamą modelową. Doskonale widać to już na pierwszy rzut oka. Enyaq zachowuje charakterystyczny dla modeli Škody





styl, pełen ostrzejszych linii, wyraźniejszych przetłoczeń. Pas przedni również doskonale pokazuje, z jaką marką mamy do czynienia, tak samo jak charakterystyczne matrycowe LED-y Škoda Crystal LED, nakreślone tak, jakby wyróżniło je z jednego bloku kryształu. W testowanym egzemplarzu imitacja grilla była na dodatek podświetlana, co sprawia, że auto nocą się po prostu wyróżnia. Osobiście bardziej wolę ostrzejsze przetłoczenia i kanty Enyaq niż obłości w VW ID.4.

Enyaq w pełni zasługuje na miano rodzinnego SUV-a, auto jest nieco dłuższe i szersze od VW ID.4, rozstaw osi w obu modelach przekracza 2,7 metra, a to właśnie ten parametr decyduje o przestrzeni w kabinie pasażerskiej. Tej nie zabraknie nikomu. Wnętrze również może się





podobać, osobiście nie przepadam za brązowymi skórami (w tym przypadku jest to skóra ekologiczna, co podkreślono nawet specjalną, ładnie przyszytą wszywką na rancie fotela), ale doceniam całość. To spójny wizualnie, wpadający w oko projekt eleganckiego wnętrza. Same fotele mają elektryczne nastawy z pamięcią ustawień i pozwalają dopasować siedziska w szerokim zakresie. Nie zabrakło wentylacji i ogrzewania. Jest nawet masaż, szkoda, że tylko dla kierowcy. Pikowana, perforowana ekoskóra na fotelach trafiła również do innych elementów. Miętko obszyto także zewnętrzne brzozy tunelu środkowego czy deskę rozdzielczą bezpośrednio przed pasażerem z przodu. Dodajmy do tego ładne, jasne prześwity, zgrabne sterowanie, radetkowane pokręta i fizyczne przyciski na ramionach wielofunkcyjnej kierownicy, dużych rozmiarów (12") ekran multimedialny o dobrej jakości obrazu i niezłej responsywności. Wnętrze jest naprawdę przyjemne, ale nawet w wersji Maxx stanowi opcję o nazwie Eco Suite, kosztującą 9000 zł. Oczywiście twardsze tworzywa też da się odnaleźć w kokpicie i wcale ich nie jest mało, ale umieszczono je znacznie poniżej linii wzroku, tam, gdzie po prostu nie będą psuły naszego zmysłu estetyki. Dodam, że egzemplarz, którym dysponowałem, w momencie odbioru z parku prasowego marki miał przebieg zbliżający się do 20 tys. km. W przypadku aut testowych to sporo. Mimo to, poza drobnymi zagięciami ekoskórki w bocznych fotela kierowcy na wysokości bioder, nie



zaobserwowałem jakichś luzów, przetarć czy innych niedomagań, które sugerowałyby nie najlepszą trwałość całkiem ładnego kokpitu.

Siłą czeskiej marki, za którą wielu klientów pokochało auta z Mladà Boleslav, jest praktyczność. Jak to wygląda w aucie elektrycznym? Bardzo dobrze. Bagażnik mieści konkretne 585 litrów (więcej niż bezpośredni konkurent z Wolfsburga) i jest to funkcjonalnie bardzo dopracowana przestrzeń: są cięgna do składania oparć, rozkładane haczyki na siatki, wnęka na gaśnicę niezaburzająca foremności przestrzeni bagażowej, zgrabna, sztywna torba na kabel Type 2/Mennekes, przelotka na dłuższe przedmioty. Oczywiście nie zabrakło elementów, które wyróżniły czeską markę. W drzwiach kierowcy znalazłem parasolkę, z boku przedniej szyby jest uchwyt na np. bilecik z parkometru, mnóstwo schowków, głębokie kieszenie w drzwiach (flokowane, nic nie będzie grzechotać), miejsca na kubki, regulowany wzdłużnie i na wysokość podłokietnik z przodu, rozkładany podłokietnik z tyłu, gazetowniki w oparciach wraz z mniejszą kieszonką na smartfon czy niewielki tablet, oczywiście gniazdka USB dla każdego, ładowarka indukcyjna. W spalinowych Škodach jest też np. skrobaczka





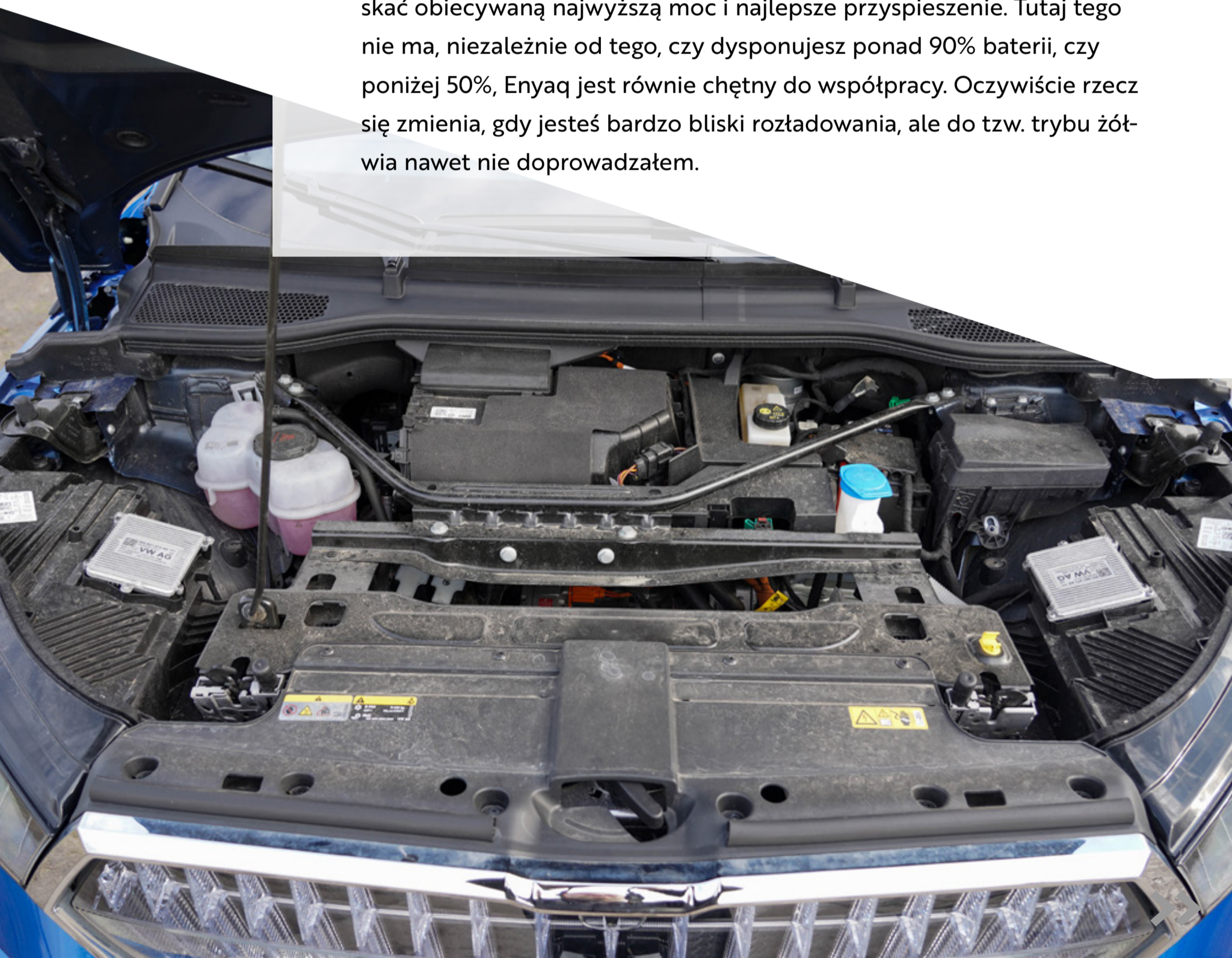
do szyb ukryta po wewnętrznej stronie klapki wlewu paliwa. Tu wlewu paliwa nie ma, ale skrobaczkę zgrabnie ukryto w kieszonce z boku unoszonych elektrycznie (również na machanie nóżką) drzwi bagażnika. Jedyne, czego mi zabrakło w kontekście elektromobilności, to przedni bagażnik na kable. Owszem, wszystkie elegancko mieszczą się nie tylko we wspomnianej torbie, ale i pod uchylną podłogą bagażnika, niemniej, gdy ruszamy w dalszą trasę i mamy załadowany kufer, wyjmowanie walizek na deszczu, by dostać się do kabla... sami rozumiecie.

Jak ten samochód jeździ? Do testów otrzymałem nieoferowaną już w aktualnym cenniku wersję Enyaq 80 Maxx, co oznacza auto wyposażone w jeden silnik elektryczny o mocy 204 KM (150 kW) i 310 Nm momentu obrotowego, przekazywanych na tylną oś. Za dostarczenie energii



w tym egzemplarzu odpowiada akumulator trakcyjny o pojemności użytecznej 77 kWh (brutto: 82 kWh). Wersja Maxx obsługuje szybkie ładowanie z mocą do 125 kW. W praktyce wiele zależy od napotkanej ładowarki. 204 KM to nie jest mało i do auta o rodzinnym charakterze, a z takim mamy tu do czynienia, w zupełności wystarczy. Warto też mieć na uwadze, że pojazd waży z kierowcą ok. 2,1 tony. Dynamika nie jest jakaś powalająca, czas od startu do 100 km/h wynoszący 8,6 sekundy nie czyni z tego samochodu hot SUV-a, ale czy jeżdżąc spokojnie i wożąc najbliższych, potrzebujesz więcej? Niekoniecznie. Prędkość maksymalna jest ograniczona do 160 km/h.

To, co jest warte podkreślenia, to fakt, że dynamika auta nie różni się wyraźnie, niezależnie od stopnia naładowania akumulatora. Dlaczego o tym wspominam? Bo np. Cupra Born, której producent zachwala sportowe konotacje, wymaga spełnienia szeregu warunków, byś mógł uzyskać obiecywaną najwyższą moc i najlepsze przyspieszenie. Tutaj tego nie ma, niezależnie od tego, czy dysponujesz ponad 90% baterii, czy poniżej 50%, Enyaq jest równie chętny do współpracy. Oczywiście rzecz się zmienia, gdy jesteś bardzo bliski rozładowania, ale do tzw. trybu żółwia nawet nie doprowadzałem.





Jak z efektywnością energetyczną i zasięgiem? Auto testowałem przy temperaturach zewnętrznych pomiędzy zerem a ok. 10°C. Mrozów raczej już nie było. Komputer pokładowy w pełni naładowanego auta sugerował mi zasięg 438 km. Producent w danych homologacyjnych chwali się nawet 544 km zasięgu (wg WLTP). W praktyce? Ja uzyskałem na mocno mieszanych trasach średnią 18,5 kWh/100 km, co uważam za niezły wynik przy zastanych warunkach atmosferycznych i temperaturze. Biorąc pod uwagę użyteczną pojemność akumulatora, pozwoliłoby mi to pokonać jakieś 416 km. Nieco mniej niż sugerował komputer na starcie, ale niewiele mniej. Oczywiście, gdy trasą z wyboru będą przede wszystkim autostrady, dobrze pamiętać o przerwach na ładowanie co ok. 300 km.

To, co mi się szczególnie podobało, to inteligentna rekuperacja. Kierowca może co prawda wybrać stopień rekuperacji za pomocą łopatek przy kierownicy, ale moim zdaniem automatyka świetnie zdaje egzamin. Gdy jedziesz płynnie i przed tobą nie ma żadnego pojazdu, odpuścić pedału przyspieszenia oznacza po prostu, że auto płynnie żegluje i nie wytraca prędkości. Zupełnie inaczej to wygląda, jak zbliżasz się np. do pojazdów stojących na skrzyżowaniu albo do ronda czy ostrzejszego





zakrętu (automatyka doboru prędkości uwzględnia nie tylko ograniczenia, ale też topografię trasy). Wówczas Enyaq samodzielnie wytraca prędkość, odzyskując energię. Działa to bardzo intuicyjnie, ten system autentycznie wspiera kierowcę, a nie przeszkadza, nie jest też zależny od tempomatu. Nawet gdy z adaptacyjnego tempomatu nie korzystasz, wciąż możesz używać (warto) inteligentnej rekuperacji. Trzeba jednak pamiętać, że nie jest to one-pedal driving, jak w niektórych innych modelach elektrycznych. Aby wytracić prędkość do zera, hamulec musisz nacisnąć.

Na pokładzie mogłem też dysponować rozbudowanym zestawem cyfrowej asysty kierowcy. Adaptacyjny tempomat jest w stanie automatycznie dostosowywać prędkość nie tylko do poprzedzających nas pojazdów, ale też do konfiguracji trasy (zakręty, rondo) czy rozpoznawanych znaków drogowych. To ostatnie jednak radzę wyłączyć. Naprawdę nie chcesz sytuacji, gdy pojazd zaczyna hamować na autostradzie, bo mylnie rozpoznał ograniczenie do 60 km/h z mijanego właśnie zjazdu. Podobną niespodziankę można mieć np. w Warszawie na al. Niepodległości, gdzie drogowcy ustawili znak ograniczenia do 20 km/h dotyczący wąskiej dróżki parkingowej równoległej do alej. Każdy samochód z rozpoznawaniem znaków notorycznie uznaje, że na drodze głównej obowiązuje tam ograniczenie do 20 km/h.



Sparowanie rozpoznawania z tempomatem oznacza kolejną niespodziankę. Na drodze lepiej niespodzianek unikać.

Niemniej, pomijając te drobiazgi, Škoda Enyaq 80 Maxx to dopracowane, rodzinne auto, funkcjonalne, przestronne, wygodne, nie jest też „dziwne”, co może mieć znaczenie, jeżeli nie jesteście ekstrawertykami. To również udany samochód elektryczny. W aktualnym cenniku najtańsza odmiana tego modelu, czyli Škoda Enyaq 60 (słabszy napęd, mniejszy akumulator, gorsze wyposażenie) startuje od 219 850 zł. Z kolei testowanego wariantu, czyli Enyaq 80, już nie kupimy, zastąpił go wariant Enyaq 85 (większa bateria i mocniejszy napęd). Škoda wyrugowała z cennika również wersję Maxx, ale zamiast tego oferuje bogato wyposażone odmiany Sportline czy Laurin & Klement. W każdym razie testowany egzemplarz, gdy był nowy, wyceniono na kwotę 316 700 zł. Dużo. I to, podejrzewam, jest największa bariera w przypadku tego auta.



Škoda Enyaq iV 80 Maxx



- Design: 4,5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 4,5/6
- Wydajność: 4/6

+ Plusy:

- Mnóstwo sprytnych drobiazgów składających się na udane rodzinne auto
- Przyzwoita efektywność energetyczna
- Intuicyjnie działająca inteligentna rekuperacja
- Przestronne i funkcjonalne wnętrze

- Minusy:

- Masaż tylko dla kierowcy
- Automatyka rozpoznawania znaków potrafi się pomylić



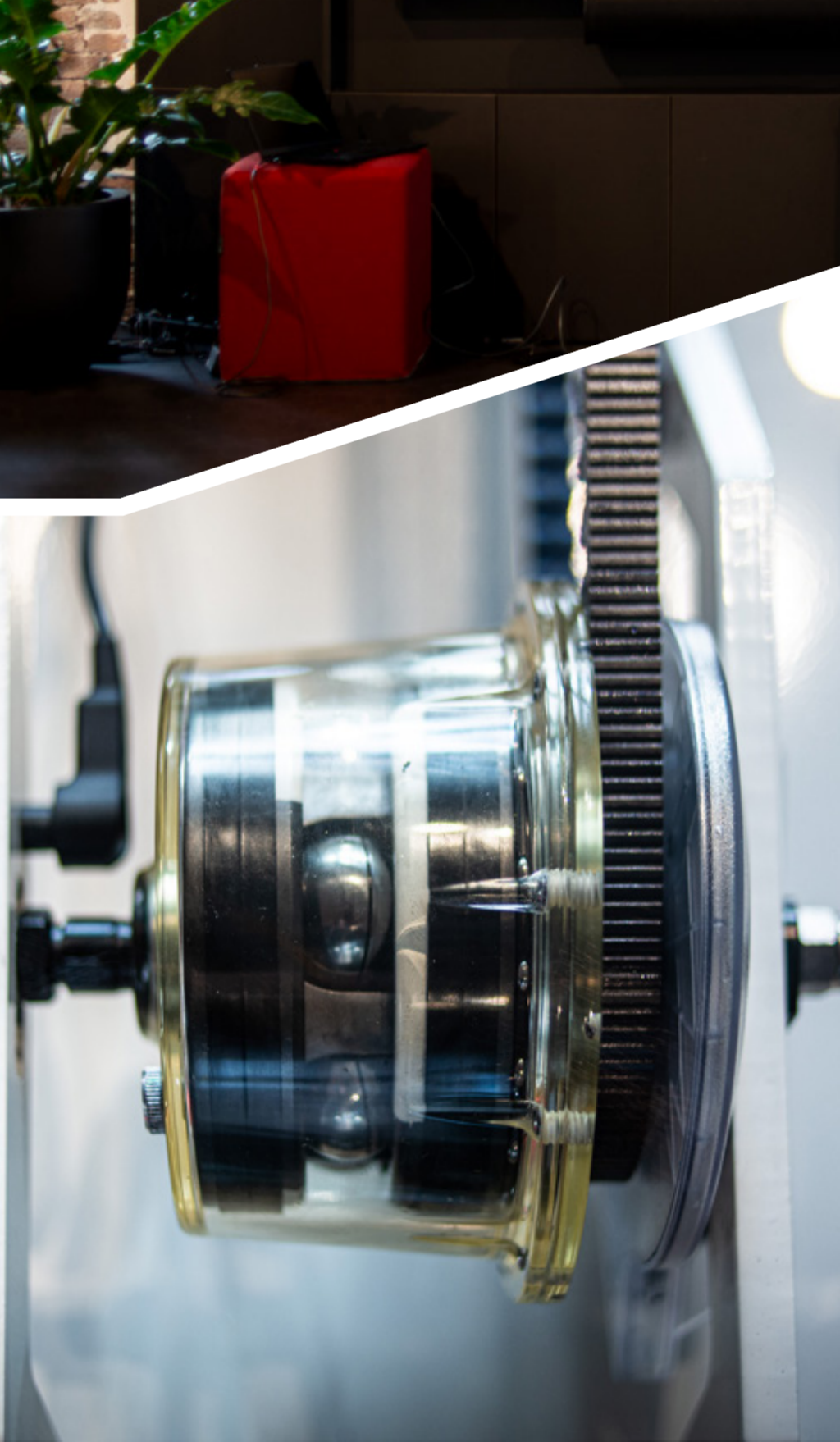


NAPOLEON BRYL
@napoleonbryl

Automatyczna „skrzynia biegów” w rowerze – Enviolo Automatiq

Zaawansowana elektronika do rowerów wkroczyła na dobre już kilka lat temu. Elektroniczna przerzutka nie jest już nowinką dostępną tylko dla zawodników i amatorów z dużym budżetem.





Wśród producentów wprowadzających elektroniczne nowości jest mało (jeszcze) znana w Polsce firma Enviolo, specjalizująca się w produkcji bezstopniowych przekładni planetarnych – czyli tych ukrytych w piąście tylnego koła, bezstopniowych, a zatem pozbawionych oznaczeń, np. 1–6 na manetce, tylko mających płynną zmianę kadencji czy obciążenia.

Na początku marca na zaproszenie **Enviolo** i **towarowe.pl** miałem okazję odwiedzić centralę firmy w Amsterdamie i uczestniczyć w prezentacji nowości i krótkim szkoleniu technicznym.

Enviolo jest młodą firmą na rynku rowerowym – w 2007 zaprezentowali pierwszy model bezstopniowej przekładni dla rowerów pod nazwą NuVinci, wtedy będąc częścią Fallbrook Technology Inc. W 2017 roku zmienili nazwę na Enviolo i stali się niezależną firmą. Mimo krótkiej historii mocno



weszli w rynek. Przekładnie Enviolo są obecne w ponad 150 markach rowerów, np. Canyon, Riese & Müller, Batavus, Trek, Urban Arrow itd. Nie są tak popularne, jak japoński gigant Shimano, ale nie są to też przekładnie do każdego typu roweru. Specyfika pracy i konstrukcja (waga) przekładni planetarnej sprawia, że sprawdza się ona w rowerach o użytkowym charakterze, stąd chyba jeszcze mała popularność w Polsce, gdzie nawet jako rowery miejskie dominują MTB i trekkingi (choć to na szczęście się zmienia).

Na spotkaniu Enviolo zaprezentowało najnowszą i najlżejszą przekładnię – Urban (2,1 kg). Poza tym w ofercie firmy są modele City, Treking, Cargo, Heavy Duty. Zakres przełożeń zależy od modelu: 250% Urban, City 310%, 380% Treking, Cargo, HD. Wszystkie przekładnie działają na tej samej zasadzie – małych „planet”, których zmiana kąta ułożenia względem pierścieni przekazujących napęd zmienia pole styku pomiędzy nimi. Im pole styku mniejsze, tym większa kadencja i mniejsza siła nacisku na pedały potrzebna, żeby utrzymać prędkość (dobre na podjazdy). Im większe pole styku, tym większa siła i mniejsza kadencja (jak jedziemy po płaskim i chcemy szybko jechać). **Mechanizm genialny w swojej prostocie.**

Poszczególne modele różnią się zakresem na obciążenia ciężaru, jaki mogą przewieźć bez szkody i zakresem współpracy z silnikami e-bike





w zależności od momentu obrotowego (Nm). Płynna zmiana obciążenia/kadencji jest moim zdaniem jedną z najwygodniejszych rzeczy, jakie możemy mieć w rowerze, szczególnie w rowerze miejskim lub cargo.

Dobrze, a gdzie elektronika? Przekładnie Enviolo mogą być „analogowe” – sterowane za pomocą obrotowej manetki – lub elektroniczne, Enviolo Automatiq – obciążenie jest dobierane automatycznie do ustawionej wcześniej kadencji. Tak, to jest „automatyczna skrzynia biegów” w rowerze.

To jednak nie koniec, w obu przypadkach część mechaniczna jest identyczna, zmienia się tylko interfejs zmieniający przełożenie. Przekładnię kupioną w wersji „analogowej” można w prosty sposób zaktualizować do elektronicznego automatu. Na szkoleniu taki „upgrade” na testowym rowerze zajął nam około 15 minut, razem z czytaniem instrukcji. Jedyny haczyk polega na wcześniejszym sprawdzeniu, jaką przekładnię mamy i zamówieniu odpowiedniego zestawu do konwersji oraz sprawdzeniu, czy elektroniczny interfejs zmieści się na tylnym trójkącie ramy – jest trochę większy od analogowego. Elektroniczny automat konfigurujemy z aplikacji na smartfonie, możemy go podłączyć i skalibrować z systemem e-Bike Bosch, nowym Smart System i poprzednim, generacji 2. Wtedy zmiana ustawień kadencji może odbywać się za pomocą sterownika silnika naszego e-Bike.



Dodatkowo dla tych, którzy chcą mieć szybką zmianę ustawień automatyki, można podłączyć bezprzewodową manetkę.

Brzmi super, pytanie: jak jeździ? Na co dzień jeżdżę rowerem z „analogowym” Enviolo i uważam je za najwygodniejszy system przełożeń do miejskiego, transportowego roweru. Wersja elektroniczna zmienia przełożenie bardzo płynnie, reagując na zmiany nachylenia terenu, ale również na zatrzymania np. na światłach, wrzuca nam wtedy lekki bieg do łatwego startu. Pełen automat, w rowerze. Może nie ma charakteru sportowego i wyścigu nie wygramy, ale pozwala na całkiem dynamiczną jazdę w mieście. Do tego został zaprojektowany.

W połączeniu z napędem na pasku Carbon Gates tworzy cichy i prawie bezobsługowy (od czasu do czasu trzeba umyć pasek wodą i naładować baterię w e-bike) system zmiany „biegów” w rowerze. Nic tylko jeździć.

Po testach elektronicznego automatu wiem, że będę robił „upgrade” obecnego roweru, a na pewno następny mieszczuch i cargo będą na Enviolo Automatiq.





WYBUCHOWY
I ELEKTRYZUJĄCY
iMAG MOTO

iMAGAZINE



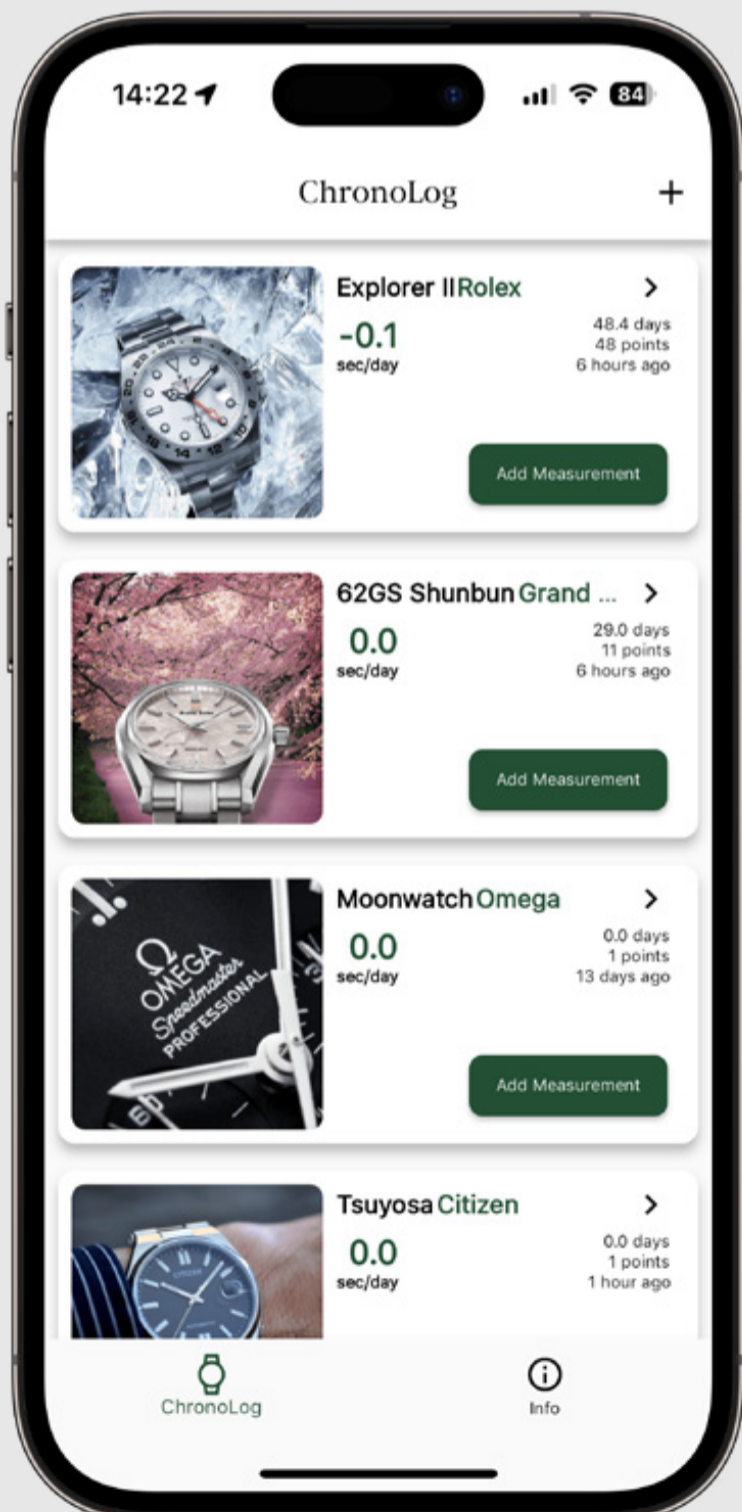
WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

ChronoLog



– pomiar precyzji pracy zegarków mechanicznych

Jeśli interesuje was monitorowanie precyzji waszych zegarków mechanicznych, to bardziej zaawansowanej aplikacji niż ChronoLog, która jest jednocześnie tak banalnie prosta w użyciu, obecnie nie znajdziecie.



Aplikacja przewiduje, że każdy zegarek dodajemy jako osobną pozycję, a pod każdym z nich tworzymy timing run. Każdy timing run to zbiór pomiarów robionych w czasie, który określa precyzję w postaci dwóch wykresów – offsetu, czyli rozbieżności względem zegara atomowego oraz rate (tempa) liczonego w sekundach na dzień. Każdy pomiar możemy sobie oznaczyć, więc przykładowo, jeśli dokonaliśmy pomiaru przed snem, odłożyliśmy zegarek koronką do góry i potem ponownie wykonaliśmy pomiar rano, to możemy go sobie oznaczyć jako „crown up”. Innych oznaczeń jest całe mnóstwo, w tym tarczą do góry, na nadgarstku i wiele innych. To bardzo pomaga potem w czasie prześledzić, w jakiej pozycji mechanizm się śpieszy lub nie.

Do każdego pomiaru wykonujemy zdjęcie tarczy. Osobiście robię je zawsze tak, aby wskazówka od sekund idealnie wskazywała wartość pełną do pięciu sekund, np. 15, 20, 25 itd. Jest opcja powtórzenia zdjęcia, jeśli nie trafimy idealnie. Po wykonaniu zdjęcia, na którym widzimy dokładnie, na co ustawione są wskazówki, podajemy widziany czas do tego pomiaru za pomocą standardowego iOS-owego



datownika. Ten jest porównywany przez ChronoLoga do czasu rzeczywistego podczas wykonania zdjęcia, aby ustalić wspomniane offset i tempo zmian. Działa to świetnie.

Rozmawiałem z Tylerem Woodem, twórcą aplikacji, i jeszcze jest za wcześnie na zaprzęgnięcie do odczytywania czasu z tarczy AI, bo po prostu sobie z tym nie radzą wystarczająco precyzyjnie, ale pracuje nad tym.

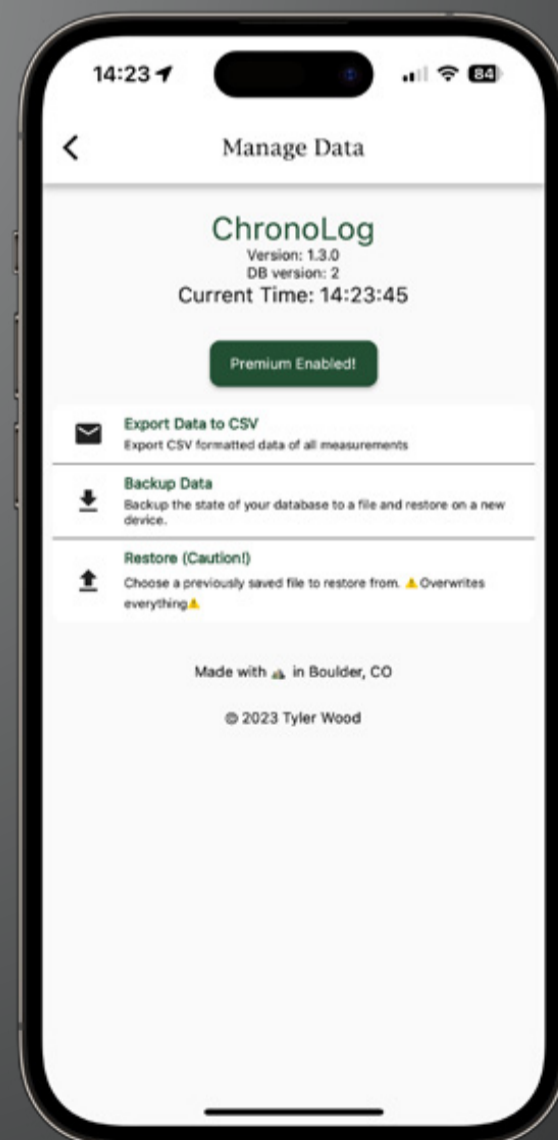
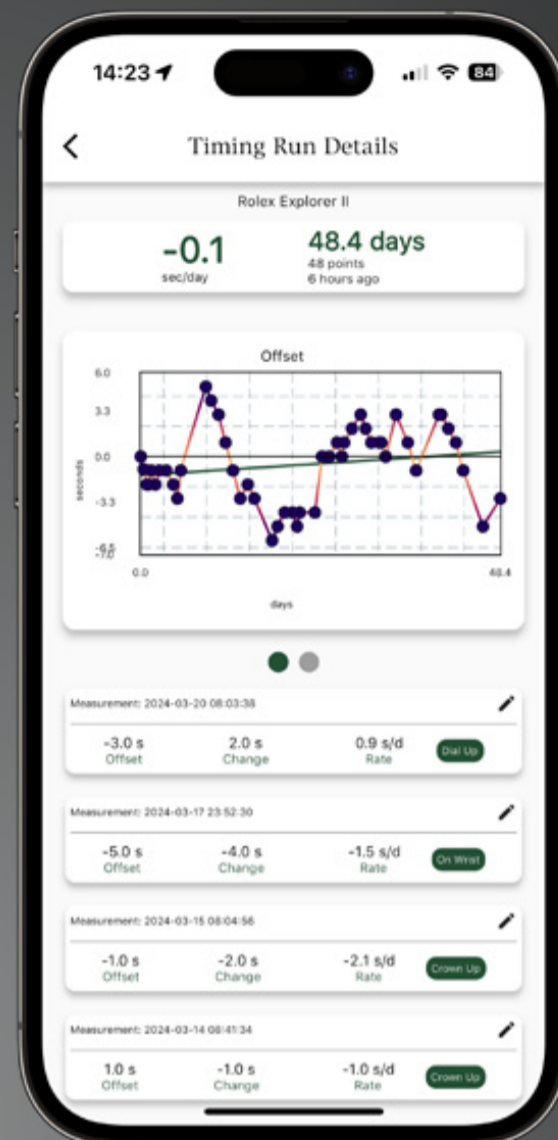
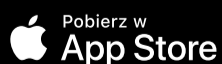
Wszystkie dane są wyłącznie przetrzymywane w aplikacji i nie są nigdzie wysyłane ani przetwarzane. Można je sobie na życzenie wyeksportować jako plik CSV.

Regularne pomiary pomagają nie tylko dowiedzieć się więcej na temat zachowania waszych zegarków, ale łatwo można też zauważyć, kiedy wymagają serwisowania lub regulacji.

Do każdego zegarka dodanego do listy można również dodawać metadane, takie jak data zakupu, nr ref., jaki ma mechanizm i inne informacje, dzięki czemu wszystko jest pod ręką.

Dodatkowe możliwości ChronoLoga możemy odblokować za pomocą IAP w wysokości 9,99 PLN. Warto.

Cena: za darmo (IAP 9,99 PLN)



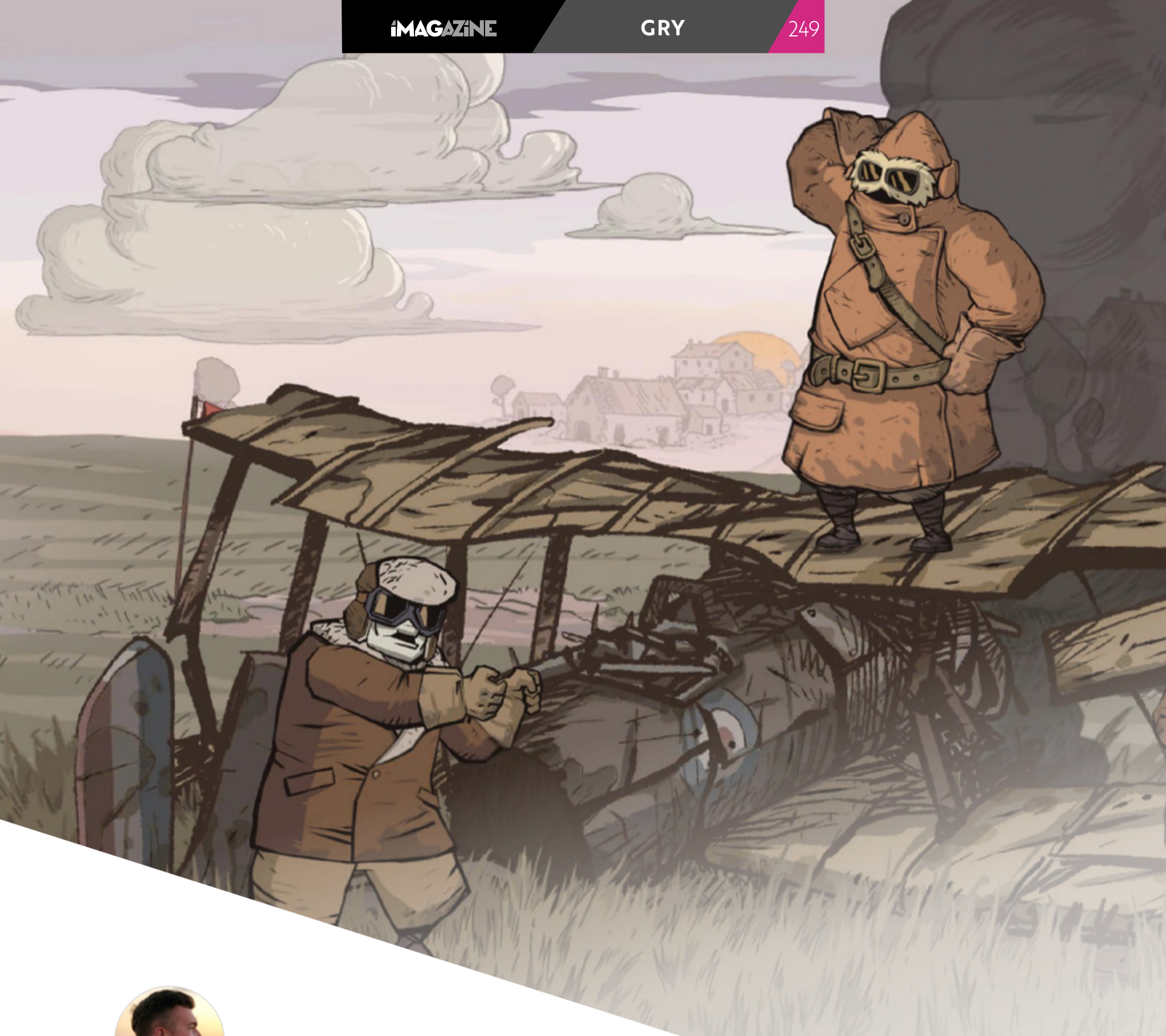
PawelJonca.com

**Miśka
pewnie
już znasz?**



**Poznaj
resztę
ekipy...**





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Valiant Hearts: The Collection – wino z dobrego rocznika

Piszę ten tekst w 2024 – tak, nikt tu się nie pomylił i wcale nie przez przypadek zajmuje się już dziesięcioletnią grą. Jest ku temu świetna okazja, bo Valiant Hearts wyszło niedawno jako kolekcja dwóch świetnych tytułów i dostępna jest na wszystkich popularnych platformach.






Pierwsza odsłona Valiant Hearts: The Great War pojawiła się w 2014 roku i zebrała bardzo dobre recenzje. Nic w tym dziwnego, bo nie dość, że fabułę osadzono w realiach pierwszej wojny światowej, to przedstawiona historia i oprawa graficzna mocno zapadały w pamięć. Od niedawna dostępna jest też druga odsłona, z podtytułem Coming Home. Początkowo była tytułem dostępnym wyłącznie na iOS i Androida i to jedynie dla subskrybentów Netflix, natomiast teraz pojawiła się na PlayStation, Xboksie, Switchu oraz PC, dostępna jest też w ramach subskrypcji Ubisoft Connect. Bardzo żałuję, że wśród tych platform zabrakło iOS oraz Androida, zwłaszcza że nie tylko druga, ale i pierwsza część były na nich dostępne (jednak The Great War zostało z nich wycofane mniej więcej dwa lata temu). Gameplay i grafika zdecydowanie przemawiają za tym, by się tam znalazły, liczę, że wkrótce to nastanie. Historia serii Valiant Hearts jest więc nieco skomplikowana i dopiero teraz w miarę się wyprostowała. Sam ogrywam je na PlayStation 5, korzystając często z funkcji RemotePlay i używając Logitech G Cloud – tytuł idealnie nadaje się do takiej rozgrywki, bo nie wymaga na tyle dużego refleksu, by minimalne opóźnienia przeszkadzały w grze.

Obie odsłony osadzone są w czasach pierwszej wojny światowej, która w świecie rozrywki pozostaje znacznie mniej wyeksploatowanym tematem, niż drugi największy konflikt zbrojny w historii. Mechaniki i sposób



An illustration of a vintage biplane flying over a landscape. The sky is filled with stylized, layered clouds in shades of blue and purple. The ground below is a mix of green and brown, suggesting a rural or battlefield setting. The biplane is a dark color with a prominent propeller and landing gear. The overall style is reminiscent of early 20th-century aviation art.

opowiadania historii są dokładnie takie same w obu częściach gry, tak naprawdę różni je jedynie fabuła i długość, Coming Home zajmuje mniej więcej połowę czasu potrzebnego na ukończenie The Great War. O ile starsza odsłona porusza bardziej typowe rozterki bohaterów, jak rozłąka, brak akceptacji przemocy, budowanie przyjaźni czy postawienie rodziny po przeciwnych stronach frontu, to nowsza część dodaje do tego problem segregacji rasowej czy podążania za swoimi wzorcami. Postanowiłem pisać o Valiant Hearts jako o jednym tytule, bo rozróżnienie ich wymagałoby ode mnie ujawniania niemal na każdym kroku fragmentów historii, a to ostatnie, co chciałbym robić. Zdradzę jedynie (co nie jest zresztą żadną tajemnicą), że w drugiej części powracają niektórzy bohaterowie tej pierwszej odsłony i warto ogrywać je chronologicznie, a więc zaczynając od The Great War. Obie gry dzieli dziesięć lat, ale oprawa graficzna, mechaniki oraz przesłanie płynące z fabuły nie zestarzało się ani trochę. Szata graficzna obu gier jest bardzo ładna, nie do pomylenia z innymi tytułami dzięki dość nietypowym proporcjom postaci i charakterystyczne ukrywanie oczu niemal każdego bohatera. Dialogów mówionych niemal tu nie ma, mamy tylko mamrotanie, tekstu też nie doświadczymy, postacie rozmawiają obrazkowo. Fabułę nakreślają przede wszystkim ich interakcje czy otoczenie, a to jest





wspaniałe – widać, że twórcy bardzo dobrze przemyśleli każdy moment. Mamy za to sporo zwięzłych notatek, będących faktami historycznymi – to niezmiernie ciekawe, zwłaszcza że pierwsza wojna światowa nie zaistniała mocno w kulturze. Bohaterowie zarysowani są bardzo mocno, można się zżyć z tymi niemymi, rysunkowymi postaciami. To, jak bardzo poznawanie historii wciąga, wręcz zaskakuje – sam niezwykle się wciągnąłem i opuściłem wszystkie inne tytuły, póki nie ukończyłem obu części. Wspaniałe gra z tym wszystkim muzyka, będąca zręczną adaptacją odpowiednich dla epoki utworów poważnych. Wykorzystano je niekiedy w taki sposób, że wydarzenia na ekranie dzieją się wręcz w rytm utworów, co wcale nie jest łatwym zadaniem. Wszystkie tego typu sekwencje powodowały na mojej twarzy uśmiech.

Mechanika rozgrywki to rozwiązywanie zagadek. Prostych, ale różnorodnych i niekiedy zabawnych. Trudno tu o monotonię, bo choć poszczególni bohaterowie mają jakieś luźno określone specjalizacje, to nic nie szkodzi, by inni w razie potrzeby też potrafili zrobić to samo. Ponadto co jakiś czas pojawiają się nowe elementy: a to towarzysz, któremu możemy wydawać polecenia, a to przejścia, dzięki którym trafiamy na drugi plan niektórych etapów, co otwiera nowe możliwości. Są nawet pościgi, i to bardzo dobrze zrealizowane. Nie ma za to powracania do poprzednich lokacji, gra jest



w pełni liniowa, nie pozwala też wpłynąć na przebieg fabuły (a w tym tytule, jak w mało którym, potrzeba, by zmienić niektóre wydarzenia, jest w graczynie niezwykle silna). Walki nie ma prawie wcale, owszem, czasem rzucimy granat, by zniszczyć przeszkodę czy zdzielimy po głowie niczego niespodziewającego się wroga, by padł na ziemię ogłuszony, jednak sami nie jesteśmy sprawcami większej przemocy. To nie oznacza jednak, że przemocy tu nie ma – okrucieństwa wojny pokazywane są niemal wszędzie, i choć nie uświadczymy tu zwłok rozrywanych na strzępy czy równie brutalnych widoków, to zdecydowanie odczujemy ból bohaterów i bezsens wojny, i to na wielu poziomach. Jestem pod ogromnym wrażeniem zarówno scenariusza, jak i tego, jak doskonale poradzili sobie z nim twórcy.

Naprawdę nie wiem, co jeszcze mogę napisać o Valiant Hearts: The Collection, by nie zepsuć nikomu przyjemności z zabawy. Gra urzeka sposobem opowiadania historii, to zdecydowanie najwyższa półka. Jest przy tym bardzo ładna, oprawa nie dość, że jest spójna, to poszczególne lokacje czy zdarzenia biorą czynny udział w opowiadaniu historii, i to w stopniu, którego próżno szukać w wielu tytułach AAA. Jeśli na kolejną odsłonę przyjdzie czekać ponownie dekadę, to jestem na to gotów. Nawet jeśli miałbym ją ograć na goglach VR.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

w partnerstwie z [Orbx](#)

Landmarks Warsaw

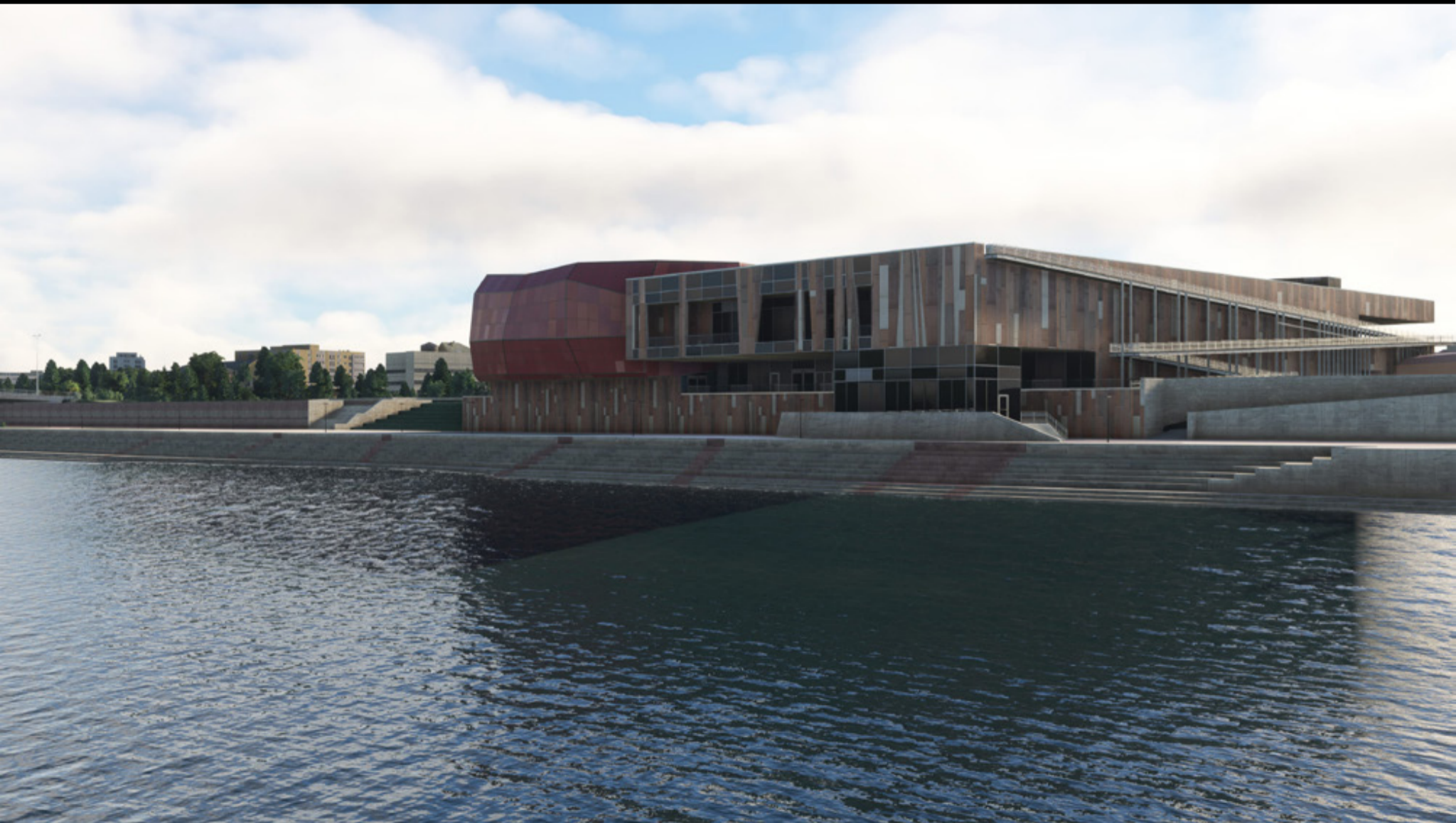
Historia Warszawy jest fascynująca i wielowarstwowa, rozciąga się przez wieki, od jej skromnych początków aż po status dynamicznej stolicy współczesnej Polski.

Warszawa po raz pierwszy została wspomniana w źródłach historycznych w XIV wieku jako niewielka osada rybacka. Jednak jej strategiczne położenie nad Wisłą, a także ambitne plany książąt mazowieckich, szybko przekształciły ją w znaczący ośrodek handlowy i polityczny. W 1596 roku, za panowania Zygmunta III Wazy, Warszawa została stolicą Polski, zastępując Kraków. To wydarzenie zapoczątkowało okres szybkiego rozwoju miasta, które stało się centrum życia politycznego, kulturalnego i naukowego.

Niestety, bliskość granic i strategiczne położenie Warszawy często wystawiały miasto na próby w czasach wojen i konfliktów. Warszawa wielokrotnie była niszczone i odbudowywana, a najbardziej tragiczny rozdział w jej historii miał miejsce podczas II wojny światowej. W 1939 roku niemiecka inwazja na Polskę zapoczątkowała okres brutalnej okupacji. Powstanie warszawskie w 1944 roku, heroiczna próba wyzwolenia miasta spod niemieckiej okupacji przez Armię Krajową, zakończyła się tragicznie. W jego wyniku miasto zostało prawie całkowicie zniszczone, a większość ludności zabita, wywieziona lub zmuszona do ucieczki.







Po wojnie Warszawa stanęła przed gigantycznym wyzwaniem odbudowy. Dzięki determinacji i pracy mieszkańców w dużym stopniu udało się przywrócić historyczny wygląd miasta, szczególnie jego najbardziej charakterystyczną część – Stare Miasto, które zostało wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Dzisiejsza Warszawa jest miastem, które łączy swoją bogatą historię z dynamicznym rozwojem, gdzie nowoczesne wieżowce stoją obok zabytkowych budynków, tworząc charakterystyczny horyzont.

Polski deweloper Drzewiecki Design właśnie udostępnił Landmarks Warsaw, które zawierają wszystkie najważniejsze budynki, mosty, trasy i inne charakterystyczne punkty miasta. To oczywiście obowiązkowa pozycja w bibliotece, podobnie jak wszystkie ich pozostałe produkty.

Produkt: Landmarks Warsaw

Symulator: Microsoft Flight Simulator 2020

Objętość po zainstalowaniu: 4,23 GB

Cena: 30,59 AUD / 18,45 EUR



WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moriDn](#)

w partnerstwie z [Orbx](#)

Barcelona-El Prat Airport (LEBL)

Lotnisko Barcelona-El Prat (ICAO: LEBL) jest głównym portem lotniczym obsługującym Barcelonę oraz drugim co do wielkości lotniskiem w Hiszpanii, ustępując miejsca tylko lotnisku w Madrycie-Barajas. Jego historia sięga wczesnych lat XX wieku i odzwierciedla rozwój lotnictwa cywilnego oraz wzrost znaczenia Barcelony jako globalnego ośrodka turystycznego i biznesowego.

Pierwsze działania związane z lotnictwem w rejonie Barcelony odnotowano w 1916 roku, kiedy to na plaży w pobliżu rzeki Llobregat zorganizowano pokazy lotnicze. Oficjalne otwarcie nastąpiło jednak dopiero w 1918 roku, kiedy to utworzono pierwsze lotnisko w El Remolar. Miejsce to szybko okazało się niewystarczające dla potrzeb rozwijającego się lotnictwa, co skłoniło władze do poszukiwania nowej lokalizacji.

W 1927 roku, dzięki inicjatywie Aeroclub de Cataluña, wybrano tereny przy ujściu rzeki Llobregat na nowe lotnisko, które miało stać się lotniskiem Barcelona-El Prat. Nowe lotnisko zostało oficjalnie otwarte w 1928 roku, stając się kluczowym węzłem komunikacyjnym nie tylko dla Barcelony, ale i całej Katalonii.







W latach 40. i 50. XX wieku, wraz z rozwojem lotnictwa cywilnego i zwiększeniem liczby podróży lotniczych, lotnisko El Prat przeszło pierwsze poważne rozbudowy. Dodano nowe pasy startowe i terminal pasażerski, co znacząco zwiększyło jego przepustowość.



Kluczowym momentem dla lotniska było przygotowanie Barcelony do Igrzysk Olimpijskich w 1992 roku. Wówczas to lotnisko przeszło kolejną fazę intensywnej modernizacji i rozbudowy. Zbudowano nowe terminale, pasy startowe oraz infrastrukturę wspierającą, co umocniło pozycję El Prat jako jednego z najważniejszych portów lotniczych w Europie.

W pierwszych dekadach XXI wieku lotnisko kontynuowało swój rozwój, m.in. poprzez otwarcie w 2009 roku nowego Terminala 1, który stał się jednym z najnowocześniejszych i największych terminali lotniczych w Europie. Dzięki temu i ciągłemu wzrostowi liczby pasażerów El Prat umocniło swoją pozycję jako kluczowego hubu lotniczego na południu Europy.

W wirtualnym świecie do wyboru mamy produkty odzwierciedlające El Prat stworzone przez kilku różnych deweloperów, jednak to właśnie polski MK Studios stworzył najlepszą wersję, najbliższą rzeczywistemu lotnisku, więc tradycyjnie pozostaje mi je gorąco polecić.

Produkt: Barcelona-El Prat Airport

Symulator: Microsoft Flight Simulator 2020

Objętość po zainstalowaniu: 3,18 GB

Cena: 27,95 AUD / 16,88 EUR

Jaki rower
wybrać,
by bezpiecznie
przewozić
małe dziecko?

1/2



www.roweremzdziekiem.pl



2/3

Jak przygotować
rower do
przewozu dzieci?

#bikewithkids   

3/3

Jak jeździć
z dzieckiem na
rowerze?





MACIEJ SKRZYPCZAK
[@mskrzypczak](#)

Zmiana domyślnej przeglądarki w macOS

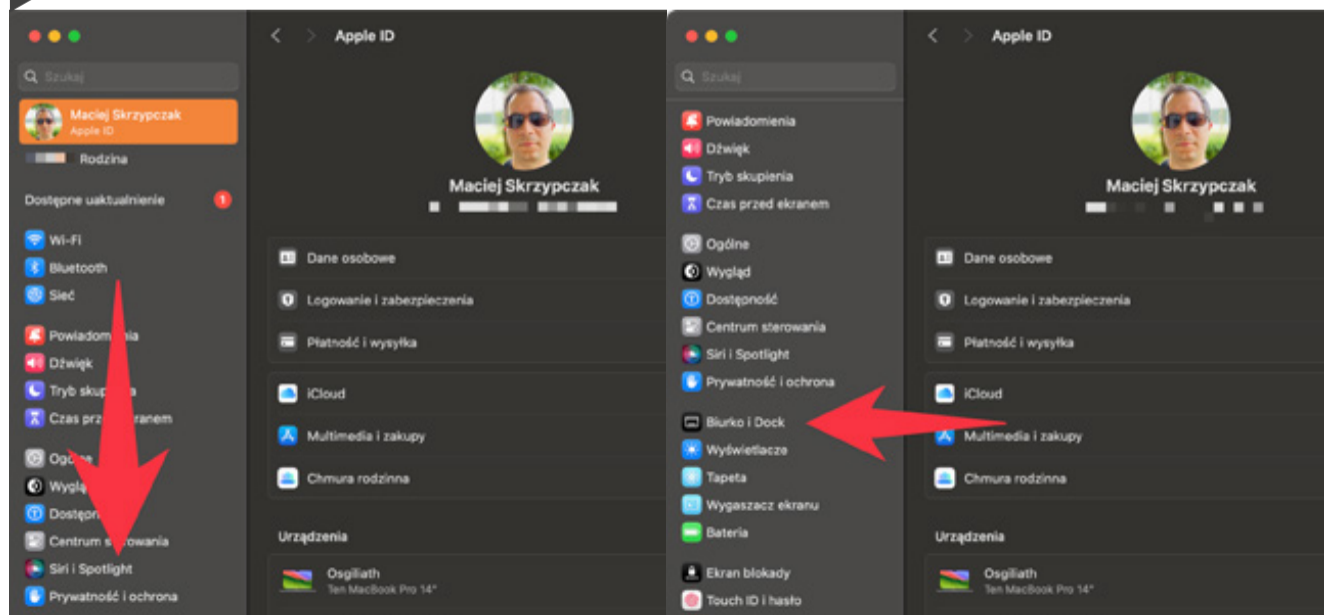
Wybór domyślnej przeglądarki to jedna z pierwszych decyzji, jaką podejmujemy na nowych komputerach. Ale co w sytuacji, gdy chcemy zmienić swój wybór?

Zazwyczaj po otwarciu innej tego typu aplikacji pojawia się monit, że nie jest ona obecnie pierwszym wyborem i zapewne gdzieś tam będzie także opcja, aby to zmienić w postaci przycisku, ptaszka do odhaczenia itp.

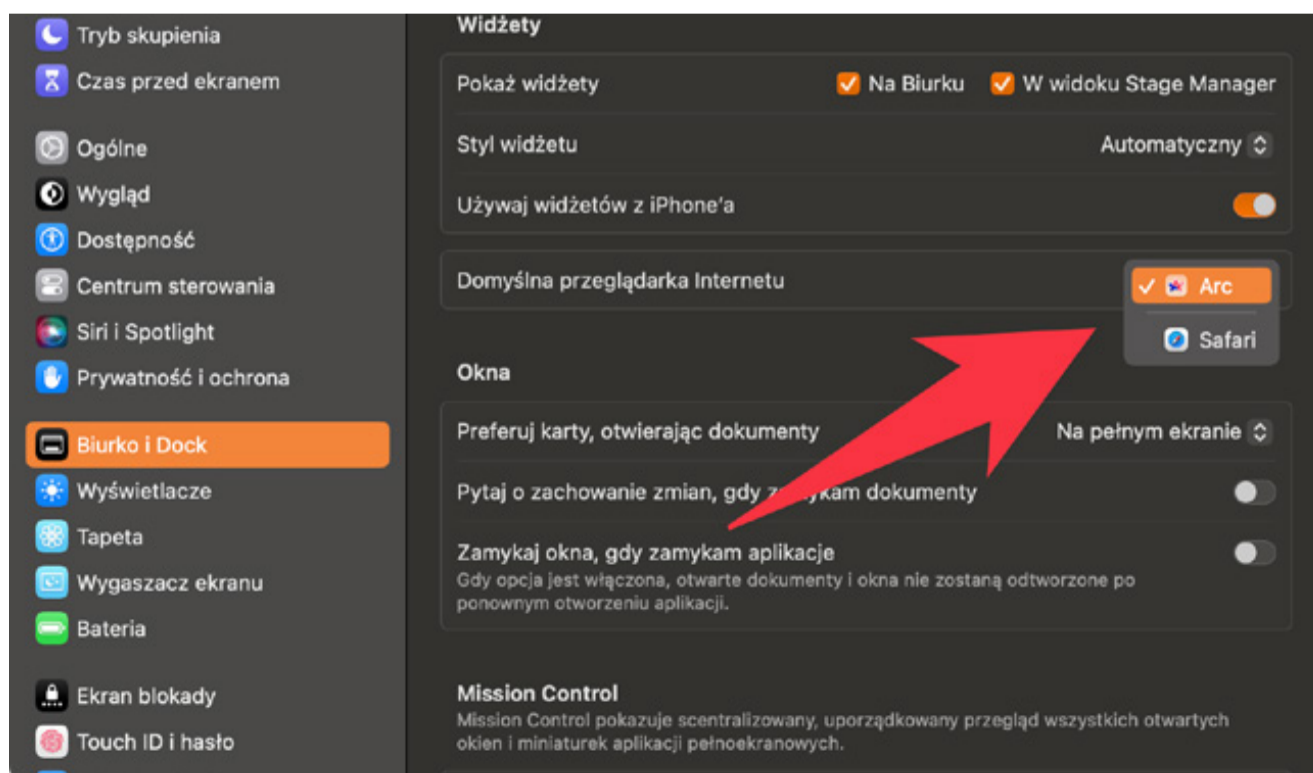
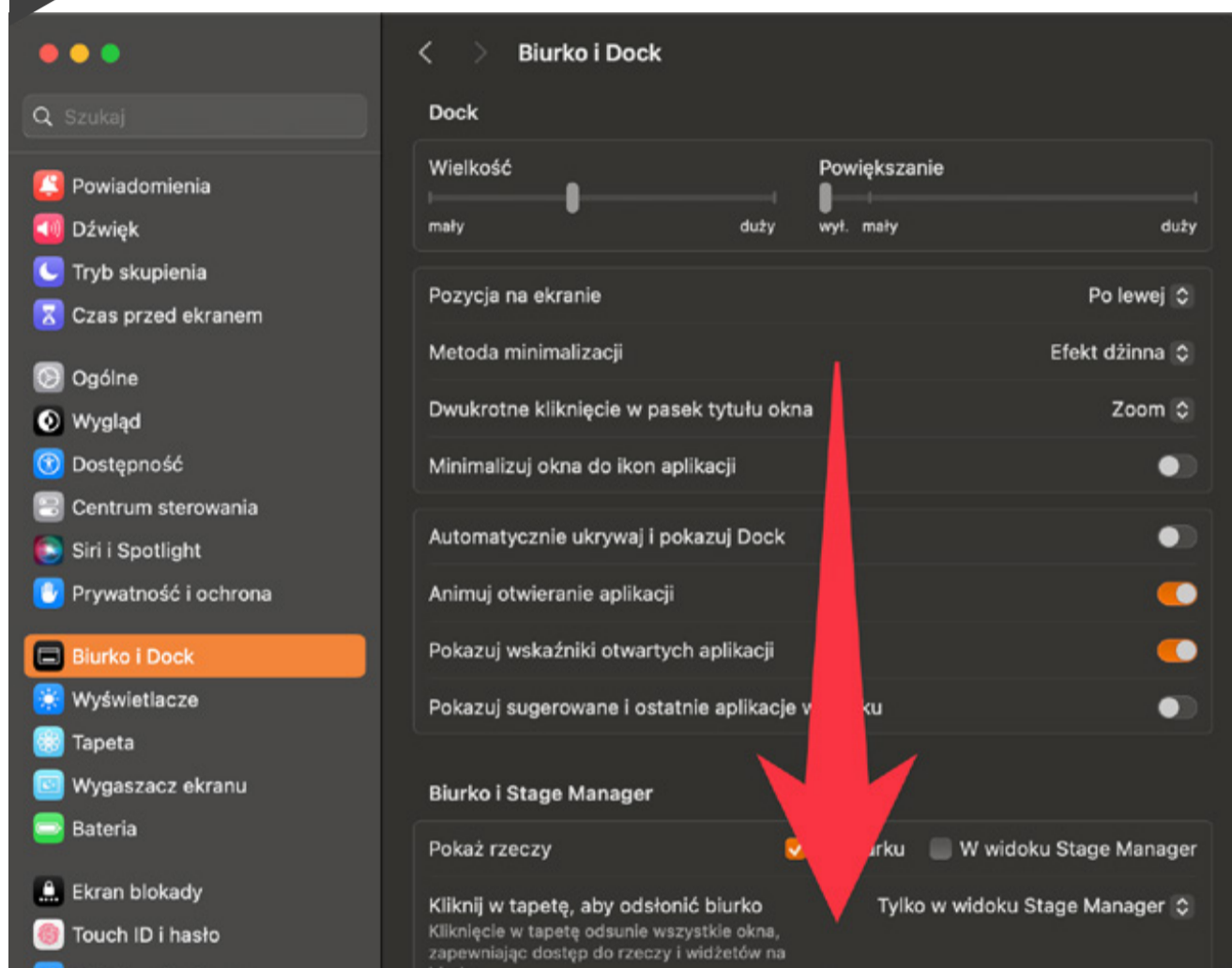
Istnieje jednak kilka innych metod na zmianę przeglądarki na domyślną.

Zmiana w Ustawieniach systemowych

Domyślną przeglądarkę możemy zmienić w Ustawieniach systemowych. W tym celu po ich uruchomieniu musimy znaleźć Biurko i Dock na liście z lewej strony.



Tam zjeżdżamy na dół z prawej strony, aż znajdziemy sekcję Widżety. Na samym jej końcu będzie pole Domyślna przeglądarka Internetu, gdzie z menu możemy zmienić na inną aktualnie zainstalowaną.



I tak, zdaję sobie sprawę, że umieszczenie tego ustawienia akurat w tym miejscu (co ma wspólnego z Biurkiem i Dockiem), w tej sekcji (Widzety? Serio?) jest, mówiąc lekko – nieintuicyjne...

Zmiana w Terminalu

Ktoś mógłby się zastanawiać, po co w ogóle zaprzęgać Terminal do takiej pracy? To, że można to w nim zrobić, nie oznacza wcale, że musimy akurat Terminal do tego wykorzystać. Zamiast niego poniższe polecenia możemy użyć w jakichś skryptach, które mogą być uruchamiane, by na przykład tylko tymczasowo zmienić jakąś przeglądarkę na domyślną.

W takim razie jak to zrobić? Wyjścia są dwa...

Bez instalacji zewnętrznych narzędzi (działa wyłącznie z przeglądarkami Chromium)

Jeśli pracujemy wyłącznie z przeglądarkami opartymi o Chromium (czyli np. Google Chrome, Arc, Microsoft Edge itp.) i chcielibyśmy ustawiać któreś z nich jako domyślne, to możemy posłużyć się poniższą komendą:

```
open -a "Nazwa przeglądarki" --args --make-default-browser
```

Gdybyśmy więc chcieli zmienić domyślną przeglądarkę np. na Arc, to polecenie będzie wyglądać następująco:

```
open -a "Arc" --args --make-default-browser
```

Pojawi się wtedy monit, czy na pewno chcemy zmienić domyślną przeglądarkę na nową.



Warto jednak pamiętać, że w ten sposób nie ustawimy przeglądarek opartych o WebKit (jak choćby Safari).

Za pomocą narzędzia defaultbrowser

Druga metoda zadziała ze wszystkimi zainstalowanymi przeglądarkami, ale wymaga dodatkowej instalacji z wykorzystaniem Homebrew. Kiedy mamy zainstalowany ten pakiet, to możemy zainstalować wspomniane narzędzie poleceniem:

```
brew install defaultbrowser
```

Działanie tego narzędzia jest bardzo proste. Samą komendą:

```
defaultbrowser
```

Otrzymamy listę wszystkich wykrytych przeglądarek.

Z kolei używając schematu:

```
defaultbrowser nazwaPrzeglądarki
```

Zmienimy domyślną przeglądarkę na wpisaną, np.

```
defaultbrowser safari
```

Zmieni aktualną domyślną przeglądarkę na Safari.





Podcast

bo czemu nie?

O TECHNOLOGII I NAS SAMYCH

zaprasza: Krzysztof Kołacz

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Czy usługi są dla Apple nowym iPhone'em?

Apple TV+ zdobyło kolejne Oscary. Jakości, którą oferuje Apple Music, konkurencja nadal nie zdołała doścignąć, a pakiet Apple One daje właściwie tyle, co żadna inna usługa na rynku. Do tego Tim Cook przy okazji ogłaszania każdego kolejnych wyników fiskalnych firmy podkreśla znaczenie usług w strukturze jej przychodów.



Jeśli już ktoś bardzo chce zadawać dziś pytanie: „Czy Apple się kończy?“, to winno ono raczej brzmieć: „Dlaczego Apple nie wygląda już tak, jak kiedyś?“.

Zatrzymać użytkownika

Strategia Apple nie polega dziś na tym, aby sprzedać klientowi jak najwięcej jak najdroższych urządzeń naraz. Tim Cook od samego początku swoich rządów w Cupertino doskonale wie, że amortyzacja zakupu iPhone'a czy komputera Mac jest bardzo wysoka, jeśli mówimy o długości ich użytkowania przez klientów. Przejście na własną architekturę procesorów Apple Silicon w ostatnich latach jeszcze ją wydłużyło. Apple było na to przygotowane od lat.

Usługi stanowią dziś drugi największy odsetek w strukturze przychodów firmy, a ten w kolejnych latach będzie sukcesywnie wypierał zyski ze sprzedaży iPhone'ów. Dlaczego? Ponieważ usługi zatrzymują klientów w ekosystemie Apple. A to jest główny cel Tima Cooka. I nie ma się co dziwić.

Kupujesz iPhone'a, potem AirPods, potem Apple Watch i już tylko te trzy urządzenia pokazują to, dlaczego ludzie wybierają Apple i już nie potrafią opuścić ekosystemu firmy. Słynna „magia” widoczna jest dopiero wtedy, kiedy mamy kilka urządzeń, a Apple stara się tę ścieżkę skracać. Dlatego nadal, choć jest działanie strasznie słabe z punktu widzenia klientów, mamy maleńki darmowy pakiet iCloud, który wręcz wymusza sięgnięcie po coś dodatkowego. Wtedy lądujemy na ekranie sprzedażowym Apple One i...

Słynna „magia” widoczna jest dopiero wtedy, kiedy mamy kilka urządzeń, a Apple stara się tę ścieżkę skracać. Dlatego nadal, choć jest działanie strasznie słabe z punktu widzenia klientów, mamy maleńki darmowy pakiet iCloud, który wręcz wymusza sięgnięcie po coś dodatkowego.



I w sumie widząc, że za niecałe 40 zł możemy mieć jakościowy serwis VOD, Apple Music, większy iCloud i platformę z grami Apple Arcade, dyskusja kończy się w tym miejscu. A należy się spodziewać, że gama usług z Cupertino w kolejnych latach będzie się tylko powiększać. Dowodem na to jest ostatnia premiera Apple Sports.

Sport na celowniku Apple

21 lutego Apple **zaprezentowało** nową aplikację Apple Sports. To jednak zdecydowanie coś więcej niż może się wydawać większości komentujących z branży.

Obecnym światem rządzą dane. Aby Apple mogło zaoferować to, co otrzymaliśmy w ramach Apple Sports, musiało podpisać umowy z poszczególnymi podmiotami odpowiedzialnymi za gromadzenie danych na temat rozgrywek – i to w czasie rzeczywistym.

Moją uwagę na ten temat zwróciła załoga **podcastu Upgrade**, która w jednym z odcinków słusznie zauważyła, że mocniejsze zaangażowanie się Apple w świat sportu jest szczególnie widoczne w ostatnich latach i nie jest przypadkowe.

Na początek zacznijmy od tego, co robi Apple Sports?

Aplikacja jest na ten moment dostępna w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanadzie. Ograniczenie to ma swoje powody, o czym w dalszej części.

Apple Sports na bieżąco informuje fanów o wynikach rozgrywek następujących lig: MLS, NBA, koszykówka NCAA (mężczyzn i kobiet), NHL, Bundesliga, LaLiga, Liga MX, Ligue 1, Premier League oraz Serie



Usługi stanowią dziś drugi, największy odsetek w strukturze przychodów firmy, a ten w kolejnych latach będzie sukcesywnie wypierał zyski ze sprzedaży iPhone'ów. Dlaczego?

A. Z czasem aplikacja ma dostać dane z kolejnych, w tym: MLB, NFL, NCAAF, NWSL i WNBA na nadchodzące sezony. I tutaj zaczyna się najciekawszy wątek.

Usługi, czyli nowy fundament Apple

Obecnym światem rządzą dane. Aby Apple mogło zaoferować to, co otrzymaliśmy w ramach Apple Sports, musiało podpisać umowy z poszczególnymi podmiotami odpowiedzialnymi za gromadzenie danych na temat rozgrywek – i to w czasie rzeczywistym. Nie jest jasne, skąd te dane pochodzą, ale zbudowanie systemowej aplikacji, która docelowo ma być głównym agregatorem maksymalnie dużej liczby podawanych na żywo danych dotyczących sportowych rozgrywek z całego świata – to nie lada wyzwanie.

Eddy Cue (Senior Vice President of Services), czyli osoba odpowiedzialna w szeregach Apple za usługi, jest wielkim fanem sportu. Jego osobistą misją wydaje się właśnie Apple Sports. I to nie rozumiane jako aplikacja, a całkowicie nowa marka, którą firma właśnie stworzyła.

Apple Sports moim zdaniem będzie w przyszłości tym, czym dziś jest Apple TV+.

Apple jako jedyna firma na świecie ma wystarczająco dużo pieniędzy, pomysł, odpowiedniego klienta i zaplecze, aby wykupić prawa do sporrej części sportowych transmisji. Tak, w tym Formuły 1, na co prywatnie mocno liczę.

Gromadzenie i prezentowanie danych, trzymając się nadal wyścigów samochodowych, to jednak coś zupełnie innego niż to, co obecnie potrafi nowa aplikacja. Apple musiałoby kupić takie usługi, jak dla **Box**



Box i zatrudnić jeszcze sporo osób, aby móc wprowadzić bardzo szerokie spektrum sportowych rywalizacji na platformę Apple Sports.

I moim zdaniem prędzej niż później to zrobi.

Apple Vision Pro może być tego katalizatorem. Koncepty interaktywnych, przestrzennych aplikacji dla visionOS, takie jak ten:



mogą być celem. I miałyby to sporo sensu.

Już wkrótce wszyscy użytkownicy Apple Vision Pro będą mogli oglądać rozgrywki MLS (obecnie część Apple TV, na wyłączność) dzięki pierwszemu w historii filmowi sportowemu nagranyemu i transmitowanemu w całości w Apple Immersive Video.

Widzowie poczują każdy przyspieszający bicie serca moment w 8K 3D ze 180-stopniowym polem widzenia i dźwiękiem przestrzennym, który przeniesie ich na murawę.

To już się dzieje.

Czas pokaże, co Apple będzie w stanie zdziałać w świecie sportu, ale jeśli im nie uda się zostać globalnym agregatorem transmisji – to wątpię, że ktokolwiek inny się na o pokusi.





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Przestrzeń, która sprzedaje

Przy okazji lektury i recenzji jednej z ostatnich nowości krakowskiego wydawnictwa Insignis Media, pt. „The Diary of a CEO. 33 zasady biznesu i życia”, opowiadającej historię życia podcastera i jednego z najbardziej rozpoznawalnych, młodych przedsiębiorców w USA – Stevena Bartletta – zwróciłem uwagę na jeden aspekt związany z historią Apple.



Dlaczego oni są jacyś dziwni?

To pytanie zadał sobie chyba każdy, kto po raz pierwszy miał styczność z marką Apple. Jej percepcja od zawsze nie pasuje do konkurencji. To niedopasowanie do otoczenia rynkowego leży w DNA firmy od czasów założycielskich. MacBooki czy słuchawki wyglądają z grubsza tak samo od lat. iMaców, nawet po zmianie ich wyglądu, nie sposób pomylić z żadnym innym komputerem na rynku. Białe ramki i charakterystyczna dla nich broda mają dać możliwość rozpoznania kultowego kształtu i stanowią dodatkową przestrzeń dla wzroku. Dlatego percepcyjne raczej nikt nie potraktuje iMaca jak zwykłego monitora czy komputera.

Dla Apple mniej nie znaczy gorzej. Dla konkurencji w 90% przypadków – mniej – jest nieakceptowalne.

Japońskie MA opiera się na świadomości, że przestrzeń i cisza same w sobie mają ogromną moc.

W innej książce, wydanej przez Insignis Media, pt. „**Filozofia dla zabieganych**”, autor Jonny Thomson porusza kwestię filozofii japońskiego minimalizmu i estetyki pustej przestrzeni.

„Rzadko skupiamy uwagę na pustą przestrzeń. Na przykład popatrz na tę, która otacza i obramowuje te słowa. Łatwiej ją zauważyć, gdy zostanie nam zabrana. Nasze pomysły, relacje i myśli także są zdefiniowane poprzez przestrzeń, jaką im dajemy”.

W Japonii takie myślenie nazwano filozofią MA, a Apple wydaje się ją rozumieć od samego początku swojego istnienia.



Przestrzeń na wagę złota

Ta idea stoi za japońską koncepcją „przestrzeni negatywnej”. Choć jej korzenie wywodzą się z chińskiego taoizmu, można powiedzieć, że idea ta jest kwintesencją Japonii i została spopularyzowana w latach 70. przez architekta Isozakięgo.

„MA jest przestrzenią, jaką dajemy bezładnym przedmiotom, by pozwolić im zaistnieć i nabrać sensu. W kwestii designu może to oznaczać przestrzeń pomiędzy dwoma kształtami. Artyści, od malarzy po projektantów wnętrz, poświęcają dużo uwagi roli przestrzeni, ale MA odgrywa równie ważną rolę w filozofii”.

Wracając jednak do Stevena Bartletta, na kartach swojej książki podjął on temat minimalizmu i przestrzeni w kontekście podstawowych technik sprzedaży, które od samego początku Jobs wprowadził w Apple jako element DNA firmy:

„Kiedy pójdziesz do osiedlowego sklepiku ze sprzętem elektronicznym, prawdopodobnie zanurzysz się w dżungli kabli, gadżetów i baterii, poukładanych jedne na drugich od podłogi do sufitu. Konwencjonalna idea prezentacji towaru głosi, że im więcej artykułów pokażesz, tym większą masz szansę na doprowadzenie do transakcji.

Jest to bardzo logiczne podejście, lecz Apple wie, że ludzie wcale nie postępują logicznie, a dużo większe znaczenie mają inne dominujące czynniki psychologiczne.

Każdy Apple Store jest urządzony tak, że bardziej przypomina galerię dzieł sztuki, z którymi kojarzy się duża wartość i wysokie ceny – niż zapchaną salę sprzedażową przeciętnego detalisty”.

Apple wykorzystuje tutaj dwa efekty.



Dzięki możliwości wzięcia do ręki danego urządzenia i skorzystania z niego Apple wywołuje poczucie niedosytu, będące jedną z form tzw. oprawy, która podbija wartość produktu.

Pierwszy to efekt czystej ekspozycji, który sprawia, że coś bardziej nam się podoba. Drugi natomiast jest tzw. efektem posiadania. Dzięki możliwości wzięcia do ręki danego urządzenia i skorzystania z niego Apple wywołuje poczucie niedosytu, będące jedną z form tzw. oprawy, która podbija wartość produktu.

„Skoro firmę stać, aby dać mu tyle przestrzeni dookoła, a powierzchnie sklepów są absurdalnie drogie, to znaczy, że coś jest tego warte”.

Podobną strategię Apple przyjęło zresztą w swojej komunikacji z mediami czy szerokim rynkiem. Absolutne minimum sprawia, że każda premiera (choć przecieków o nich nie brakuje) wydaje się kolejnym momentem, w którym ktoś wyciągnął z kapelusza królika.

Thomson w książce podsumował to tak:

„Japońskie MA opiera się na świadomości, że przestrzeń i cisza same w sobie mają ogromną moc”.

Dlaczego pisarze kochają sprzęt Apple?

Jeśli chcecie poznać odpowiedź na to pytanie i posłuchać więcej o tym, jak ludzie kreatywni wykorzystują sprzęt Apple, polecam **314. odcinek mojego podcastu. Bo czemu nie?**





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Izba Reprezentantów USA vs TikTok – czy wiecie że ta firma „nie jest chińska”?

Amerykańska Izba Reprezentantów przegłosowała projekt ustawy, która ma zmusić właściciela TikToka do sprzedaży platformy w USA lub blokady jej działalności w Stanach Zjednoczonych. Tymczasem w oświadczeniu przestany przez Biuro Prasowe TikTok Polska... zresztą, zobaczcie sami.



Do naszej redakcji trafiło pismo ze stanowiskiem platformy TikTok w sprawie wczorajszego głosowania w Izbie Reprezentantów USA. Oto jego treść:

w związku ze wczorajszym głosowaniem przez Izbę Reprezentantów USA ws. TikToka przesyłamy oświadczenie oraz stanowisko wideo TikTok CEO Shou Zi Chew:

“Proces ten był tajny, a ustawa została przeforsowana z jednego powodu: jest to zakaz. Mamy nadzieję, że Senat weźmie pod uwagę fakty, wysłucha swoich wyborców i zda sobie sprawę z wpływu na gospodarkę, 7 milionów małych firm i 170 milionów Amerykanów, którzy korzystają z naszej usługi” – powiedział po głosowaniu reprezentant TikToka.

Oprócz tego przekazano nam następujące, dodatkowe informacje:

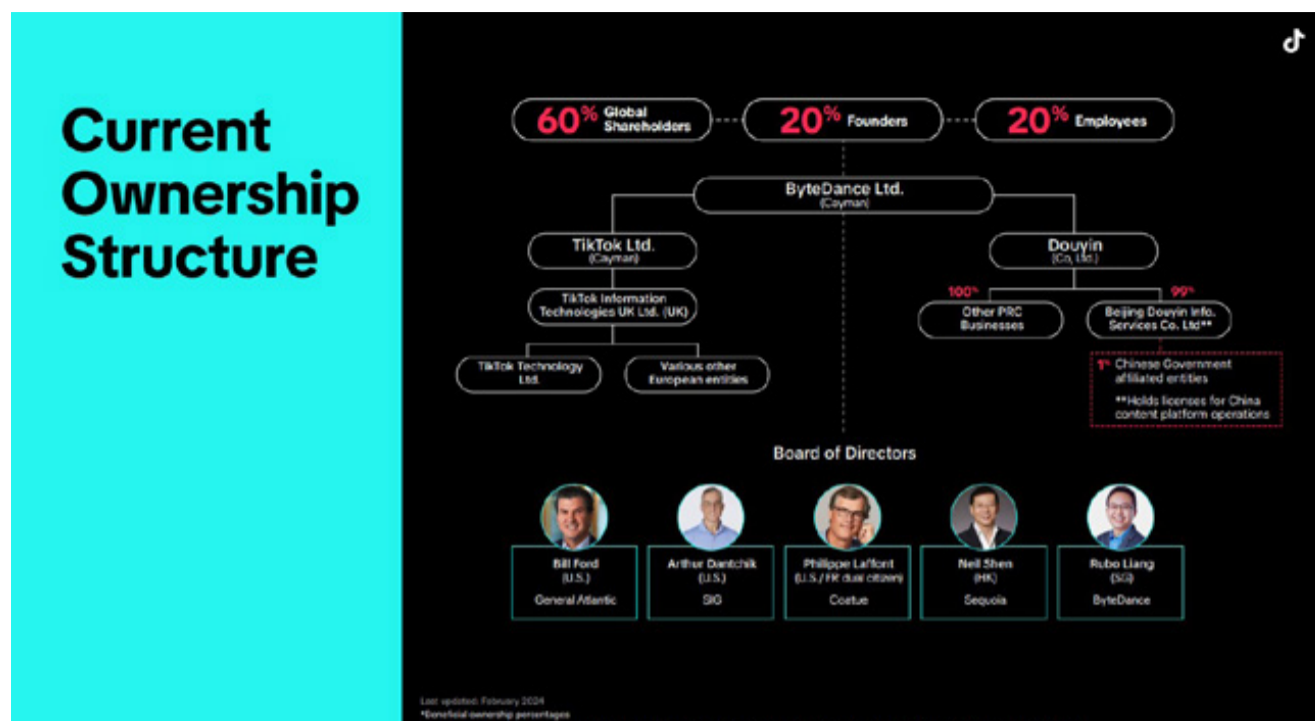
TikTok jest używany przez ponad miliard ludzi na całym świecie i ani TikTok, ani firma macierzysta nie są własnością Chin. TikTok nie jest nawet dostępny w Chinach i nie jest prawdą twierdzenie, że platforma znajduje się pod wpływem chińskiego rządu.

TikTok nigdy nie udostępnił ani nie otrzymał prośby o udostępnienie danych użytkowników chińskiemu rządowi – ani nie zrobiłby tego, gdyby został o to poproszony.

W ramach Projektu Clover firma wzmacnia swoje podejście do bezpieczeństwa danych w Europie poprzez dalsze zaostrożenie kontroli dostępu do danych i współpracę z europejską firmą zewnętrzną w celu audytu, monitorowania i zapewnienia niezależnej weryfikacji.

Oprócz tego otrzymaliśmy też infografikę prezentującą strukturę właścicielską TikToka:





Infografika prezentująca strukturę właścicielską platformy TikTok i powiązanych podmiotów (źr. TikTok)

Jesteście zaskoczeni? Wszak w publicznej świadomości TikTok jest tak bardzo chiński, że trudno o inną firmę technologiczną, znaną na całym świecie, która z Państwem Środka kojarzyła by się bardziej. A tu proszę, w oficjalnym oświadczeniu TikTok twierdzi że platforma i firma macierzysta nie jest własnością Chin, a TikTok nie jest nawet dostępny w Chinach. Cóż, w oświadczeniu przedstawiciela TikTok jest pewna doza prawdy, ale nie jest ono do końca precyzyjne. Oto kilka faktów, które należy wziąć pod uwagę:

Ani TikTok, ani firma macierzysta ByteDance nie są bezpośrednio własnością chińskiego rządu. To akurat prawda, chińskie władze nie są **bezpośrednim** właścicielem.

Jednakże ByteDance – firma-matka platformy TikTok – jest firmą zarejestrowaną w Chinach i podlega chińskim prawom; owszem ByteDance jest również inkorporowana na Kajmanach, brytyjskim terytorium zamorskim. Zwróćcie uwagę, że na powyższej infografice jest wzmianka o Kajmanach, ale nie ma informacji, że ByteDance ma swoją główną siedzibą w Pekinie. Pekin nie leży na Kajmanach.

60% udziałów w ByteDance należy do globalnych funduszy inwestycyjnych, ale chińskie firmy inwestycyjne również posiadają znaczący udział w strukturach własnościowych platformy, tę informację powyższa infografika pomija.



A co z tym TikTok nie jest nawet dostępny w Chinach? To również jest prawda, ale! No właśnie, zawsze jest jakieś ale. Na rynku chińskim funkcjonuje analogiczna (choć mająca odrębną podmiotowość) platforma o nazwie Douyin, która również jest zarządzana przez ByteDance, tak jak i TikTok, ale z racji obszaru, na którym funkcjonuje podlega chińskim przepisom (cenzura itp.).

Spójrzmy teraz na frazę: TikTok nigdy nie udostępnił ani nie otrzymał prośby o udostępnienie danych użytkowników chińskiemu rządowi – brzmi ładnie, ale istnieją pewne obawy, że chiński rząd może wywierać wpływ na funkcjonowanie platformy, a sygnały o tym świadczące istnieją, czytajcie dalej.

...w oficjalnym oświadczeniu TikTok twierdzi że platforma i firma macierzysta nie jest własnością Chin, a TikTok nie jest nawet dostępny w Chinach.

Nie jest tajemnicą, że to m.in. te właśnie obawy stanowiły podstawę toczących się już od lat działań w amerykańskim Kongresie. Zresztą te obawy mają też uzasadnienie w przypadku niektórych badań. Np. w połowie 2022 roku australijska firma Internet 2.0, zajmująca się cyberbezpieczeństwem opublikowała **raport**, w którym jej główny inżynier ds. bezpieczeństwa Thomas Perkins, ujawnił, że TikTok gromadzi nadmierne ilości danych oraz że aplikacja łączy się z infrastrukturą zlokalizowaną w Chinach kontynentalnych. Wyniki badań zostały przekazane TikTokowi w celu uzyskania komentarza i weryfikacji, jednak TikTok odmówił ujawnienia szczegółów dotyczących ich infrastruktury zlokalizowanej w Chinach.

TikTok deklaruje również, że nie udostępniłby chińskiemu rządowi danych użytkowników, nawet gdyby został o to poproszony. Cóż, może tak, a może nie. A jak postąpiłby TikTok, gdyby Komunistyczna Partia Chin, nie prosiła, a kazała?



Faktem jest że TikTok, to firma, która wyrosła na globalnego potentata w zupełnie inny sposób niż np. Apple (w garażu Steve'a Jobsa), Amazon (od małej księgarni online), czy Facebook (student o nazwisku Zuckerberg kombinował z programem do oceny atrakcyjności kolegów i koleżanek, władze Uniwersytetu Harvarda szybko zamknęli mu ten pomysł).

Tymczasem TikTok powstał w dość tajemniczy sposób. W 2014 roku w Szanghaju uruchomiono aplikację online Musical.ly, aplikacja zasadniczo robiła to, co TikTok dziś, pozwalała na publikowanie i oglądanie krótkich filmów. Nie minęło dużo czasu, gdy firma ByteDance założona przez Zhang Yiminga, dziś miliardera, urodzonego w Longyan, mieście leżącym w południowo-zachodniej prowincji Fujian (podpowiem: to nie na Kajmanach) utworzyła na rynku chińskim podobną do Musical.ly platformę, wspomnianą wcześniej, o nazwie Douyin. W 2018 roku Yiming kupił Musical.ly, zmienił jego nazwę na TikTok i zaczął „nowy produkt” oferować wszędzie, tylko nie w Chinach. Nie zmienia to zasadniczego faktu: TikTok, to produkt chiński, powstał w Chinach i to Chiny mają kontrolę nad kodem platformy. Żadne Kajmany czy inna Panama tego nie zmieniają.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Tajna chińska dyrektywa „Dokument 79” – rozkaz: „usunąć Amerykę!” – obrywa Apple i inni giganci spoza Chin

Według danych analitycznych Counterpoint Research opublikowanych w mijającym tygodniu, sprzedaż iPhone'ów w Chinach, dodajmy – kluczowym rynku dla Apple – spadła od początku br. o 24%. W przestrzeni publicznej pojawiają się też informacje o tajnym, chińskim „Dokumencie 79”. Czas połączyć kropki.





Gwałtowny spadek sprzedaży urządzeń Apple w Chinach wydaje się być zjawiskiem nie mającym wiele wspólnego z regułami wolnego rynku. Sam produkt zasadniczo się nie zmienił, renoma Apple i zaufanie biznesu (wykazywane doskonale przez kapitalizację giełdową giganta z Cupertino), też raczej nie spadło. Jakość produktu? Doskonale znamy urządzenia Apple od lat. I tu również trudno się do czegoś przyczepić. I teraz na tym tle informacja o spadku sprzedaży iPhone'ów w Chinach w zaledwie 6 tygodni, o blisko jedną czwartą (rok do roku) wygląda dziwnie.

Może to nasycenie rynku? Owszem, tak można byłoby domniemywać, gdyby spadki odnotowano również w przypadku innych marek. Owszem w przypadku np. Xiaomi ta sama firma odnotowała spadki (cały czas mówimy o rynku chińskim) o 7%, a w przypadku Vivo, o 15%. Wciąż nie tak źle, jak w przypadku Apple. Ale teraz kluczowy fakt. W tym samym czasie marką osiągającą wręcz rewelacyjne wyniki jest... Huawei i jego spinoff – Honor. W przypadku Huawei, w tym samym analizowanym okresie tego roku, dostawy wzrosły o 64% (Honor odnotował znacznie mniejszy, ale jednak również wzrost, 2%). Zatem to nie nasycenie rynku powoduje kłopoty Apple. O co chodzi?

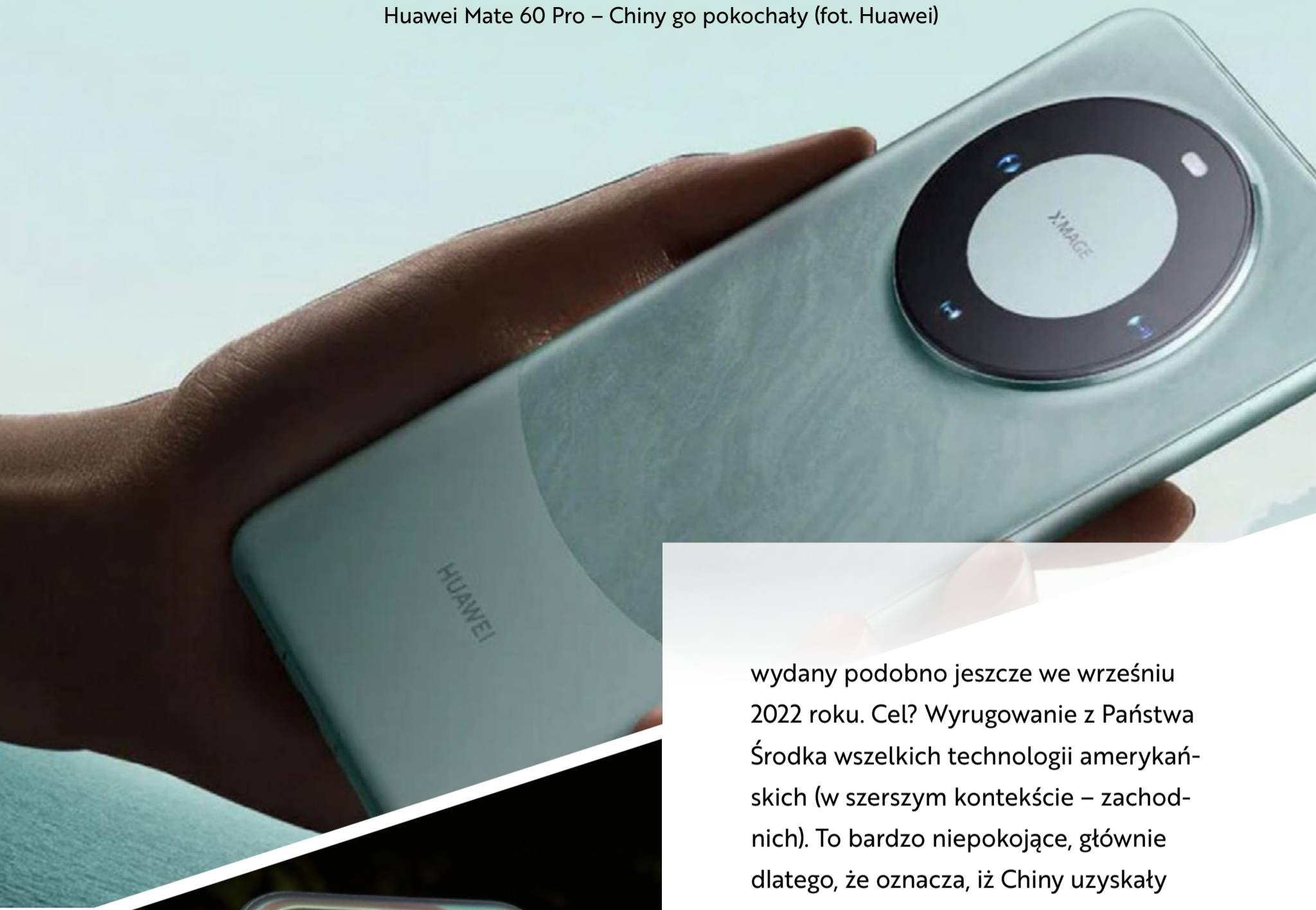
Światło na sprawę rzuciła publikacja Wall Street Journal z ubiegłego tygodnia. **Materiał Lizy Lin opublikowany 7 Marca** zawiera informacje o tajnej dyrektywie chińskiego rządu, tzw. „Dokumencie 79”. Czym jest ten dokument? Krótki cytat:

„Dokument 79 był tak poufny, że wysokim urzędnikom i kierownictwu pokazano jedynie polecenie i nie pozwolono im sporządzić kopii – twierdzą osoby zaznajomione z tą sprawą. Nakłada na przedsiębiorstwa państwowe z branży finansowej, energetycznej i innych obowiązek wymiany oprogramowania zagranicznego w swoich systemach informatycznych do 2027 roku.” (źr. WSJ)

Krótko mówiąc Chiny idą na technologiczną wojnę z Ameryką. W zasadzie nie tylko z Ameryką, ale całym szeroko pojętym (w sensie technologicznym) Światem Zachodu. Co istotne, rozkaz znany jako „dokument 79” został



Huawei Mate 60 Pro – Chiny go pokochały (fot. Huawei)



wydany podobno jeszcze we wrześniu 2022 roku. Cel? Wyrugowanie z Państwa Środka wszelkich technologii amerykańskich (w szerszym kontekście – zachodnich). To bardzo niepokojące, głównie dlatego, że oznacza, iż Chiny uzyskały potencjał i zdolności zastąpienia zachodnich technologii własnymi rozwiązaniami. Z pewnością jeszcze nie wszystkich, ale nie wiem, czy to stanowi pociechę. Wróć jeszcze do Huawei, a kolejna kropka wskoczy na właściwe miejsce.

Jak wiemy, dostawy Huawei od początku bieżącego roku w Chinach pną się w górę jak szalone. Istotny fakt: Huawei Mate 60, zaprezentowany w ubiegłym roku, na jesieni flagowy model dysponował łącznością 5G nie zawierając żadnego zachodniego chipu. Wszyscy pamiętamy sankcje nałożone na Huawei przez Stany Zjednoczone, odcięcie Huawei od





technologii i rozwiązań Google'a. Dramatyczny wzrost popularności tej marki tylko częściowo można wyjaśnić lokalnym patriotyzmem, nawet indukowanym przez państwo. Ludzie to dość pragmatyczne istoty: jeżeli mamy wybór, chcemy dysponować dobrym i wysokiej jakości sprzętem. Chińczykom nikt nie zabrania kupować iPhone'ów. Czy zatem luka technologiczna, mimo sankcji Zachodu wobec Huawei, przestała mieć znaczenie? A może po prostu już jej nie ma? Luźno rzucam te pytania w przestrzeń, umiecie myśleć: wnioski są wasze.

Wróćmy do Dokumentu 79. Jego istnienie potwierdzają jedynie anonimowe źródła Wall Street Journal. Ze zrozumiących



względów anonimowe pozostaną. Niemniej wydaje mi się, że tytuł tego kalibru co WSJ, nie posunąłby się do powielania fake newsów, a publikowane informacje są możliwie szeroko sprawdzane i weryfikowane: to wszak esencja rzetelnego dziennikarstwa.

Nie jest tajemnicą, że ambicją Xi Jinpinga jest jak największe uniezależnienie się od technologii zachodnich, zarówno ze względów gospodarczych, jak też ze względu na kwestie związane z bezpieczeństwem narodowym. Przy czym to nie są czcze deklaracje. Jak podaje z kolei brytyjski [DailyMail](#) ponoć Chiny już zaczęły w wielu firmach stanowiących własność państwa zastępować sprzęt takich firm jak Dell, Cisco, IBM itp.

Przypomnę tylko, że definicja "firma będąca własnością państwa" w przypadku Chin jest dość rozmyta. Trudno oszacować jaki odsetek chińskich podmiotów prawnych należy do państwa, bo różnie ta własność jest definiowana. Część firm (wg niektórych źródeł nawet 50 proc.) należy w całości do władz (czy też do ludu, jak zapewne twierdziliby przedstawiciele Komunistycznej Partii Chin), ale w wielu innych firmach chińskie władze mają udziały (często większościowe). Wiem też (interesuję się także motoryzacją, co być może niektórzy z Czytelników zaglądających do nas zauważyło), że w przypadku np. firm z sektora automotive, żaden podmiot (jest jeden wyjątek, o czym za chwilę) działający na terenie Państwa Środka nie może być w całości własnością zachodniego koncernu. Oczywiście, BMW, Volkswagen, Mercedes i wielu innych graczy rynku motoryzacyjnych ma fabryki w Chinach i jest obecnych na tamtejszym rynku, ale wszystkie te firmy są



spółkami JV (Joint Venture), czyli „wspólnymi” przedsięwzięciami takiego np. Volkswagena i chińskiego SAIC (SAIC Volkswagen Automotive).

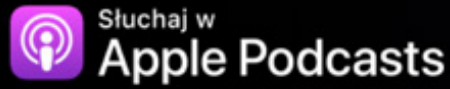
Wspomniałem o jednym wyjątku. Tym wyjątkiem jest Tesla Elona Muska. Tesla jako jedyny zachodni producent jest wyłączną właścicielką swojej fabryki w Szanghaju. Jak to możliwe? Połączmy kolejną kropkę. Elon Musk już w 2014 roku ogłosił program Open Source Patent Pledge, co oznacza, że Tesla otworzyła wiele ze swoich patentów. Chińczycy to pracowity i szybko uczący się naród, a fabryka Tesli w Szanghaju była dla nich znakomitą uczelnią. Efekt? Dziś w Państwie Środka powstają auta elektrycznie równie dobre (jeżeli nie lepsze) od Tesli. A Tesla? Zanotowała spadek sprzedaży o 18%. Ten sam casus co w przypadku Apple. Chińczycy nie muszą już sięgać po „zachodnie”. Mają swoje.



No to łączmy kolejne kropki, czy dalej uważacie, że planowane w UE cła na chińskie samochody, albo przegłosowana w amerykańskim Kongresie (na razie w niższej izbie: Izbie Reprezentantów) ustawa uderzająca w TikToka, to cios w europejskich i amerykańskich konsumentów?

Gdy USA wprowadziły technologiczne embargo na Chiny (zakaz eksportu najbardziej zaawansowanych technologii w 2018 roku, umieszczenie Huawei na czarnej liście w 2019 roku) wielu obawiało się natychmiastowej riposty ze strony Chin. Nic takiego się nie stało. Wówczas Chiny nie były jeszcze gotowe. Podobne obawy pojawiały się, gdy pod koniec 2022 roku administracja Bidena wprowadzała kolejne embargo na najbardziej zaawansowane technologie półprzewodnikowe uderzające w rozwój AI. Wygląda na to, że chiński smok się obudził. I zaczyna brać odwet.





rekomendowany przez
iMAGAZiNE

PODCAST

INNA KULTURA

Kultura to my, i to, jacy jesteśmy.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine



Apple TV

Diuna. Część II

W pierwszym kwartale tego roku prawdopodobnie nie było filmu, który wzbudziłby więcej emocji, niż kolejna część „Diuny”. Dlatego warto przygotować się na niepopularną opinię, gdyż jestem osobą, która nie tylko specjalnie na ten film nie czekała, ale dodatkowo wyszła z kina ze sporą obojętnością. Dlaczego?





Po pierwsze, nie czytałem powieści Franka Herberta. Wiem, że jest to klasyka gatunku i do tego książka porusza wiele problemów, które pomimo kilku dekad od premiery wciąż są aktualne. Żeby nie było, robiłem do tej pozycji podejście, ale jakoś nie przekonała mnie do siebie. Możliwe, że jeszcze to nadrobię. Piszę jednak o tym dlatego, żeby podkreślić, że nie mam żadnego fanowskiego i emocjonalnego związku z tą historią. Jedyne, co to oglądałem wiele lat temu, to wcześniejsza ekranizacja w reżyserii Davida Lyncha.

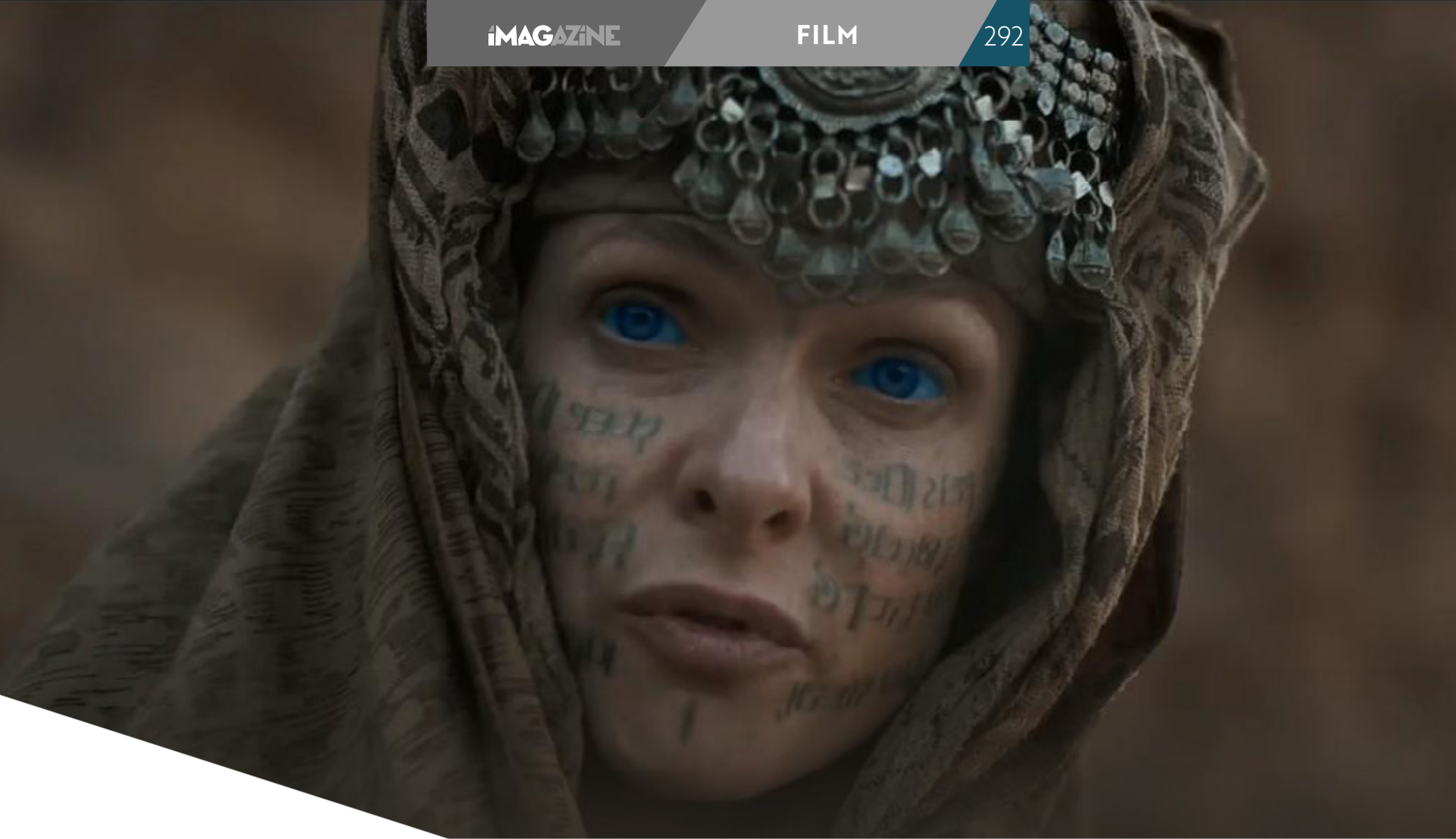
Nie czekałem więc trzy lata temu, kiedy to na ekrany wchodziła pierwsza część filmu. Byłem nim oczywiście zainteresowany, przede wszystkim z uwagi na osobę reżysera (Denis Villeneuve) oraz obsadę, która robi wrażenie i nawet nie chcę sobie wyobrazać, jak wyglądała lista płac. Wizualnie „Diuna” okazała się naprawdę ładnym filmem, tylko że... potwornie nudnym. No, w zasadzie nie działo się tam nic. Dodatkowo marketingowo nie było zbyt mocno podkreślane, że jest to „część pierwsza”, dlatego na koniec filmu historia urywa nam się w połowie. Nietładnie, panie reżyserze. Ale dość o poprzednim filmie. Mamy rok 2024 i przyszedł czas na część drugą.



Jeśli ktoś myślał, że już w pierwszym filmie nazwiska z obsady robiły wrażenie, to w tym czasie twórcy powiedzieli: „potrzyмай mi piwo” i zatrudnili jeszcze więcej ludzi z czołówki Hollywood. Top of the top. Mimo że nie planowałem iść na seans tego filmu na premierę lub zaraz po niej, to hype w sieci był tak duży, że wolałem zerwać ten plaster szybko i mieć to z głowy. Recenzje były naprawdę bardzo pochlebne, więc też miałem wielką ochotę przekonać się o tym samemu.

Teraz proszę sobie wyobrazić mnie wychodzącego z kina. Wszyscy widzowie zachwyceni, nie mogą się powstrzymać od tego, by wychwalać Villeneuve’a. W tym wszystkim jestem ja, na którego twarzy czai się ogromny niedosyt i zdziwienie, że ten oto, dopiero zobaczony przeze mnie obraz, ktoś może nazywać arcydziełem. Nie, nawet arcydziełem. Przyznaję, dzieje się o wiele więcej niż w części pierwszej. Dostajemy akcję po tym, jak w poprzednim filmie pionki zostały rozstawione na planszy. Mamy jeszcze piękniejsze zdjęcia, muzykę, dźwięk zrywający momentami ubrania oraz... dziurawą fabułę, brak dialogów i znów





obcięte zakończenie (względem książki). Oczywiście pod względem audiowizualnym, ciężko będzie pewnie w tym roku ten film przebić, bo – tu sam przyznaję – jest genialnie. Jednak zabrakło mi tu jakiejś głębi, większego przestania. Zwłaszcza że wiem, iż Denis Villeneuve potrafi robić kino SF, które nie tylko pięknie wygląda, ale również zadaje pytania, na które chcemy szukać odpowiedzi. Tak było w przypadku genialnego „Arrival” czy nawet w średnio lubianym przeze mnie „Blade Runner 2049”. Nie mówiąc już o innych jego filmach, jak „Sicario” czy „Prisoners”. Przy tych tytułach nowa „Diuna” wydaje mi się wydmuszką. Piękną, ale jednak wydmuszką.

Na zachwyty zdecydowanie zasługują tu zdjęcia, za które odpowiedzialny był Greig Fraser. Arrakis robi wrażenie, a Giedi Prime (planeta rodu Harkonnenów) i sceny nakręcone w podczerwieni to wizualny majstersztyk. Moje największe obiekcje dotyczą scenariusza i wielu dziur, które w nim zauważyłem. Paul Atryda bardzo szybko zyskuje sobie wielkie uznanie, a później uwielbienie i kult rodu Fremenów, ci, w bliżej nieokreślony sposób zeskakują całymi hordami z grzbietów Czerwi, na które przecież tak ciężko się wdrapać. Niektóre postacie pojawiają się tu w zasadzie tylko na chwilę, co też działa na niekorzyść, gdyż



ich potencjał był ogromny. Nawet Austin Butler jako Feyd-Rautha, przez wiele osób okrzyknięty wspaniałym czarnym charakterem, jest bardzo słabo zaznaczoną postacią. Ciekawa charakteryzacja to nie wszystko, moi drodzy. Najbardziej razi mnie jednak brak dobrych dialogów w filmie. Bohaterowie w większości wygłaszają jakieś banały, w które momentami aż trudno uwierzyć.

Wszystko powyższe – i jeszcze wiele słów nienapisanych – to tylko moje odczucia. Nie mam z tym żadnego problemu, że ludzie się tym filmem zachwycają. Zwłaszcza że, tak jak pisałem, wizualnie naprawdę jest się czym zachwycać. Zabrakło mi jednak czegoś głębszego, co sprawiłoby, że chciałbym ten film obejrzeć zaraz po raz drugi. Przed seansem odświeżyłem sobie część pierwszą, która niezmiennie trwa jakieś 100 godzin. Część druga na szczęście się tak nie dłuży – ale Stilgar (Javier Bardem) wypowiadający po raz tysięczny „Lisan al-Gaib” potrafi lekko znużyć.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine



Shōgun

Jedną z największych niespodzianek ubiegłego roku była dla mnie informacja, że powstaje serial „Shōgun”. To nowa wersja adaptacji powieści Jamesa Clavella – pierwszy serial powstał w roku 1980 z Richardem Chamberlainem w jednej z głównych ról. Po pierwszym zwiastunie wiedziałem, że to będzie coś dla mnie, a już pierwszy odcinek kupił mnie całkowicie.



Akcja „Shōguna” rozgrywa się w feudalnej Japonii. Głównymi bohaterami są: angielski marynarz, doświadczony nawigator John Blackthorne, rozbitek z angielsko-holenderskiego żaglowca, i siogun Yoshii Toranaga. Blackthorne pomaga siogunowi w walce z wrogami i doprowadzeniu do porządku w regionie.

Jestem absolutnym fanem wszelkich produkcji, których akcja dzieje się we wspomnianej feudalnej Japonii. Dzisiejsze możliwości pozwalają na wspaniałe odwzorowanie wizualne tamtych czasów, a dodatkowo od razu było widać, że nie będzie tu zbędnej cukierkowości – serial zapowiada się realistycznie i brutalnie. Już po pierwszych dwóch odcinkach, które ukazały się na premierę, byłem zachwycony i czułem, że to będzie dla mnie jeden z najlepszych seriali roku. Z każdym kolejnym odcinkiem to uczucie się pogłębiało. Historia jest niezwykle wciągająca, wizualnie momentami całość wgniata w fotel, a aktorstwo jest na naprawdę wysokim poziomie.





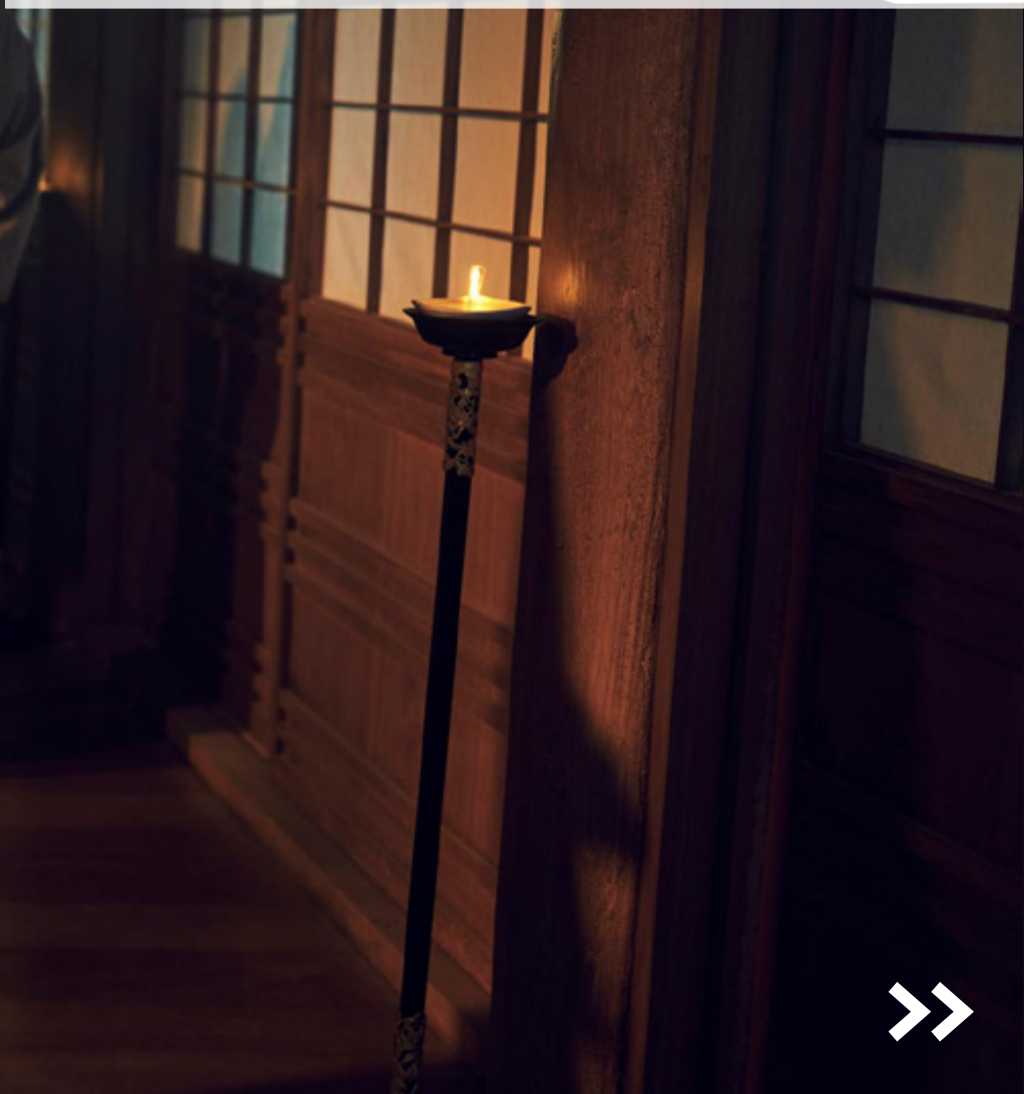
Mamy tu soczystą polityczną intrygę, bujną oprawę wizualną i natychmiast zapadające w pamięć występy. Serial zaprasza do w pełni ukształtowanego, rozkosznie niebezpiecznego i złożonego świata Osaki w 1600 roku. Scenografia jest nienaganna, pełna skomplikowanych detali i wspaniałych renderingów historycznych budynków, kostiumów i mieczy. Ale te drobiazgi ożywają, gdy są noszone przez aktorów, którzy grają po prostu znakomicie. Hiroyuki Sanada, weteran, którego można było zobaczyć w „John Wick 4” lub „Avengers: Endgame”, jest również producentem serialu, a jego obecność wręcz magnetyzuje widza. Łatwo zrozumieć, dlaczego Toranaga wzbudza taką lojalność wśród swoich ludzi. Cosmo Jarvis jest przezabawny, odgrywając komedię Blackthorne'a (uważa, że Japończycy kąpią się zbyt często) i wypluwając swoje wersy ze skwierczącym jadem. Anna Sawai, którą mogliśmy niedawno obejrzeć w serialu „Monarch” od Apple TV+, ma znacznie trudniejsze zadanie (i to nie tylko ze względu na restrykcyjne





kimona, które nosi). Mariko jest bardziej powściągliwą, subtelną postacią, która rozświetla ekran, nawet bez wygłaszania samobiczujących tyrad.

Nie zawsze istnieje ważny, kreatywny powód, by remake'ować opowiedziane już historie. Ale niuanse i innowacje, które wnosi nowy „Shōgun”, zwłaszcza w obszernych japońskojęzycznych dialogach i perspektywie, bardziej niż usprawiedliwiają ten projekt. To rodzaj serialu, który przypomina, że telewizja może być wydarzeniem, a nie tylko czymś przypadkowym, co można kliknąć podczas składania prania. Wymaga pełnej uwagi. Więc nie przewijaj, nie gotuj obiadu ani nie wykonuj pracy, gdy telewizor jest włączony. Usiądź. Oglądaj. Weź to wszystko do siebie. Nie każdego dnia dostaje się darmowy bilet do Japonii w 1600 roku.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Premiery streamingowe kwiecień 2024



Ripley

Tom Ripley, oszust z trudem wiążący koniec z końcem w Nowym Jorku we wczesnych latach 60. XX wieku, zostaje wynajęty przez pewnego bogacza, by nakłonić jego syna lekkoducha do powrotu z Włoch. Tom decyduje się udać do Italii, co rozpocznie w jego życiu skomplikowaną ścieżkę oszustw, szalbierstw i morderstw. Miniserial dramatyczny na podstawie bestsellerów o Tomie Ripleyu autorstwa Patricii Highsmith.

Premiera: 04.04

NETFLIX

Franklin

W grudniu 1776 roku Benjamin Franklin jest znany na całym świecie ze swoich eksperymentów elektrycznych. Ale jego pasja i moc zostają wystawione na próbę, gdy wyrusza z tajną misją do Francji, a los amerykańskiej niepodległości wisi na włosku.

Premiera: 12.04

Apple TV



The Sympathizer

The Sympathizer

Serial oparty jest na historii kapitana północnowietnamskiej fabryki w armii Wietnamu Południowego. Zostaje on zmuszony do ucieczki do Stanów Zjednoczonych wraz ze swoim generałem pod koniec wojny w Wietnamie. Mieszkając w społeczności południowowietnamskich uchodźców, nadal potajemnie szpieguje społeczność i składa raporty Vietcongowi, walcząc między swoją pierwotną lojalnością a nowym życiem..

Premiera: 14.04

HBOmax

Sugar

Nominowany do Oscara Colin Farrell wciela się w rolę Johna Sugara, amerykańskiego prywatnego detektywa, który tropi tajemnicze zniknięcie Olivii Siegel, ukochanej wnuczki legendarnego hollywoodzkiego producenta Jonathana Siegela. Gdy Sugar próbuje ustalić, co stało się z Olivią, odkrywa również rodzinne sekrety Siegelów; niektóre bardzo niedawne, inne dawno pogrzebane.

Premiera: 05.04

Apple TV



NIE MA ~~BIURA~~

Podcast o wszystkim, czego
jeszcze nie wiesz o pracy zdalnej.



 **NOZBE**

Prowadzące: Ewelina Przywara i Magda Błaszczuk





MACIEJ SZAMOWSKI
[@czesc_macio](#)

Wiek nie ma znaczenia

Długo zastanawiałem się, o czym będzie mój kolejny tekst i tak wpadłem na pomysł. A może raczej to życie przedstawiło kolejny pomysł? Otóż, jak wicie albo i nie, tworzę muzykę, gram, nagrywam i robię wiele innych rzeczy, które niektórzy uznaliby za stratę czasu.



Otóż całe życie szukałem muzyków – ludzi, z którymi mógłbym tworzyć swoje kolejne projekty, realizować wizje i po prostu osiągnąć zamierzony wcześniej cel. Nigdy jednak nie byłem tak otwarty, jak teraz.

Albowiem teraz stwierdziłem, że muzyka naprawdę nie zna granic. Odkryłem, że wiek nie ma tu absolutnie znaczenia, tworząc nowy projekt, biorąc udział w czymś, co w moim mniemaniu ma sens, musiałem być otwarty. Zapytacie pewnie dlaczego? Odpowiedź jest bardzo prosta: do mojego projektu dołączyła osoba, która jest bardzo, ale to bardzo młoda.

Czy miałem mętlik w głowie? A i owszem, zastanawiałem się, czy to ma sens, czy da radę, czy ten wiek nie będzie przeszkodą? W końcu ja jestem dorosły, mam rodzinę, dziecko i ten wiek zacząłem ostatnio naprawdę odczuwać. Tutaj mamy do czynienia z osobą naprawdę młoda.

Po jakimś czasie okazało się jednak, że ten wiek nie jest przeszkodą, że łączy nas wszystkich muzyka. Nasza wrażliwość i to, ile radości daje nam wspólne granie i obserwowanie, jak rozwijamy się z każdą próbą, z każdym nagraniem pilotem. Pomyślałem wtedy: „Kurcze, to jest to słynne: muzyka nie zna granic”. Tak jest, muzyka ich nie zna, jest językiem, którego nie obchodzi wiek, nie obchodzi background, pochodzenie czy inne rzeczy. Liczy się serce i chęć do tego, by tworzyć rzeczy, które są dla nas ważne. To w ten sposób możemy się skomunikować, przełamując bariery i tworząc w pewien magiczny sposób całość.

Pomyślałem też, że już nigdy nie będę krytykował czy szydził z tego, że z zespołem „dziadków” gra jakiś 30-latek, który zastępuje jednego z oryginalnych członków zespołu, który nie miał już siły lub zmarł. To nie ma absolutnie znaczenia – łączy ich w końcu coś więcej niż wiek czy przynależność do tego samego pokolenia. Łączy ich wrażliwość na sztukę, dźwięki i chęć, by się doskonalić. Bycie najlepszym w tym, co się robi.

I tak dochodzimy do clue całego tekstu. To, jak wygląda to w muzyce, możemy przenieść też na inne dziedziny życia. Możemy uczyć się od siebie. Młodzi od starych, a starzy od młodych. Tylko wtedy mamy szansę na to, by rozwinąć się jako jednostki i społeczeństwo. Teraz nie tylko to wiem, ale też czuję i tego uczucia wam życzę.

Do usłyszenia!





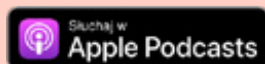
bo czemu nie?

PARTNER PODCASTU:

HAYB

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE





MAŁGORZATA ŁADA

Łosoś z jabłkami i cebulą



Skład:

- 4 porcje łososa po ok. 200 g
- 1 gałązka świeżego rozmarynu
- 2 średnie cebule
- 2 małe lekko kwaśne jabłka
- 50 g masła
- marynata do łososa:
- 1 łyżka stołowa łagodnej musztardy
- 1 łyżka stołowa oliwy z oliwek
- sok z połowy cytryny
- 1 łyżeczka miodu
- 1 gałązka rozmarynu (tylko igły)
- sól

W miseczce wymieszać dokładnie wszystkie składniki marynaty na jednolitą masę. Otrzymaną marynatą posmarować kawałki łososa i zostawić na ok. 30 min w temperaturze pokojowej.

Cebulę obrać, przekroić na pół i pokroić w piórka. Jabłka obrać, usunąć gniazda nasienne i pokroić na ósemki.

Piekarnik nagrzać do 180°.

Naczynie żaroodporne posmarować dokładnie masłem. Na dnie naczynia rozłożyć równomiernie cebulę wymieszaną z jabłkami i posypać pociętym rozmarynem. Na wierzch ułożyć kawałki łososa w marynacie.

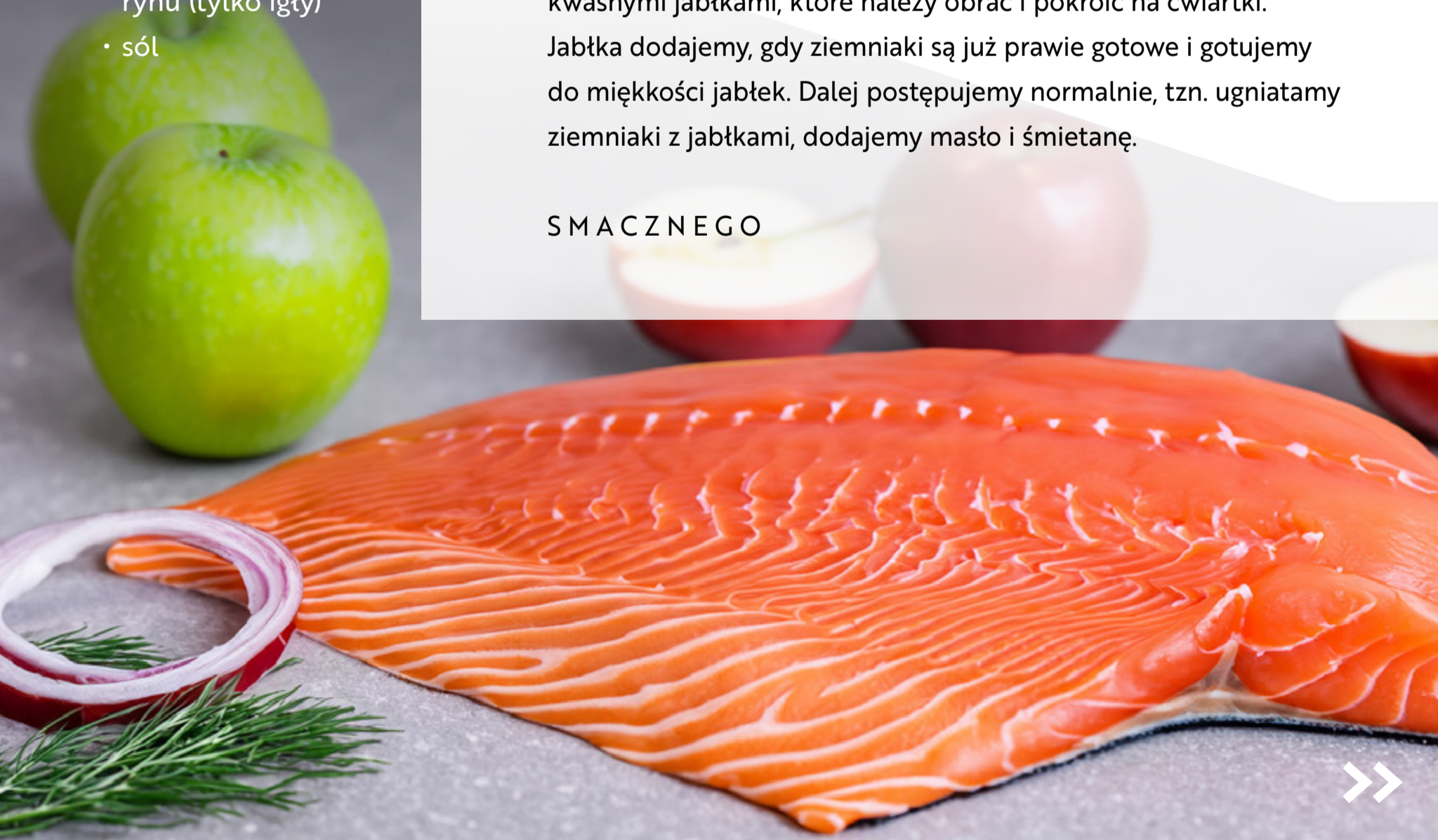
Wstawić do nagrzanego piekarnika na 20–25 min, w zależności od grubości ryby.

Podawać z pieczoną cebulą i jabłkami, do tego świetnie pasuje purée z ziemniaków z jabłkami.

Purée robimy normalnie, tylko zastępujemy 1/4 ziemniaków lekko kwaśnymi jabłkami, które należy obrać i pokroić na ćwiartki.

Jabłka dodajemy, gdy ziemniaki są już prawie gotowe i gotujemy do miękkości jabłek. Dalej postępujemy normalnie, tzn. ugniatamy ziemniaki z jabłkami, dodajemy masło i śmietanę.

SMACZNEGO



iMAGAZiNE

DOSTĘPNY NA

